

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126

52 2012



Apel do nauczycieli historii i języka polskiego oraz dyrektorów szkół

Szanowni Państwo

Redakcja „Zesłańca” stawia sobie za cel popularyzację wiedzy o losach Polaków, którzy za swoją patriotyczną działalność zostali – w różnych okresach naszych dziejów – skazani na syberyjskie zesłanie. Pragniemy, aby temat ten nie był obcy kolejnym pokoleniom Polaków, a młodzież umiała z szacunkiem wspominać bohaterstwo przodków, którzy na przekór zesłaniom dali syberyjskiej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności.

Naszym zadaniem jest dotarcie do szkół, aby z prezentowanych na łamach pisma artykułów mogli korzystać nauczyciele i uczniowie. Kontakt ze szkołami, a więc z nauczycielami jest dla nas niezmiernie ważny.

Zwracamy się więc do Państwa z apelem o podzielenie się z Redakcją swoimi refleksjami dotyczącymi wykorzystania tematyki prezentowanej na łamach „Zesłańca” w procesie dydaktyczno-wychowawczym.

Będziemy wdzięczni za informację czy – zdaniem Państwa – treści zamieszczane w „Zesłańcu” wspomagają edukację historyczną w szkołach? Czy mogą być wykorzystane na lekcjach? A może inspirują Państwa do szerszego podejmowania tematów dotyczących losów Polaków na syberyjskim zesłaniu? Jakie problemy powinny być omawiane przez naszych autorów, aby pismo spełniało Państwa oczekiwania? Jak możemy pomóc w przekazywaniu wiedzy z tego zakresu na różnych poziomach nauczania?

Odpowiedzi na te pytania będą dla nas niezwykle cenne, bowiem pozwolą nam na spełnienie Państwa oczekiwań. Będziemy mogli pełniej realizować swoją misję i służyć utrwalaniu pamięci o związkach polsko-syberyjskich.

Chcąc umożliwić Państwu jeszcze szersze wykorzystanie naszego pisma, planujemy wprowadzenie do niego wkładki zawierającej materiały edukacyjne. Już wkrótce zaprosimy Państwa do współredagowania tej części „Zesłańca”.

Redakcja „Zesłańca”

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 52 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2012

Spis treści

- **Damian Bienias**
*Życie codzienne syberyjskiej V Dywizji
Strzelców Polskich...* 3
- **Barbara Noworolska**
*Ojca mego droga z Syberii
do Armii gen. W. Andersa* 23
- **Stanisław Fudali**
*Upojenie powrotem. Wspomnienia
ówczesnego małolata* 33
- **Jolanta Załączny**
„Wывieziono Was na Sybir...” 41
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Jadwiga Telega**
Syberia to był mój uniwersytet życia 47
- **Krystyna Jacek**
Przeżyliśmy Syberię 59
- KRONIKA**
- **Maria Bożena Kuczyńska**
*XII Marsz „Żywej Pamięci
Polskiego Sybiru”...* 61
- **Sylwia Trzeciakowska**
*I Międzynarodowa Konferencja
Naukowa „Sybir...”* 66
- **Aneta Hoffmann**
*Upamiętnienie losów żołnierzy
Armii Andersa* 68
- **Henryk Majewski**
*Siedemdziesiąta rocznica wyjścia
Polskich Sił Zbrojnych z ZSRR
do Iranu* 70
- **Paulina Pawłowicz**
„Dobrze byłoby napisać książkę...” 72
- **Jolanta Załączny**
Znaki pamięci o Sybirakach... 76

Od redakcji

Dorobek „Zesłańca”, składa się już z 52 zeszytów, które w jakimś stopniu są szkieletową historią dotyczącą dziejów Polaków na Syberii. To co wydaje mi się potrzebne w tej tematyce, to relacje z zesłania, które kreślą zróżnicowane obrazy syberyjskiej codzienności, tego obszernego mikroświata konkretnej osoby czy jej rodziny. Ważkie to i potrzebne opisy i nigdy nie przestały dostarczać Czytelnikom bogatej faktografii z tamtego „innego świata”. Jest rzeczą niemożliwą pełne przedstawienie redakcyjnego dorobku zawartego na kartach „Zesłańca”, a także jego dokumentacyjnego charakteru. Wynika to z jednej strony z rozległej tematyki, z drugiej natomiast nie posiadamy jeszcze pełnego zestawienia jego tematycznej zawartości.

Dodajmy raz jeszcze, że to co ważne dla badaczy syberyjskich losów tkwi w jednostkowym przeżyciu konkretnej osoby i w jej podróży wewnętrznej w tamten odległy syberyjski świat prowadzący do niewyczerpanych możliwości poznawczych. Wszelkobecna faktograficzna uczciwość tych relacji pozwala na odzyskanie przez historyka niejednego interesującego okruchu tamtej rzeczywistości w „domu niewoli”. Wiele artykułów opublikowanych na łamach naszego kwartalnika składa się na bogatą tematykę i rodzi potrzebę opracowania i opublikowania „Bibliografii zawartości „Zesłańca”, do której z pewnością sięgną badacze polskich losów za Uralem. Mam nadzieję, że potrzeba taka zostanie szybko zrozumiana przez

- **Henryk Majewski**
Wspomnienie 77
- REGAŁ Z KSIĄŻKAMI**
- Anatol Diaczyński, *Tętent koni przez wieki*, 2012, b.m.w.
(Miroslaw Grudzień) 79
- *Polscy badacze Syberii*, Sankt Petersburg 2011
(Agnieszka Kaniewska) 82
- Władysław Antoni Czarnecki, *Wspomnienia sapera z 5 Dywizji Syberyjskiej...*, Wrocław 2011
(Damian Bienias) 86
- Bartosz Jastrzębski, *Jędrzej Morawiecki, Krasnojarsk zero*, Warszawa 2012
(Maciej Szumilak) 89

Na okładce: Uroczystość przy Pomniku-Grobie Nieznanego Sybiraka podczas XII Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru – Białystok 7 września 2012 r. Fot. M.B. Kuczyńska (s. 1); okładka książki A. Diaczyńskiego (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nac.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

władze naszego Związku, od lat wpierającego edytorski trud redakcji.

Nie czuję się kompetentny do tego, aby oceniać merytoryczną stronę naszego kwartalnika, jego tematyczną spójność i użyteczność publikowanych w nim tekstów. Posłużę się więc tutaj fragmentem recenzji wydawniczej autorstwa ks. prof. dra. Franciszka M. Rosińskiego OFM, z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który napisał: „wielką zasługą »Zesłańca« jest ukazywanie obiektywnej prawdy o tej przemilczanej lub przeinaczanej fazie naszej historii najnowszej, informowanie zarówno o podstawowych ówczesnych wydarzeniach, jak i przedstawienie poszczególnych sytuacji życia zesłańczego, scharakteryzowanie postaw ówczesnych ludzi i warunkach niejednokrotnie ekstremalnych, a także odnoszenie się władz państwowych ZSRR i ludności tubylczej do Polaków.”

Odbiciem tej recenzyjnej konkluzji jest bieżący numer „Zesłańca”, który mam nadzieję zostanie z zainteresowaniem i życzliwością przyjęty przez naszych Czytelników. Dziękuję też im za przysyłanie swoich relacji z zesłania, które poszerzają tematykę publikowanych artykułów. Dziękuję też za wspieranie finansowe naszego pisma, ciągle bowiem jesteśmy w potrzebie. Proszę o jej zaspokojenie kieruję także do Oddziałów i Kół naszego Związku i mam nadzieję, że przyjmą ją z wyrozumiałością i życzliwością.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

DAMIAN BIENIAS

**ŻYCIE CODZIENNE SYBERYJSKIEJ V DYWIZJI
STRZELCÓW POLSKICH W OKRESIE JEJ
STACJONOWANIA W NOWONIKOŁAJEWSKU
NA SYBERII W 1919 ROKU**

W kwietniu 1919 r. Wojsko Polskie na Syberii liczyło 10772 ludzi. Na tą liczbę składało się 705 oficerów, 33 lekarzy, 36 urzędników, 1111 podoficerów frontowych, 5524 szeregowych frontowych, 320 podoficerów niefrontowych i 3043 szeregowych niefrontowych. Dysponowało również 1308 końmi. Według oficjalnych danych do lipca 1919 r. stan osobowy osiągnął liczbę 11278 ludzi¹. Ponadto do dywizji należały trzy pociągi pancerne: „Kraków”, „Poznań” i „Warszawa” oraz kilka uzbrojonych statków pływających po Obie².

Wojsko dzieliło się na Dowództwo Wojsk Polskich na Syberii i V Dywizję Strzelców Polskich. Z dowódców dywizji, brygady i pułków utworzono Radę Wojenną, która była organem doradczym dla dowódcy wojsk. Skład oficerski V DSP, której dowództwo objął płk Kazimierz Rumsza, wyglądał następująco: szefem sztabu dywizji został mjr Benedykt Chłusiewicz, brygadierem został ppłk Jan Skorobohaty-Jakubowski, zaś pułkami dowodzili płk Bołdak, ppłk Ludwik Kadlec, ppłk Romuald Kohutnicki³. Ponadto batalionem kadrowym dowodził ppłk Dunin-Brzeziński, batalionem szturmowym kpt. Edward Dojan-Miszewski, pułkiem ułanów płk Konrad Piekarski, a pułkiem artylerii płk Karol Skirgiełło-Jacewicz⁴.

Kpt. Romuald Wolikowski w swoim raporcie ze stycznia 1919 r. prognozował, że na Syberii zostanie utworzony dwu dywizyjny korpus, gdyż napływ

¹ Stan podany za raportem płk. Waleriana Czumy z 30 kwietnia 1919 r. oraz za oficjalnymi depeşami płk W. Czumy do gen. Józefa Hallera, zob. H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914-1920*, Warszawa 1990, s. 558-560; zob.: E. Kozłowski, M. Wrzosek, *Historia oręża polskiego 1795-1939*, Warszawa 1984, s. 498; Pod względem liczebności była to druga formacja sojusznicza, po Korpusie Czechosłowackim, na Syberii, zob. J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion Litewski im. Witolda Wielkiego przy 5 Dywizji Strzelców Polskich*, [w:] *Nad Bałtykiem. W kręgu polityki, gospodarki, problemów narodowościowych i społecznych w XIX i XX wieku: księga jubileuszowa poświęcona profesorowi Mieczysławowi Wojciechowskiemu: zbiór studiów*, pod. red. Z. Karpusa, J. Kłaczkowa, M. Wołosa, Toruń 2005, s. 980.

² T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, [w:] R. Dyboski, *Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915-1921*, Warszawa 2007, s. 21, 23.

³ W opracowaniach pojawia się też nazwisko Kogutnicki. [przyp. aut.]

⁴ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 555-558; por. J. Rogowski, *Dzieje Wojska Polskiego na Syberii*, Poznań 1927, s. 66-67.

ochotników i spisy ludności na tych terenach pozwalały na optymistyczne oceny ilości rekrutów, jednak nie ukrywał, że będzie to trudne do urzeczywistnienia⁵. Drugiej dywizji nie utworzono.

Struktura ludności, która uformowała V Dywizję, była najbardziej zróżnicowana spośród wszystkich polskich formacji wojskowych utworzonych w czasie I wojny światowej. Niezwykle trudny był problem konsolidowania istniejących oraz powstających oddziałów po ich przybyciu do Nowonikołajewska, nie wspominając o integrowaniu żołnierzy w ramach poszczególnych jednostek. Wprawdzie trzon dywizji tworzyli byli jeńcy z armii austro-węgierskiej, tzw. „awstryjcy”, jednak znajdowali się tam też byli żołnierze pruscy i rosyjscy, czyli „germańce” i „czubaryki”. Oficerowie z trzech armii zaborczych musieli zintegrować się z dowódcami mającymi za sobą doświadczenie i tradycję Legionów Polskich, tzw. „legunami”, bądź przybyłymi z błękitnej armii gen. Józefa Hallera⁶.

Znaczny problem stanowiło też wyszkolenie. Doświadczeni czteroletnią wojną wojskowi stanowili znacznie lepszy materiał do budowania silnej armii niż ochotnicy, często małoletni, nie mający nic wspólnego z karabinem. Do tego dochodziły różnice w pochodzeniu⁷: Polacy z zaboru pruskiego czy austriackiego, uświadomieni narodowo, mieszały się z Polakami z zaboru rosyjskiego, mocno zrusyfikowanymi, którzy uciekli bądź zostali ewakuowani na wschód przed nadchodzącymi Niemcami, oraz z Polonią syberyjską, będącą potomkami zesłańców, często nawet niewiele mówiącą po polsku, a Ojczyznę znającą jedynie z opowiadań. Ponadto istniał społeczny podział na szlachtę i chłopów. Każdy z tych Polaków inaczej był wychowywany, w trojaki sposób „tresowany” na froncie, miał inną świadomość narodową, inne zapatrywania na sytuację polityczną w Rosji, ale przede wszystkim każdy z nich miał inne pojęcie o Polsce. Łączyła ich jedynie jedna myśl – chęć powrotu do Ojczyzny, nie ważne jakiej, ważne, że niepodległej⁸.

Owa chęć powrotu spowodowała, że na przełomie 1918 r. i 1919 r., zgłaszało się coraz mniej ochotników. Zakończenie wojny stawiało pod znakiem

⁵ J. Neja, *Charakterystyka środowiska V Dywizji Strzelców Polskich na Syberii*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod. red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 1998, s. 278. Gen. Haller podobnie prognozował latem 1918 r., zob. Z raportu gen. J. Hallera do Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu o stanie i organizacji polskich formacji wojskowych uczestniczących w interwencyjnej akcji antyradzieckiej oraz o pracy konspiracyjnej POW w Rosji [sierpień 1918 r., Paryż], [w:] *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, oprac. W. Gostyńska i in., t. I, Warszawa 1962, s. 465; por. Raport szefa Sztabu Dowództwa Wojsk Polskich we wschodniej Rosji kpt. Wolikowskiego do dowódcy Wojsk Polskich we Francji gen. J. Hallera o przebiegu formowania kontrewolucyjnych oddziałów polskich we wschodniej Rosji i na Syberii, 19 I 1919 r., Omsk, [w:] *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, oprac. W. Gostyńska i in., t. II, Warszawa 1961, s. 74-75.

⁶ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 278-279; J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 70; W. Scholze-Srokowski, *Geneza Wojska Polskiego na Syberii*, „Sybirak”, nr 9 (1) 1936, s. 12.

⁷ O nieprzejeźdźdanych wobec siebie żywiołach Galicjanów, Poznańczyków i Królewianów wspomina już prof. Dyboski, zob. R. Dyboski, *Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915-1921*, Warszawa 2007, s. 66.

⁸ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 278-279; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, Warszawa 2006, s. 22-23.

zapytania sens tworzenia wojska przeznaczonego do walki z państwami centralnymi. Często tzw. „dekownikom”, czyli jeńcom, którzy „zasiedzieli się” podczas niewoli w gospodarstwie domowym u jakiegoś chłopca, „milsza była chałupa syberyjska niż mundur, nawet polski”⁹. Wielu z nich miało tam drugą żonę, „która wzięła go z obozu na roboty polne”. Wielu z nich miało u „syberyjskiej baby” dobrobyt, często większy niż w prawdziwym domu. Z nich utworzono w późniejszym czasie 4. pułk¹⁰.

Rekrutów więc mobilizowano przymusem spośród jeńców polskich, co nie zawsze spotykało się z ich entuzjazmem¹¹. Polakom pomagali w tym Czesi, którzy zmuszali głodem i biciem do wstępowania „na ochotnika”.

Należy bowiem zaznaczyć, że, o ile u góry zapału było dużo, u dołu, więc wśród tych, co właśnie tworzyć mieli te zbrojne [...] zastępy, zapału i wiary w dzieło było zgoła mało¹².

Do wojska wstępowali też polscy komuniści, którzy wcześniej walczyli przeciwko białym, a po rozbiciu ich oddziałów przechodzili do Wojska Polskiego, chroniąc się przed wyrokami bądź pościgiem¹³.

Znana jest historia Polaka, który zrobił karierę jako bolszewicki komisarz, później skazany przez białych na śmierć przeżył egzekucję, następnie wstąpił do dywizji w Nowonikołajewsku i dostał się do niewoli pod Klukwienną. Przez cały ten czas towarzyszyła mu rodzina. W 1920 r. został zabity przez bolszewików¹⁴. Innym przykładem był Benedykt Michajłowski, który po ucieczce z korpusu Dowbora wstąpił do czerwonej gwardii na Syberii. Walczył z Czechami podczas ich buntu i dostał się do niewoli. Osadzono go w Czycie. Za radą współwięźniów złożył podanie o wstąpienie do wojska polskiego, a po interwencji komendanta placu zbornego wypuszczono go z więzienia. Oprócz takiej wątpliwej ideowo jakości żołnierzy było też wielu zdecydowanych kryminalistów. Każdy wiedział, jakim oni są „elementem” i wielu się ich bało, ale, jak podkreśla Bohdanowicz, „te tak zwane rzezimieszki to byli doskonali koledzy”¹⁵.

Główny podział wśród żołnierzy biegł po liniach trzech zaborów. Nieufność panująca między rodakami, często wzajemne antagonizmy na tle politycznym bądź stosunek do prowadzenia działań zbrojnych przeciw bolszewikom implikowały istnienie głębokich rys na obrazie V Dywizji. Wyraźnie ukazuje to powiedzenie, które krążyło po dywizji, w żartobliwy sposób charakteryzujące wszystkie cztery¹⁶ pułki:

⁹ T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, s. 14.

¹⁰ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 26-27.

¹¹ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 279; R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 133; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 27.

¹² P. Smolik, *Przez lądy i oceany. Przygody jeńca w Azji w czasie Wielkiej Wojny. Sześć lat na Dalekim Wschodzie*, Warszawa – Kraków [1921], s. 100.

¹³ Taką sytuację opisuje: E. Stefański, *Wspomnienia z pociągu śmierci*, Warszawa 1967, s. 181-182.

¹⁴ S. Lutyk, *Na Wschód*, Warszawa 1932, s. 126-131 [za:] J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 279.

¹⁵ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 25-26.

¹⁶ Czwarty pułk został rozformowany, dlatego nie podaje się go w oficjalnej numeracji. [przyp. aut.]

pierwszy to pierwszy pułk strzelców polskich imienia Tadeusza Kościuszki, drugi – zweites polnisches Schutzenregiment, trzeci – tretij sibirskij strielkowyj polk, a czwarty [...] czetwiortyj sowietskij piechotnyj polk¹⁷.

Podział owy jeszcze silniejszy był wśród dowódców. Od początku tworzenia formacji znajdowali się w niej oficerowie pruscy, austro-węgierscy, rosyjscy, z Legionów Piłsudskiego bądź z któregoś z korpusów polskich na Wschodzie. Specjalnie stworzono tabelę porównawczą rang, a następnie awansowano część oficerów na wyższe rangi, gdyż brakowało kadry dowódczej¹⁸.

Jednak różnice były zbyt wielkie i doprowadziły do stworzenia nieco kuriozalnej sytuacji – zorganizowano dwa sztaby wojskowe: sztab dywizji i Dowództwo Wojsk Polskich na Syberii. Sztab dywizji, złożony w większości z byłych oficerów rosyjskich, skupiony wokół płk K. Rumszy, byłego dowódcy carskiego, popierał jego chęć walki z bolszewikami w Rosji. Politycznie przeciwstawne mu było Dowództwo Wojsk Polskich na Syberii, ideologicznie państwowo – polskie, o charakterze legionowym, skupione wokół płk W. Czumy, którego zadaniem nadrzędnym był powrót wojsk do kraju. Jego linię podzielał Polski Komitet Wojenny. Kuriozum polegało na tym, że Wojsko Polskie na Syberii składało się z jednej dywizji i kompetencje obu sztabów pokrywały się¹⁹. Ironią było to, że podlegający płk. W. Czumie płk K. Rumsza ze swoim programem, miał poparcie nie tylko wyższych oficerów z byłej armii carskiej, ale przede wszystkim rządu kołczakowskiego i dowództwa francuskiego, co zmuszało dywizję do pozostania na Syberii²⁰.

Władzę, jaką mieli poszczególni dowódcy Wojska Polskiego, dosadnie opisuje anegdota, związana z pogrzebem jednego z poległych żołnierzy, gdzie pewien oficer sztabowy krótko scharakteryzował wszystkie trzy najważniejsze osoby w dowództwie: „Oto trzej dowódcy wojsk polskich na Syberii: były [tj. płk W. Czuma], obecny [tj. płk K. Rumsza] i przyszły [tj. płk J. Skorobohaty-Jakubowski]”²¹. Płk J. Skorobohaty, brygadier, był, podobnie jak pozostali dwaj dowódcy, postacią nietuzinkową. Służył m. in. w armii rosyjskiej, Organizacji Bojowej PPS-u, potem w Legionach Polskich, gdzie dowodził batalionem w brygadzie J. Hallera i w III Korpusie. Dostał się do niewoli niemieckiej, skąd uciekł do Ufy i przyłączył się do mjr W. Czumy²². Cieszył się dużym poważaniem wśród żołnierzy V Dywizji.

Jedną z widocznych oznak wewnętrznych podziałów w dywizji były mundury. Ogólnie noszono co tylko się dało, na ogarniętej mrozami Syberii,

¹⁷ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 147.

¹⁸ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 279-280. Żołnierzy, którzy chcieli wyjechać do Polski przez Wschód nazywano *wostocznikami*, zaś tych, którzy chcieli *bić w mur bolszewicki na Zachodzie* nazywano *zapadnikami*; szerzej zob. R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 134-135; por. A. Juzwenko, *Polska a „biała” Rosja (od listopada 1918 do kwietnia 1920)*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1973, s. 39-41.

¹⁹ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 280; J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 69.

²⁰ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 135. Opinię o serwilizmie i rusofilstwie wyższych dowódców V DSP, zob. P. Smolik, *Przez lądy...*, s. 110.

²¹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 136. Podobną opinię zob. J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 68.

²² J. Kułak, *Ułański życiorys*, „Sybirak”, nr 5 (2) 1990, s. 27-30.

najczęściej łąty i dziury, ale pewne tendencje były aż nadto widoczne. Byli żołnierze cesarsko – królewskiej armii z dumą nosili własne, austriackie mundury, doszywając do nich jedynie orzełka. Podobnie czynili żołnierze z armii pruskiej. Jednak większość nosiła rosyjskie mundury (najlepiej dostępne) z papaszą i doszywanymi czerwonymi lampasami, a nawet obszywanymi na czerwono guzikami. Często tworzone własne umundurowanie na podstawie zasłyszanych opowieści dziadków czy ojców. Tacy dumnie nosili głowy do góry prezentując orzełka i lampasy. Zapotrzebowanie na czerwony materiał było tak duże, że gdzie stacjonowali Polacy, szybko brakowało go w sklepach. Później ujednolicono umundurowanie na francuskie i japońskie. Masową jednak zazdrość wywoływał ubiór i uzbrojenie elitarnego batalionu szturmowego, które było najlepszej klasy francuskiej, japońskiej i amerykańskiej²³.

Wspomniany Benedykt Michajłowski tak mawiał na temat tego strojenia się młodych Polaków:

Naszywajcie, naszywajcie, tak było i u Dowbora, będziecie potem zrywać, też miałem dużo naszytego amarantu, lecz go zdzieralem zębami i pazurami. Będziecie i wy to robić.

Można rzec, że prorocze słowa wypowiedział ten „eksdowborczyk” i ekskomisarz bolszewicki²⁴.



Żołnierze Dywizji Syberyjskiej w czasie transportu koleją transsyberyjską zimą 1919/1920. Wg. W. A. Czarnecki, *Wspomnienia sapera z 5 Dywizji Syberyjskiej ps. „Kotwicz” 1918-1921*, Wrocław 2011.

²³ T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, s. 22; J. Birkenmajer, *Polska dywizja w tajgach Sybiru*, Lwów 1934, s. 16; Z. Lech, *Syberia Polską pachnąca*, Warszawa 2002, s. 244; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 19, 27; W. Scholze-Srokowski, *Geneza...*, „Sybirak”, nr 9 (1) 1936, s. 12.

²⁴ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 27.

Oprócz wewnętrznych sporów wojskowych narastały zewnętrzne spory polityczne pomiędzy Wojskiem Polskim a Polskim Komitetem Wojennym, który rościł sobie prawa zwierzchnictwa nad wojskiem. Nie można zaprzeczyć, że to Polski Komitet Wojenny faktycznie budował dywizję od podstaw, jednak szybko wspólne drogi rozeszły się. Wprawdzie PKW popierał Dowództwo Wojsk Polskich na Syberii w jego dążeniu do powrotu do kraju, ale jednocześnie popadał w konflikt²⁵ z obozem płk K. Rumszy. Ponadto zakres zadań i obowiązków PKW znacznie się powiększył i przerastał możliwości nawet tak rozbudowanej organizacji. Wobec istnienia DWPS, które przejęło część kompetencji PKW, stawiano pod znakiem zapytania sens działania komitetu²⁶. Wobec powyższych Dowództwo próbowało wcielić do wojska jego członków, co udało się jedynie połowicznie. Konsekwencją zmiany charakteru działalności PKW był spór z harbińskim Polskim Komitetem Narodowym, który Polakom na Syberii bardziej zaszkodził niż pomógł²⁷.

Konflikty zewnętrzne istniały również na tle narodowym. Nie jest tajemnicą, że mimo początkowej współpracy Polacy i Czechosłowacy nie darzyli się sympatią. Wzmagał to konflikt o Śląsk Cieszyński i prowokacyjne nazwanie przez Czechów „Cieszyn” jednego z pociągów pancernych. Ponadto Polacy oskarżali ich o tchórzostwo i rusofilstwo (co akurat było uzasadnione), zaś Czesi byli nieufni wobec Polaków, uważając ich za kołczakowców. Nawet mocno się ich obawiali, bowiem krążyły pogłoski wśród nich, że jeśli pozostaną w straży tylnej, to Polacy mają zająć tunele pod Irkuckiem, aby zmusić ich do ponownego utworzenia frontu antybolszewickiego. Konflikty nie potrafił załagodzić płk W. Czuma, który był znany z pogardy dla południowych sąsiadów²⁸.

Negatywny stosunek Polaków do kołczakowszczyzny dobrze obrazuje zdarzenie na dworcu kolejowym, gdzie kompania honorowa, miała przywitać przejeżdżającego adm. Aleksandra Kołczaka. Za rozkazem „w tył zwrot” dowódcy por. Stanisława Raczyńskiego, kompania demonstracyjnie odwróciła się i odmaszerowała do domów. Czyn ten, uznany za „objaw zbolszewiczenia”, został zrehabilitowany po wojnie przez prezesa Związku Sybiraków Kazimierza Gintowt-Dziewałtowski. Sam porucznik tłumaczył go swoim nieposzlakowanym sumieniem obywatelskim i dumą narodową²⁹.

Napiętą sytuację wewnątrz dywizji tworzyli również sami oficerowie, szczególnie ci pochodzący z wojska rosyjskiego, którzy stosowali zakorzeniony

²⁵ PKW zwalczało prokołczakowską politykę dowództwa V DSP, zob. A. Juzwenko, *Polska a „biała” Rosja...*, s. 42.

²⁶ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 280.

²⁷ Szczegółowy opis konfliktu zob. R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 136-139, por. S. Lubodziecki, *Polacy na Syberii w latach 1917-1920. Wspomnienia*, „Sybirak”, nr 6 (2) 1935, s. 16-19; S. Lubodziecki, *Polacy na Syberii w latach 1917-1920. Wspomnienia*, „Sybirak”, nr 7 (3) 1935, s. 38-48; A. Juzwenko, *Polska a „biała” Rosja...*, s. 42-43.

²⁸ J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 81-82; T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, s. 25. Szerzej zob. R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 136. Bohdanowicz z kolei twierdzi, że spór z Czechami o Śląsk był tylko polemiką prasową, a żołnierzy nie obchodził on wcale, zob. S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 42.

²⁹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 146; K. Gintowt-Dziewałtowski, *Patriotyzm wyznańczy*, „Sybirak”, nr 2 (2) 1934, s. 15.

u nich jeszcze z czasów carskich brutalny sposób podejścia do szeregowca, z biciem inwalidy w twarz włącznie³⁰.

Apatię, znużenie i niezadowolenie potęgował brak łączności z krajem bądź też z dowództwem we Francji. Na Syberię dotarła w 1919 r. jedna misja wojskowa od gen. J. Hallera, zaś emisariusze Dowództwa Wojsk Polskich na Syberii, m. in. w osobie ppłk R. Wolikowskiego, niewiele byli w stanie zdziałać, gdy docierali do Polski, często po wielu tygodniach bądź miesiącach ciężkiej podróży³¹. Niektórzy w ogóle nie docierali do Ojczyzny, m. in. por. S. Raczynski, zabity przez sowietów w kilka tygodni po swoim słynnym rozkazie³².

„Nie widząc przykładu i nie czując dyscypliny zacząłem sam tracić do niej chęć” – pisał Stanisław Bohdanowicz³³. Uczucia te wzmagало coraz cięższe położenie dywizji, wynikające ze wzrastającego zagrożenia bolszewickiego i braku możliwości wyjazdu do Ojczyzny. Żołnierze musieli przelewać niepotrzebnie krew w operacjach chroniących Kolej Transsyberyjską. Rozwijała się również sowiecka propaganda. Powstawały grupy komunistów w pojedynczych jednostkach dywizji. W 1. pułku piechoty, według danych kontrwywiadu, cała kompania uległa owym nastrojom. Na stronę bolszewików przeszło dobrowolnie 200 kawalerzystów z 1. pułku ułanów. Czerwona zaraza szerzyła się w dywizji.

Mocno zbolszewiczałe były niewątpliwie szczególnie te pułki, w których – jak w ułanach czy artylerii – dość znaczny procent stanowili żołnierze z armii rosyjskiej.

Dowództwo stosowało wobec nich najsurowsze kary, łącznie z rozstrzelaniem. Za fabryką sucharów, gdzie wykonywano wyroki, padło ponad 20 żołnierzy³⁴.

Zaopatrzenie Wojska Polskiego polepszyło się odkąd pojawiła się misja francuska na Syberii, jednak pełną niezależność uzyskało ono po utworzeniu polskiej intendencji we Władywostoku. W owym czasie żołnierze otrzymali błękitne, hallerowskie mundury, niezbędną zimową odzież, nowe, japońskie karabiny Arisaka 05, francuskie działa, rosyjską amunicję. Polepszył się też byt żołnierzy. Oprócz lepszej żywności, otrzymywali też żołd wypłacany w rublach syberyjskich. Niestety był on bardzo niski, a ponadto w walucie, której kurs codziennie spadał, co powodowało, że nie miał on większej wartości. Jednak nawet tak małe pieniądze pomagały w czasach, w których były tak małe potrzeby³⁵.

Dzięki staraniom litewskich oficerów, działająca w Nowonikołajewsku litewska Rada Narodowa podpisała umowę z polskim dowództwem, które wyraziło zgodę na sformowanie Odrębnego Batalionu Litewskiego im. Witolda

³⁰ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 137, 140.

³¹ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 281. Tymi emisariuszami byli ppor. Wawrzynki i chor. Robakiewicz wysłani przez linię frontu, kpt. Marcinek, kpt. Burhardt i ppłk. Wolikowski przez Amerykę, ppor. Krygowski i miczman Giedgowd przez stopy, Morze Kaspijskie, Kaukaz, Morze Czarne i Rumunię, a z ramienia PKW wyjechali gen. Żukowski oraz panowie Strzelecki i Suchenek, zob. H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 567; por. J. Birkenmajer, *Polska dywizja...*, s. 23-24.

³² K. Gintowt-Dziewałtowski, *Patriotyzm wygnańczy*, „Sybirak”, nr 2 (2) 1934, s. 15.

³³ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 28.

³⁴ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 140-141; J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 282-283; M. Wrzosek, *Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914-1918*, Warszawa 1990, s. 456.

³⁵ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 561; J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 36.

Wielkiego (SLB) przy V DSP pod dowództwem kpt. Linkeviciusa i wydało rozkaz kierujący do owej jednostki Litwinów z dotychczas utworzonych oddziałów³⁶. Zdołano zorganizować tylko jedną kompanię, którą nazywano „gwardią przyboczną” płk K. Rumszy, z powodu względów jakimi cieszyła się u polskiego dowódcy³⁷. Zabierał on Litwinów nawet do swojej willi letniej pod Nowonikołajewskiem³⁸. Warto przytoczyć fakt, iż żołnierze litewscy razem z Polakami, Czechami i Rosjanami 15 lipca 1919 r. wzięli udział w paradzie wojskowej w Nowonikołajewsku z okazji 509-tej rocznicy wiktorii grunwaldzkiej, która odbyła się przed dowódcami wojsk sprzymierzonych³⁹.

Wzmoczony napływ ochotników w drugiej połowie 1919 r. doprowadził do wycofania jednostki litewskiej z zadań ochrony Kolei Transsyberyjskiej w celu sformowania następnych kompanii. Gotowość bojową SLB osiągnął w listopadzie 1919 r. W tym samym czasie, zgodnie z wzorcami z polskiej dywizji, dbano o rozwój kulturalny litewskich żołnierzy, poprzez zorganizowanie biblioteki, prenumeraty pism litewskiej emigracji z Ameryki, a także organizowanie odczytów i referatów historycznych. Zwalczano również analfabetyzm⁴⁰.

Osobny akapit należy poświęcić dość tajemniczemu, ponieważ słabo udokumentowanemu i lakonicznie opisanemu, buntowi 4. pułku piechoty, który miał miejsce przed Świętami Wielkanocnymi 1919 r. Za powód buntu podaje się przede wszystkim jego „sowieckość” czyli sympatie bolszewickie⁴¹, o czym świadczy już przytoczony wierszyk. Inną podawaną przyczyną rozwiązania pułku było, że „nie pozwolił na wywiezienie z Nowonikołajewska oficerów wojennych jeńców Polaków i prosił o powrót do Polski”⁴², co wobec wspomnianej niechęci do przymusowego poboru wydaje się być prawdopodobne. Wspomina się również, że przyczyną buntu była odmowa wyruszenia na akcję antypartyzancką⁴³, zaś R. Dyboski podaje, że owy „bunt” był „sztucznie roz-

³⁶ CAW, Wojsko Polskie na Syberii, I.122.91.756, Rozkaz dowódcy Wojsk Polskich we Wsch. Rosji i na Syberii do 5 Dywizji Strzelców z 24 czerwca 1919 r. [za:] J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion...*, s. 979. J. P. Wiśniewski za autorami litewskich opracowań historii batalionu podaje również daty 27 czerwca i 13 czerwca jako początek organizacji batalionu.

³⁷ Dzięki płk. Rumszy kompania była lepiej wyposażona i umundurowana niż pozostałe jednostki V DSP, co J. P. Wiśniewski zrzuca na karb nie tylko jego litwinofilstwa, ale sugeruje, że chciał on wykorzystać Litwinów do własnych planów wobec konfliktu w Dowództwie Wojska Polskiego na Syberii, zob. J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion...*, s. 980.

³⁸ O stosunku płk. Rumszy do swoich pretorianów, zob. R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 141. O *pieszczonym dziecku pułkownika Rumszy* zob. J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 72-73. Po przeciwnej stronie był batalion szturmowy – „oczko w głowie” płk Czumy, zob. S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 58-59.

³⁹ CAW, Wojsko Polskie na Syberii, I. 122.91154, Rozkaz dowódcy Wojsk Polskich we Wsch. Rosji i na Syberii do 5 Dywizji Strzelców z 14 VI 1919 r. [za:] J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion...*, s. 980; D. Radziwiłowicz, *Tradycja grunwaldzka w świadomości politycznej społeczeństwa polskiego w latach 1910-1945*, Olsztyn 2000, s. 80; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 44.

⁴⁰ J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion...*, s. 981-982.

⁴¹ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 281; L. Grosfeld, *Polskie reakcyjne formacje wojskowe w Rosji 1917-1919*, Warszawa 1956, s. 188; A. Domaszewski, *Generał Janin o Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak”, nr 11 (3) 1936, s. 38-39.

⁴² H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 566.

⁴³ T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, s. 24.

dmuchany”⁴⁴. S. Bohdanowicz twierdzi zaś, że żołnierze po prostu „zażądali rozpuszczenia ich z powrotem do chłopskich chałup”⁴⁵. Potwierdza to A. Domaszewski: „podkładem buntu był nie bolszewizm, ale niechęć siłą zmobilizowanego jeńca do wojska polskiego”⁴⁶.

Po sprawdzeniu przez dowódców, czy pozostałe pułki pójną jego śladem, rozkazano otoczyć koszary w Wojennym Gródku. Na następny dzień 4. pułk złożył broń. Aresztowano oficerów i internowano, zaś po dochodzeniu skazano na ciężkie roboty w jednostce, np. usuwanie śniegu, którego były ogromne masy. Pozostałych żołnierzy wcielono albo do innych pułków, albo sformowano z nich kompanie wyznaczone do specjalnych robót, albo zatrudniono ich w dywizji jako ordynansów, krawców, piekarzy, szewców. Pozostali zasilili batalion kadrowy⁴⁷.

Warto przytoczyć ciekawą uwagę o V Dywizji Strzelców Polskich, która dosadnie charakteryzuje samodzielność tej formacji:

5-ta Dywizja Strzelców, jedyna może z formacji eksterytorialnych, stworzonych przed powstaniem państwa Polskiego, miała największą samodzielność, wykazała żywotności i inicjatywy w swej wewnętrznej organizacji, z dala bowiem od bezpośredniego widomego celu służenia Ojczyźnie, otoczona zewsząd wrogimi żywiołami, zostawiona wyłącznie własnym siłom, [...] zorganizowawszy się w końcu w samodzielną zupełnie jednostkę bojową, która [...] za rządów admirała Kołczaka była państwem w państwie⁴⁸.

V Dywizję Strzelców Polskich trzymały na Syberii dwie potężne siły, którym nie mogła sprostać: adm. A. Kołczak, wielkorządca Rosji, i gen. Pierre Janin, dowódca sił sprzymierzonych. Obie te siły dążyły do tego, aby walczone pułki polskie pozostały na Syberii⁴⁹. Polacy udowodnili swoją wartość w 1918 r. na froncie uralskim, a w 1919 r. dostali okazję, by jeszcze raz wykazać się, tym razem na froncie syberyjskim⁵⁰.

Sukcesy Armii Czerwonej na froncie, aktywizowały rozwój partyzantki komunistycznej na całej Syberii, która dezorganizowała działalność zaplecza armii adm. A. Kołczaka. Dowództwo alianckie i białogwardyjskie skierowało do ochrony magistrali Kolei Transsyberyjskiej znaczne siły: wyspecjalizowane jednostki rosyjskie i Korpusu Czechosłowackiego. Funkcjonowanie kolei stało się priorytetem, za który odpowiadać miały również oddziały V Dywizji⁵¹. Od początku maja 1919 r. 3 pułk obejmuje ochronę Kolei Transsyberyjskiej na linii Nowonikołajewsk – Tatarskaja – Sławgorod. Zgodnie z założeniami oddziały miały we własnym zakresie likwidować bandy bolszewickie, jeżeli istniało zagrożenie kolei⁵².

⁴⁴ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 147.

⁴⁵ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 34.

⁴⁶ A. Domaszewski, *Generał Janin...*, s. 39.

⁴⁷ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 34-35; A. Domaszewski, *Generał Janin...*, s. 39.

⁴⁸ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 566.

⁴⁹ Należy dodać, że Polacy byli najliczniejszą, po Korpusie Czechosłowackim, formacją wojsk sprzymierzonych.

⁵⁰ Por. J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 80.

⁵¹ Z. Łukowski, *Historia Syberii*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1981, s. 315.

⁵² H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 570-571; J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 38.

W maju dwa bataliony piechoty i dwa szwadrony jazdy pod dowództwem mjr Wernera zostały wysłane do ochrony linii kolejowej na północ od stacji Barabińsk w kraj zwany Urmanem. Obszar objęty działaniem obejmował ok. 25 tys. km kwadratowych i był w znacznej mierze terenem bagnistym i lesistym. Zamieszkiwało go niewielu ludzi w zaledwie kilkudziesięciu wsiach, często oddalonych od siebie o wiele kilometrów. Pochodzili oni głównie z przesiadłości z centralnej Rosji bądź zsyłek. Na szczęście powstańców rozpędzono w ciągu tygodnia, gdyż Dowództwo Wojsk Polskich zmuszone było wysłać kolejną grupę operacyjną⁵³.

Drugie powstanie bolszewickie, wybuchłe na południe od Nowonikołajewska zagrażało samemu miastu. Zdecydowano wysłać oddział w celu jego stłumienia, jednak nie znalazło to pozytywnego oddźwięku wśród pospolitych szeregowców, którzy uważali, że dowództwo szuka „tanich laurów”. W okolice Kamienia wysłano jednostki kpt. Józefa Werobeja, kpt. Franciszka Dindorfa-Ankowicza i kpt. E. Dojan-Miszewskiego⁵⁴. Dzięki lekkim wozom stepowym potrafili przebyć dziennie po kilkaset kilometrów polując na liczne oddziały partyzanckie wspomagane przez regularne jednostki Armii Czerwonej, wielokrotnie je rozbijając. Niestety nie udało się w pełni pokonać bolszewików, gdyż bandy, w przeciwnieństwie do regularnego wojska, łatwo kryły się po wsiach udając zwykłych mieszkańców⁵⁵.

W celu stłumienia powstania Gromowa i Mamontowa wydzielono dużą grupę operacyjną pod dowództwem płk J. Skorobohatego-Jakubowskiego, złożoną z 4 baonów, 2 szwadronów kawalerii i 2 baterii. Podzielono ją na dwie grupy, pod dowództwem ppłk R. Kohutnickiego i płk Bołdyka⁵⁶. Najcięższy bój żołnierze stoczyli 10 października 1919 r. pod Sidorskoje („Sidorką” jak mawiano). Polacy atakowali od strony otwartych pól, zaś bolszewicy oparli obronę o wieś. Bój był ciężki, tym bardziej, że nie można było skorzystać z artylerii, gdyż okazało się, że kule armatnie są za duże do polskich dział. Ponadto w godzinach wieczornych doszła informacja, że oddziały kołczakowskie, mające wspomagać Polaków, przeszły na stronę sowietów. Bitwa zakończyła się odwrotem liczoną w wielu dziesiątkach kilometrów przez stepy⁵⁷.

W trakcie tej wyprawy w stepy kułundyjskie w jednej z bitew zaśląnął odwagą dowódca kompanii Ludwik Strugała.

Na wiadomość, że Jego dowódca [płk Skorobohaty] został raniony, idzie samorzutnie, niepomyślnie na własne niebezpieczeństwo, do linii bojowej, i na własnych barkach wynosi, czołgając się, ciężko rannego dowódcę z pola śmierci...⁵⁸

⁵³ W. Scholze-Srokowski, *V Dywizja Strzelców Polskich na Syberii*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory. Antologia historyczno-kulturowa*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1993, s. 355. Grupę urmańską tworzyła część drugiego pułku strzelców, dywizjon jazdy i baterii, [...] wraz z jednym batalionem trzeciego pułku, por. H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 571.

⁵⁴ W. Scholze-Srokowski, *V Dywizja...*, s. 355-356.

⁵⁵ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 571-572.

⁵⁶ W. Scholze-Srokowski, *V Dywizja...*, s. 357.

⁵⁷ J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 39; B. Chłusewicz, *W obronie honoru żołnierzy 5-tej Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak”, nr 13 (1) 1937, s. 12.

⁵⁸ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Ś. p. ppłk. Ludwik Strugała*, „Sybirak”, nr 7 (3) 1935, s. 58.

Nie był to pierwszy taki śmiały wyczyn tego człowieka. Jako jeden z pierwszych dowódców w dywizji (wstąpił do wojska 6 lipca 1918 r. i od razu objął dowództwo kompanii, którą organizował) brał udział w walkach na froncie ufijskim, gdzie m. in. poprowadził zwycięskie ataki swojej kompanii w bitwach pod Belebejem i pod Konstantynówką, gdzie walczyła na bagnety⁵⁹.

Karne ekspedycje były tragiczne dla morale częściowo już zdemoralizowanego wojska polskiego. Otoczeni od dawna wojną i krajem syberyjskim zdziaczalym przez rewolucję, mając za sobą doświadczenia niewoli i służby frontowej, obok siebie Rosjan czy Czechów, których moralność już dawno upadła, a przed sobą niepewną przyszłość, upodobnili się do swoich sojuszników. Wyprawy stały się kowadłem, na którym ukuto posąg kata – Polaka. Idąc za rosyjskim wzorem nauczyli się

mordować, palić, niszczyć i nade wszystko grabić [...] tak samo jak Polacy w Hiszpanii za Napoleona nauczyli się hulać nie gorzej od żołdactwa francuskiego [...], sami nieraz w chwilach opamiętania dziwili się swym czynom.

Oficerowie wcale nie przeciwdziałali temu stanowi rzeczy, głosząc „złote” zasady: „chłopie, na co twoje oczy patrzą, to twoje”⁶⁰, albo „dalej chłopcy, odkuć się”, czy prawo „sprawiedliwości” za krzywdy rozbiorowe⁶¹.

W podobnych słowach wypowiadał się Przemysław Smolik:

[te] tzw. karne ekspedycje („karatelnije otrjady”) węszyły po całej tej nieszczęśliwej ziemi, biły, katowały rozstrzeliwały najniewinniejszych ludzi na byle doniesienie wroga – sąsiada lub mszczącego się za doznaną kiedyś obrazę lub porażkę współzawodnika. – Każdy ataman [...] wysyłał swoje oddziały karne; dyktator Kołczak i Czesi – też swoje... A w końcu do tego pięknego grona dali się także wciągnąć Polacy na Syberii...⁶²

Żołnierze nazywali to „chodzeniem na wyprawy”. Wielu z nich bardzo chętnie to robiło, gdyż, jak powiadali, można było na nich „odkuć się”⁶³. W rozbojach przewodził doborowy batalion szturmowy kpt. E. Dojana-Miszewskiego. Podobno tak „dokazywał” na wyprawach, że aż Rosjanie zwykli mawiać, że „Polacy, to jeszcze nic, ale te Dojany, to straszny naród”⁶⁴. Powiedzenie to wynikało również ze specjalnego wyposażenia, jakie mieli „szturmacy”, mianowicie żelaznych hełmów, zamiast rogatywek. Stąd znana jest druga wersja tego powiedzenia: „Polacy to wprawdzie rogate diabły (od rogatywek właśnie), ale te Dojany to naród jeszcze straszniejszy od Polaków!” Tak o Polakach mawiali chłopcy syberyjscy⁶⁵. Wśród bolszewików utarło się inne powiedzenie: „Dojany z pticzkami”, gdyż tak nazywali „orzelki” na hełmach żołnierzy⁶⁶.

⁵⁹ J. Nałęcz-Koniuszewski, *Ś. p. ppłk. Ludwik Strugała*, „Sybirak”, nr 7 (3) 1935, s. 58-59.

⁶⁰ Tak mawiał płk Kohutnicki, zob. S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 54.

⁶¹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 68, 145.

⁶² P. Smolik, *Przez lądy...*, s. 87.

⁶³ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 52.

⁶⁴ R. Dyboski, *Siedem lat...* s. 146.

⁶⁵ J. Birkenmajer, *Polska dywizja...*, s. 17-18.

⁶⁶ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Cieniom towarzyszy broni pod Tajgą*, „Sybirak”, nr 8 (4) 1935, s. 54.

Nie ma się czemu dziwić skoro polskie oddziały karały wioski syberyjskie za to, że chłopci uciekli w lasy przed terrorem:

wieszając, zabierając („rekwirując”) bydło, konie, zboże, wozy i [...] dobytek domowy, który potem rzucono jeszcze w drodze, lub porzucono nieco później w Nowonikołajewsku, w momencie pospiesznej ewakuacji.

Kilkakrotnie polscy żołnierze wracali z wypraw pędząc przed sobą bydło i konie, mając wozy zapakowane wszelakimi rzeczami, „rupieciami”, bezcennymi dla chłopów⁶⁷. Słynną „zdobyczą” wojenną stało się 180 samowarów wystawionych na pokaz w sztabie dywizji⁶⁸. Wokół Nowonikołajewska zaś pasły się stada bydła, przeważnie „chronione” przez byłych żołnierzy 4 pułku⁶⁹.

Żołnierze na wyprawach robili co chcieli. Gdy do wsi wchodziły polskie oddziały rozpoczynały się represje na chłopach,

używali sobie na babach syberyjskich, jedli co chcieli. Niejeden [...] się chwalił, że tyle gęsi, kur i kaczek przez całe życie nie zjadł, co podczas wypraw. Tam już żadna młoda dziewczyna ani baba nie mogła być spokojna.

Urządzano nawet wymyślne widowiska ku własnej uciechy. Popularne było zapędzanie kobiet ze wsi do największego spichlerza i dzielenie ich na dwie grupy.

Najpierw jedna partia bab musiała położyć się na podłodze i pozadzierać spódnice, a druga biła leżące różgami, w które uzbroili je żołnierze. Stali oni i pilnowali, aby te, co biją różg nie żałowały, a gdy już się pomęczyły, kazano im położyć się na podłodze z zadartymi kieckami. Obite wcześniej nie musiały być pilnowane – z bólu i zemsty waliły z całych sił. Żołnierze robili zakłady, po ilu uderzeniach baba się ususia. W tych zabawach udział brali wszyscy, nie wyłączając oficerów.

Po takich widowiskach ciężko było spotkać żywą duszę w następnych wsiach⁷⁰.

Walki takie z każdym tygodniem były okrutniejsze. Podpalano wsie, a gdy z lasów wybiegali chłopci, aby ratować gospodarstwa, „karmiono ich” ogniem kaemów. Obróciło się to przeciwko zarówno władzy A. Kołczaka jak i zwykłym żołnierzom. W odwecie chłopci, jeżeli złapali kogoś, „wykluwali [mu] oczy, wrywali język, wycinali lampasy wraz z skórą”, torturowali w jeszcze bardziej wymyślny sposób. S. Bohdanowicz jednak twierdzi, że Polacy byli dużo łagodniejsi w swych poczynaniach od Kozaków, Czechów, Serbów czy Włochów, którzy okrutnie zamęczali na śmierć złapanych chłopów z bronią w rękę. Polacy „tylko” ich rozstrzeliwali⁷¹.

Z wypraw coraz to nowe ciała polskich żołnierzy przywożono do Nowonikołajewska, gdzie ich chowano, narażając się na szyderstwa rosyjskiej ludności, mówiącej, że „Polacy wiozą w paradzie na cmentarz trumny pełne piasku, żeby wywołać wrażenie, że się naprawdę biją”⁷².

⁶⁷ P. Smolik, *Przez lądy...*, s. 108-109.

⁶⁸ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 145.

⁶⁹ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 52.

⁷⁰ Tamże, s. 52-53.

⁷¹ Tamże, s. 52-53.

⁷² R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 145.

Wojsko Polskie na Syberii miało w rzeczywistości większą siłę militarną aniżeli polityczną.

Imponująca postawa naszych wojsk, uznanych ogólnie za najlepsze, a szczególnie baonu szturmowego, wzbudzała u obcych niezakłamaną zachwyty i szczere uznanie. Rosjanie byli zdumieni i często można było słyszeć zdanie: „eto nastojaszczaje wojsko, nie to czto nasza swołocz”⁷³.

Ciekawą anegdotę można przytoczyć w związku z aresztowaniem przez koczakowców polskiego żołnierza. Płk Lichtarowicz z miejsca zagroził, że wyśle oddział wojska, jeżeli go nie wydadzą. Zrobili to natychmiast. Był to wyjątek, bo tak naprawdę Polacy byli bezkarni. Nikt nie odważył się tknąć polskiego żołnierza. „Wystarczyło mieć orzełka na czapce”. To przyciągało zbiegłych kryminalistów, którzy zaczęli masowo wstępować do wojska, by ukryć się przed rosyjskim więzieniem⁷⁴.



Stacja Bogotoł na Syberii w 1919 r. (Zbiory autora)

W kwestii dyscypliny wojskowej pozwolę głos oddać tutaj Henrykowi Bagińskiemu, który w taki oto sposób opisuje Polaków:

charakterystyczną i bardzo znamioną cechą jest to, że gdy oddziały i pojedynczy członkowie Wojsk Sprzymierzonych, a przede wszystkim Czesi, zajęli się w tym czasie handlem i spekulacją, wykorzystując swe położenie i różnicę waluty Dalekiego Wschodu i centrum Syberii, to dowództwo [polskie] w tym właśnie okresie wyplenia w zarodku i z całą bezwzględnością wszelkie ku temu dążenia, podrywające dyscyplinę wojskową i dzięki temu doprowadza swe oddziały do wysokiego poziomu wychowania wojskowego, kierując się jedynie myślą powrotu do kraju i przyprowadzenie Ojczyźnie dzielnych i niezepsutych niczym swych jednostek bojowych⁷⁵.

⁷³ P. P. Tyszka, *Z tragicznych przeżyć w V-tej Syberyjskiej Dywizji i w niewoli (1918-1921)*, „Sybirak” nr 12 (4) 1936, s. 18.

⁷⁴ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 54.

⁷⁵ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 561.

Do formującego się wojska polskiego wciąż napływali nowi ochotnicy z całej Syberii, nie tylko jeńcy, ale i zrusyfikowani potomkowie powstańców styczniowych. Nad narodowym uświadamianiem owych ludzi, ale również nad kształceniem dotychczasowego zaciągu, miała dbać powołana przez Dowództwo Wojsk Polskich na Syberii sekcja kulturalno-oświatowa, która odbywała narady w każdy wtorek. Stworzono biblioteki i teatry, a ponadto ustanowiono instruktorów oświatowych przy każdym baonie. Najczęściej wywodzili się oni z przedwojennej kadry nauczycielskiej. Organizowali oni zajęcia na cały tydzień dla swoich batalionów, jednocześnie pełniąc służbę wojskową. Działalność ta przyniosła wymierne rezultaty, gdy zdemoralizowane wojsko kołczakowskie, częściowo również czeskie bądź innych narodowości, nie wytrzymało naporu bolszewików, bądź ulegało komunistycznej propagandzie. Polacy jako jedyni stali „jak mur granitowy wśród wzburzonego morza”⁷⁶, dzięki czemu skutecznie bronili się w czasie ewakuacji⁷⁷.

Oficerów zgłaszających się do wojska kierowano do kompanii oficerskiej, a następnie do szkoły oficerskiej dowodzonej przez ppłk Władysława Hickela w celu doksztalcenia, bądź do szkoły karabinów maszynowych mjr Kulikowskiego, gdzie szkolili się razem z szeregowymi. Żołnierze ogólnie czuli potrzebę samokształcenia. Szkołę oficerską skończyło 500 osób, oficerami karabinów maszynowych zdecydowało się zostać 60 osób, oficerami artylerii 30 osób, oficerami jazdy 20 osób, kurs intendenty i administracji – 40 osób (w tym urzędnicy wojskowi). Ponadto 6 oficerów ukończyło wyższy kurs instruktorów artylerii w Krasnojarsku zorganizowany przez misję francuską⁷⁸, a kilku (m.in. mjr Emil Werner i kpt. Mieczysław Kotwicz) uczestniczyło jesienią 1918 r. w wykładach Petersburskiej Akademii Generalnego Sztabu, która po rewolucji tymczasowo „zakotwiczyła” w Tomsku⁷⁹.

Odczyty i referaty z historii i literatury dla żołnierzy organizował prof. R. Dyboski. W trakcie wojny dostał się do niewoli rosyjskiej jako oficer z armii austriackiej. Wykształcony erudyta i gentelman. Brał udział w negocjowaniu warunków kapitulacji pod Klukwienną. Po wojnie zastąpił wydaniem swoich wspomnień z syberyjskich przeżyć, ale przede wszystkim znany był jako słynny lingwista⁸⁰. Będąc kierownikiem sekcji kulturalnej, współpracując z całą rzeszą przedwojennych nauczycieli, walczył z „biernością duchową znękanego żołnierza – tułacza, [o] budzenie ruchliwości umysłowej i tępienie hańbiącego sztańdar polski analfabetyzmu”⁸¹.

Słynne stało się określenie przez profesora dziejów polskiej dywizji na Syberii jako „nowego San Domingo”, gdzie rozgrywała się typowa, historyczna tragedia legionowa polskiego żołnierza – tułacza,

⁷⁶ H. Bagiński, *Wojsko Polskie...*, s. 566. Wzniosła metafora Bagińskiego jest obliczona na efekt patriotyczny, jednak nie da się ukryć, że Polacy w stosunku do innych wojsk nie utracili hartu ducha i dyscypliny wojskowej w ciężkich chwilach tak jak np. Rosjanie.

⁷⁷ Tamże, 565-566.

⁷⁸ Tamże, s. 569.

⁷⁹ W. Mańkowski, *Polacy w Tomsku w latach 1910 – 1921*, „Sybirak”, nr 15 (3) 1938, s. 49.

⁸⁰ Bohun Tomasz, *Nota o autorze*, [w:] Dyboski Roman, *Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915-1921*, Warszawa 2007, s. 29-30.

⁸¹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 79, 149.

wśród nowych tylko dekoracji: zamiast żarów tropikalnych – mrozy syberyjskie, zamiast [...] lasów podzwrotnikowych – tajga [...], zamiast żółtej febry – tyfus plamisty, zamiast murzynów – bolszewicy [...]. A w sercu ta sama beznadziejna tęsknota za dalekim krajem, a na karku to samo jarzmo cudzej służby pod polskim znakiem⁸².

Jak zawsze Polacy walczyli zgodnie ze szlachetną i romantyczną zasadą „za wolność waszą i naszą”. Niestety, jak zawsze nasi sojusznicy martwili się tylko o siebie.

Referaty prof. R. Dyboskiego nosiły tytuły: „Polska Jagiellońska niegdyś a dzisiaj”, „Mesjanizm naszych wieszczów a patriotyzm państwowy w dzisiejszej Polsce”, „Nieboska komedia a zagadnienia społeczne naszych dni”, „Rozwój myśli demokratycznej w Polsce porozbiorowej”, „Księgi Pielgrzymstwa a nasze życie wygnańcze w Rosji”, „Idea legionowa i jej geneza”. Odczyty wygłaszane w kasynie oficerskim z jednej strony miały popularność, z drugiej przeszkadzały innym przy zabawie. Profesor przyznał, że pogodzenie wojskowego życia z kursami oświatowymi i kształceniem historycznym to walka z wiatrakami, nie tylko ze względu na częste warty, wyprawy i hulanki, ale też „melancholijną apatię” żołnierza – analfabety⁸³.

Osobny akapit należy poświęcić żołnierskiemu teatrowi, którego organizacją zajął się Czesław Kaden i Artur Socha. Różnorodny repertuar, na czele z „Mazepą” Juliusza Słowackiego i „Panem Geldhabem” Aleksandra Fredry, przyniosły mu sporą popularność. Powodzeniem cieszył się tzw. „dziadek”, który w żartobliwy sposób podkreślał żołnierską chęć powrotu do kraju. Z okazji 509-tej rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem wystawiono na łąkach pod Nowonikołajewskiem inscenizację bitwy, opartą na *Krzyżakach* Henryka Sienkiewicza. Śmiano się później w szeregach dywizji, że Cz. Kaden, reżyser spektaklu, którego później awansowano na porucznika, otrzymał szarżę za jedną bitwę – bitwę pod Grunwaldem⁸⁴.

Warto pokrótce przybliżyć, w jaki sposób świętowano tę chwalebna rocznicę. Odbyła się uroczysta defilada oddziałów dywizji, którą przyjmowali płk W. Czuma, płk K. Rumsza, oficerowie polscy, francuscy, rosyjscy i czescy. Na powitanie gen. P. Janin zagrano „Marsylianę”, co wywołało konsternację, ponieważ bolszewicy używali tej pieśni jako własnego hymnu (aż do czasu „Międzynarodówki”). W owy dzień był niezwykle upał, jak na warunki syberyjskie, który dał się we znaki wszystkim żołnierzom. Krok za krokiem przemaszerowały wszystkie oddziały dywizji. Szturmowcy defilowali zgodnie z „parademarszem” Wehrmachtu, co wywołało sprzeciw wśród byłych carskich żołnierzy. Zakazano wtedy musztry pruskiej. Odbył się również pokaz walki na bagnety i granaty, zorganizowany przez batalion szturmowy, i pokaz jazdy ułanów⁸⁵.

Na koniec przedstawiono inscenizację bitwy. Główne role grali w niej ułani i artylerzyści, poprzebierani za krzyżaków, Polaków i Litwinów. Zagrano również scenę, w której Zbyszko wioził zwłoki ukochanej Danusi. Niestety,

⁸² R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 131.

⁸³ Tamże s. 149.

⁸⁴ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 282, R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 148; P. P. Tyszką, *Z tragicznych przeżyć...*, s. 18.

⁸⁵ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 44-45; A. Domaszewski, *Generał Janin...*, s. 36.

konie spłoszyły się i „umarła” Danusia wskoczyła na jeden z wozów wrzeszcząc w niebogłosy. Oczywiście wywołało to lawinę śmiechu⁸⁶.

Teatr odegrał poważną rolę w życiu Dywizji, rozweselał nas, rozpraszał panujące wokół nas ciemności, pokrzepiał na duchu, przyczyniał się do pogłębienia uczuć i przygotowywał do mających nastąpić wydarzeń⁸⁷.

Dywizja miała również własnych artystów, rzeźbiarzy Głowińskiego i Tyszyńskiego czy malarza Hoppera, którzy po wojnie byli sławni na całą Polskę, a także organizowała wraz z Amerykaninem L. Convisem z YMCA świetlice żołnierskie⁸⁸. Ponadto

w swej pracy filantropijnej oni [YMCA] pomagają żołnierzom bielizną, urządzą rozrywki atletyczne i gry rozmaite, częstują ich herbatą i ciastkami i czekoladą, sprzedają im po niskich cenach lemoniadę i papierosy [a także] starają się ich uczyć angielskiego języka.

Jednak mjr Jarosław Okulicz-Kozaryn nie ma wątpliwości, że:

wszyscy sekretarze tego stowarzyszenia są agentami polityczno-handlowymi [amerykańskiego] rządu, którzy informują szczegółowo o wszelkich potrzebach ludności i o ekonomicznym położeniu swych rejonów⁸⁹.

Istniała również orkiestra wojskowa przy 2. pułku, która grywała w Klubie Żołnierza Polskiego⁹⁰. Nie posiadała ona z początku nut. Otrzymała je dopiero w późniejszym czasie od p. Mańkowskiej z Tomska⁹¹.

Osobny akapit należy poświęcić innemu artyście, Feliksowi Lachowiczowi, który jako były żołnierz austriackiej armii i jeniec carski wstąpił w Samarze do tworzącej się formacji polskiej. Oprócz cyklu akwareli o tematyce syberyjskiej jeszcze z czasów obozu jenieckiego, F. Lachowicz zasłynął jako rysownik. Stworzył unikalną i niepowtarzalną kolekcję „karykatur żołnierzy i oficerów i to zarówno kolegów Polaków jak i Kołczakowców [ukazujących] w jaskrawym wyolbrzymieniu cechy osobowości charakterystyczne [sic!] karykaturowanych” widziane oczyma prostego szeregowca. Wystawy jego dzieł organizowane były nawet w latach 90. XX w. przez Związek Sybiraków⁹².

W dywizji istniała idea zorganizowania harcerstwa. W Nowonikołajewsku, gdzie wojsko miało zapewniony spokojny byt, powstała Naczelna Komenda Harcerstwa Polskiego na Syberię, przy lokalnym wydziale Polskiego Komitetu Wojennego i Dowództwie Wojska Polskiego. Na jej czele stanął wybitny pedagog Karol Zaleski. Później we wszystkich miastach, gdzie swoje oddziały miał PKW, starano się stworzyć drużynę harcerską. Do połowy 1919 r. powsta-

⁸⁶ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 44-45.

⁸⁷ P. P. Tyszka, *Z tragicznych przeżyć...*, s. 18.

⁸⁸ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 282; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 25, 57. R. Dyboski, *Siedem lat*, s. 126.

⁸⁹ CAW, Armia gen. Hallera, 1/213, Raport mjr J. Okulicz-Kozaryna, szefa Polskiej Misji Wojskowej na Syberii, do Ministerstwa Wojny z 2 VII 1919 r. [za:] L. Grosfeld, *Polskie reakcyjne...*, s. 216.

⁹⁰ J. Rogowski, *Dzieje Wojska...*, s. 36; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 43.

⁹¹ W. Mańkowski, *Polacy w Tomsku...*, s. 49.

⁹² J. Duda, *Szkice syberyjskie 1914-1920 Feliksa Lachowicza*, „Sybirak”, nr 9 (2) 1993, s. 98-99.

ły w Czelabińsku, Omsku, Tomsku, Irkucku, Barnaułu, Krasnojarsku, Pietropawłowsku, Kurganie i Minusińsku. W lipcu 1919 r. Wojsko Polskie zorganizowało dla harcerzy z tych miast półtoramiesięczny obóz instruktorski pod Nowonikołajewskiem, dbając o ich bezpieczeństwo⁹³.

S. Bohdanowicz również wspomina o owym obozie harcerskim. Był on bardzo popularny wśród żołnierzy, gdyż chętnie chodzono za miasto podglądać kąpiące się harcerki. Była to chwila urozmaicenia po ciągłym podglądaniu oficerskich żon⁹⁴. Na jesień 1919 r. z powodu sytuacji militarnej wojsko zaprzestało działalności harcerskiej, ale harcerze nie zaprzestali działalności wojskowej i dzielnie walczyli w formacjach liniowych podczas ewakuacji dywizji na wschód⁹⁵.

Karol Zaleski, były żołnierz 1. Brygady Legionów, walcząc w 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. Spędził wiele czasu w obozach jenieckich, ciężko chorował, żył w skrajnej nędzy. Jako naczelnik Naczelnej Komendy Harcerstwa Polskiego na Syberii działał niezwykle prężnie. Harcerze mieli dwa swoje czasopisma – „Harcerz Polski na Syberii”, które redagował Zaleski, i „Harcerz Polski w Azji” finansowane ze środków Polskiego Komitetu Wojennego. W obu pojawiały się patriotyczne artykuły o obowiązkach Polaków wobec Polski. Oba zachęcały młodzież do wstępowania w szeregi druhów bądź żołnierzy, w zależności od wieku⁹⁶.

Argumentowano taką mobilizację w następujący sposób:

Polsce potrzebni będą żołnierze – skaut winien nauczyć się być żołnierzem. Potrzebni będą pielęgniarze dla inwalidów i dla chorych. Trzeba będzie w kraju stanąć do solidnej, ale szarej codziennej pracy – stanie do niej harcerz nasz, jak karny syn Rzeczypospolitej – wolą i chęcią czynu zwyciężając przeszkody⁹⁷.

Należy zacytować tutaj artykuł przedstawiający światopogląd młodych Polaków, harcerzy, i ich stosunek do harcerstwa rosyjskiego:

Zarzucają nam często słowem i piórem, że polskie organizacje harcerskie zapominają o wielkim przykazaniu skautowym, o przykazaniu braterstwa skautów całego świata. Zarzut ten opierają oni na fackie, że młode polskie drużyny ograniczają jak najbardziej swe stosunki z rosyjskimi skautami [...], a nawet wprost oświadczają, że z rosyjskimi skautami nie chcą mieć nic wspólnego [...]. To nie jest prawdą. Braterstwo, [...] gorąco przez skautów zostało ukochane i w prawie harcerskim wysoko postawione. Ale bratać można się tylko z ludźmi równymi. Bratać można się tylko na zasadzie: równy z równym, wolny z wolnym!

Jednak autor nie traci nadziei, że to braterstwo polsko-rosyjskie zaistnieje, ale dopiero, gdy Polska się odrodzi⁹⁸.

Utworzono Towarzystwo Popierania Ruchu Harcerskiego, którego honorowymi członkami byli dwaj najważniejsi dowódcy Wojska Polskiego: płk

⁹³ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 282; Z. Lech, *Syberia Polską...*, s. 258; S. W. Wojstomski, *Zarys historii Harcerstwa Polskiego na Wschodzie*, „Sybirak”, nr 14 (1-2) 1938, s. 31.

⁹⁴ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 59.

⁹⁵ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 282; S. W. Wojstomski, *Zarys historii Harcerstwa...*, s. 32.

⁹⁶ Z. Lech, *Syberia Polską...*, s. 259, 260, 262.

⁹⁷ W. Zdek, *Idź i czyń!*, „Harcerz Polski na Syberii”, nr 2 1919, s. 12.

⁹⁸ Proch, *Braterstwo Polskich harcerzy*, „Harcerz Polski na Syberii” nr 3 1919, s. 1-2.

W. Czuma i płk K. Rumsza. Skutkiem wstępowania harcerzy do oddziałów było to, iż żołnierze i oficerowie, zamiast tytułować się szarżami, mówili do siebie „bracie”. Wpływ na to miały również wspólne doświadczenia wojenne⁹⁹.

W Nowonikołajewsku ukazywała się również prasa polskojęzyczna. Miała ona charakter informacyjny, opiniotwórczy, patriotyczny i łącznikowy. Poza uświadamianiem narodowym, rozpowszechniała informacje o kraju, często przedrukowywane z gazet francuskich, których tak bardzo spragnieni byli zarówno żołnierze jak i cywile. Wydawano trzy gazety: „Głos Polski”, „Żołnierz Polski we Wschodniej Rosji” i wspomniany „Harcierz polski na Syberii”. Pierwsza była wydawana przez Polski Komitet Wojenny, zaś druga przez sztab V DSP. Doprowadziło to do przeniesienia na grunt prasy polemiki, czy wojsko ma pozostać w Rosji i walczyć z bolszewizmem, czy też wyjechać do kraju. Obie wzajemnie podważały swój autorytet. Dla lepiej redagowanego „Głosu” „Żołnierz” okazał się być żadną konkurencją. Jednak opinia publiczna nie pozostawiała suchej nitki na czasopismach, twierdząc, że przy ich pomocy załatwia się partyjne spory, zamiast podawać rzetelne i aktualne informacje o kraju, o kongresie wersalskim, o wojnie polsko – bolszewickiej. Przyczyniało się to jedynie do utraty popularności gazet, które nie ustawały we wzajemnej krytyce¹⁰⁰.

Jedną z osób, której żołnierze i cywile wiele zawdzięczali był mec. Goński, przybyły na Syberię wraz z Polską Misją Wojskową w kwietniu 1919 r., jako przedstawiciel chicagowskiej Polonii. Opiekował się rannymi, inwalidami i sierotami, zaopatrywał szpitale wojskowe w leki i narzędzia chirurgiczne, za co otrzymał oficjalne podziękowanie od Dowództwa. Jego misja trwała krótko, gdyż po trzech tygodniach powrócił do Ameryki¹⁰¹. Jego działalność jednak nie ustała, gdyż przesyłał, z Buffalo w USA, gdzie mieszkał, prasę polonijną na Syberię, którą przedrukowywano we wspomnianych gazetach polskich¹⁰².

Wśród żołnierskich rozrywek, jakie organizowano, były walki. Zamiast mat układano worki i, po prostu, walczono. W takich walkach brał udział szer. Bohdanowicz w swojej kompanii łączności. Walki te, jak najbardziej koleżeńskie, toczone dla zabicia czasu, bardziej przypominały zapasy niż krwawe starcia i sprawiały uciechę zarówno biorącym w nich udział szeregowcom jak i oficerom, którzy czasem znaleźli się na „widowni”¹⁰³.

Wojsko nie ustrzegło się przed plagami, które nastąpiły razem z postępującą apatią i demoralizacją. Pierwszą z nich były kradzieże, ale kradziono nie

⁹⁹ J. Birkenmajer, *Polska dywizja...*, s. 16-17; Z. Lech, *Syberia Polską...*, s. 267. Bohdanowicz twierdzi, że zwrot „bracie” wynikał z tego, że mówiono tak w zdemokratyzowanym wojsku czeskim, przy którym tworzyło się Wojsko Polskie, a gdy dywizja usamodzielniała się, to podciągając dyscyplinę odchodzono od niego, zob. S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 41-42.

¹⁰⁰ J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 281; szerzej zob. A. Ślisz, *Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji 1915-1919*, Warszawa 1968, s. 524-527; J. Pytel, *Polska prasa wojskowa 1914-1921. Powstanie, rozwój i jej miejsce w życiu politycznym*, Toruń 2002, s. 30-36. Dyboski przyznaje rację „Głosowi”, jednak gani go za „warcholskie” metody, które szkodziły wojsku, ponadto „Żołnierz” był naznaczony cenzurą wojskową, zob. R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 137, 148. O pozytywnych wpływach „Żołnierza” na szeregowców, zob. J. Birkenmajer, *Polska dywizja...*, s. 27.

¹⁰¹ J. Sierociński, *Armia Polska...*, s. 236.

¹⁰² J. Neja, *Charakterystyka...*, s. 281.

¹⁰³ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 24.

tylko sprzęty, lecz przede wszystkim żywność. Wszystko działo się na wpół oficjalnie, za zgodą oficerów¹⁰⁴. Ponieważ brakowało rewolwerów w wojsku, kradziono je rosyjskim oficerom. „Nagany”, bo tak się nazywały, były wysoko cenione na Syberii. W Wojsku Polskim była nawet taka moda, aby nosić ze sobą „Nagana”. Można je było tylko ukraść, gdyż były tak dobre i cenne, że nikt ich nie sprzedawał¹⁰⁵. Dozbrajano się również okradając kołczakowców. Zdarzyło się nawet, że polscy żołnierze mieli pilnować rosyjskiego transportu armat. Gdy Rosjanie wrócili, armat już nie było¹⁰⁶.

W poszukiwaniu żywienia organizowano nawet nocne „wyprawy”. Jeden z plutonowych, Węgrzynek, nauczyciel z Małopolski, opornemu szer. S. Bohdanowiczowi tłumaczył to w ten sposób:

Widzisz, bracie, wszystko co w cywilu uważa się za złe, to w wojsku na odwrót. Gdy ktoś w cywilu hula, pije, łajdaczy się z prostytutkami, w karty gra, to się z tym ukrywa, a w wojsku chwali się, bo kto tego nie robi, uważany bywa za ofermę i dziada.

Po takiej argumentacji chyba każdy szedł na „wyprawy”¹⁰⁷. Bywały również mniej chlubne akty kradzieży obciążające sumienie Polaków. Dwóch ułanów stanęło przed sądem polowym, a potem przed plutonem egzekucyjnym, za zabicie w pociągu bogatego kupca i ograbienie go¹⁰⁸. Zdarzyło się też obrabowanie pociągu Czerwonego Krzyża przez kompanię kolejową¹⁰⁹.

Następną plagą było pijaństwo. Wśród wojsk sojusznicznych pili wszyscy.

Amerykanie pili na zabój, jakby chcieli jak ów wielbłąd w oazie na pustyni napić się na zapas, przed powrotem do „suchej” Ojczyzny¹¹⁰. Ale pijaństwo amerykańskie miało w sobie coś rozbrajająco dziecięcego: w jego skutkach objawiał się spotęgowany do hałaśliwej wesołości radosny zmysł życia.[...] Był on, jak to doskonale określa angielskie przysłowie, „pijany jak lord”. Natomiast przykry i dręczący był widok chmyzowatego Japończyka, [...] który zalał pałkę swoim piekącym jak wulkan „sake” i słał się z jakimś fatalistycznym smutkiem cichutko i wstydliwie [...]¹¹¹.

Wśród polskich żołnierzy wielu rozmyślnie ogłuszało się pijaństwem, często odbywały się libacje w kasynie oficerskim, gdzie po pijaku śpiewano nawet komunistyczne piosenki, czy choćby *Marsylianę*, organizowanie strzelanie z pistoletów niczym w sienkiewiczowskim *Potopie*, budząc nocnymi eskapadami po ulicach mieszkańców Nowonikołajewska. Jedni popadali w pijaństwo z desperacji, inni z nawyku (po starej carskiej służbie), a spirytus pito wiadrami¹¹².

Wojsko rozłajdaczyło się już strasznie. Zabawy organizowało codziennie, mimo zakazów dowództwa. Mając pieniądze z żołdu, szybko potrafiło je prze-

¹⁰⁴ Tamże, s. 18-19.

¹⁰⁵ Tamże, s. 37-38.

¹⁰⁶ Tamże, s. 38-39.

¹⁰⁷ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 46.

¹⁰⁸ T. Bohun, P. Szlanta, *Słowo wstępne*, s. 23; S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 54-55.

¹⁰⁹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 145-146.

¹¹⁰ W USA od 16 I 1919 r. panuje prohibicja. [przyp. aut.]

¹¹¹ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 108. Więcej o amerykańskim pijaństwie zob. tamże, s. 116.

¹¹² Tamże, s. 146.

hulać. Dowództwo rozpoczęło nawet potrącać z żołdu procent i składować go w kasie dywizji, ale to też nie pomogło. Żołnierze kupowali wódkę na nowonikolajewskim dworcu. Pod dostatkiem było też tam kobiet, a więc wszystkiego co potrzeba do hulanki. Ponieważ zakazano sprowadzania ich do jednostek, żołnierze kryli się po stajniach. Zdarzało się, że zamiast w koszarach, cała kompania urzędowała na sianie. Tylko później konie jakoś nie garnęły się do tego swojego jedzenia, które na pewno nie pachnęło już łąką. Wśród pomysłowości polskich wojskowych znalazła się nawet cerkiew na miejsce schadzek. Gdy oficerzy dowiedzieli się o wzrastającym procederze, zarządzili kontrole „zdrowia”. Od tamtej pory co jakiś czas ktoś trafiał do szpitala wenerycznego¹¹³.

Małżeństwa były powszechną bolączką w wojsku. Żony, czy też „żony”, były nie tylko popularne wśród szeregowców, ale przede wszystkim u oficerów. Takie „nieopatrne małżeństwa” były surowo zakazane przez Dowództwo, ale nic to nie pomogło¹¹⁴. Kapelani mieli dużo pracy z tymi małżeństwami. Młodzi żołnierze do żeniaczki garnęli się jak pszczoły do miodu. Polskie eszelony szybko zapełniły się znaczną ilością polonijnych rodzin, a z braku Polek, również i rosyjskimi¹¹⁵. Polacy nie chcieli pozbywać się swoich prawdziwych, pod względem formalnym, czy też tylko przybranych, żon. Czechosłowacy nie mieli skrupułów zostawiać je albo w zamkniętych wagonach by zamarzyły na śmierć, albo we Władywostoku, gdzie czeska komisja lekarska „orzekała”, że morskiej podróży nie wytrzymają¹¹⁶.

Stanisław Biegański w taki oto sposób krótko scharakteryzował żołnierza polskiego: „twardo przykuty do rzeczywistości, czasem tkliwy i pełen poświęcenia, to znowu brutalny i wymagający, a przy tym wszystkim jednolity”¹¹⁷. Można postawić tezę, że ten ostatni przymiotnik nie powinien znajdować się tutaj. Wręcz przeciwnie, żołnierz polski, chyba jak żaden inny wśród koalicjantów, był wielobarwny – społecznie, kulturalnie, intelektualnie, wojskowo i, przede wszystkim, mundurowo.

¹¹³ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 49 – 50.

¹¹⁴ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 149.

¹¹⁵ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, s. 61.

¹¹⁶ R. Dyboski, *Siedem lat...*, s. 149-150.

¹¹⁷ S. Biegański, *Położenie polityczne...*, s. 4.

BARBARA NOWOROLSKA

**OJCA MEGO DROGA Z SYBERII
DO ARMII GEN. W. ANDERSA**

Czytając 50 numer „Zesłańca” przypomniałam sobie dawne swoje marzenie o takiej historii najnowszej Polski, w której oprócz przyczyn, przebiegu i skutków wojen, bitew i przemian ekonomiczno-społecznych znalazłoby się miejsce na losy jednostki i rodzin aktywnie włączających się w dzieje, lub z wyjątkiem uwiedzionych przez historię. Chodzi mi nie o bieżące wydarzenia, ale o perspektywę długiego trwania. Ten aspekt powstania styczniowego jest już badany i przekazywany w publikacjach między innymi jako wyjaśnienie postaci różnych Mart i Marii wspierających powstanie, czy też wzrostu liczby rezydentów w szlacheckich dworach tak znacznego, że wpłynęło to na architekturę budowli mieszkalnych w drugiej połowie XIX wieku.



Uczniowska legitymacja Ojca

Opowieści takie jak pana Ryszarda Glijera w owym numerze „Zesłańca” są materiałem do podobnych badań nad dziejami XX wieku, które były wszak i burzliwe i interesujące. Losy jednostek w takich okresach, w pewnych punktach wspólne, mają rysy jednostkowe, odrębne, wynikłe z faktu, że w czasach

trudnych mocniej uwydatniają się cechy osobowości, ale przede wszystkim zwiększa się wpływ otoczenia i przypadku na los jednostki. I to bez względu na świadome wybory czy też okoliczności wybierające drogę niejako w zastępstwie człowieka. Wiem, że potrzeba wielu lat badań, wielu relacji i to prowadzonych już tu i teraz – bo uczestnicy wydarzeń przechodzą w lepszą sferę wszechświata, a wraz z nimi kawałek prawdy o polskim losie, o naszej jednostkowej, ale i wspólnej historii.



Moi rodzice. Wiosna 1939 rok

Do tych uwiedzionych przez polskie dzieje należał według przekazów rodzinnych mój ojciec Tadeusz Jan Noworolski. W 1939 roku miał 27 lat i pracował jako sztygar w kopalni węgla kamiennego w Szopienicach. Urodzony w Krakowie na Podgórzu w 1912 roku, zapuścił korzenie na Śląsku, gdyż ukończył Technikum im. Stanisława Staszica w Dąbrowie Górniczej. W kopalni, w której pracował dobrze zapisał się w pamięci ludzi, gdyż tuż przed moim narodzeniem zasypany z grupą górników, dzięki znajomości starych planów podziemia, wyprowadził wszystkich na powierzchnię. Imię dostałam na pamiątkę tego wydarzenia.

Z tej zapewne przyczyny został szefem ewakuacji kopalnianych maszyn. Transport ruszył, ale ojciec dwa dni później wrócił do domu, ponieważ niemieckie bombowce cały pociąg z ładunkiem obróciły w złomowisko. Pierwszą noc po powrocie przespał dość spokojnie. Rankiem zjawiła się jego mama z harcerskim chlebaczkim zaopatrzonym w dwie pary skarpetek i pięć tabliczek czekolady i powiedziała: „Synku idź broń ojczyzny!”

Dobry synek posłusznie wziął wałówkę, dwie żonine kanapki, termos herbaty i z tym bagażem poszedł gonić polskie wojsko. Nie było to takie lekkie zadanie. Kto pamięta początki września owego roku wie, jak wyglądały drogi. Uciekinierzy, samochody, wózki, nawet taczki zapchane dobytkiem, wszystko parło na wschód.



Ciotka Stacha (po prawej) ze znajomymi. 1939 rok

Nad tym hitlerowskie bombowce i myśliwce z zapalem uprawiające polowanie na bezbronny tłum. Ojcu udało się dojść do Lublina, tam wreszcie dołączył do jakiegoś większego oddziału i dostał mundur, co już chyba było cudem. Z oddziałem dotarł na Ukrainę. Tam spotkał ich los większości wojskowych. Zostali ogarnięci przez Armię Czerwoną. Sztab początkowo potraktował ich jak jeńców wojennych i przysłał komisję sanitarną do przebadania pojmanych. Traf chciał, że w owej komisji znalazło się dwu polskich lekarzy, a jeden z nich był zaprzyjaźniony z naszą rodziną, gdyż starał się dość długo o rękę mojej ciotki, starszej siostry matki. Ciotka Stacha nie spieszyła się do mariażu, przystojna, niezależna materialnie, polubiła rolę rodzinnego hegemonu. Doktor Janowski jakoś ją jednak przekonał i ślub mieli wyznaczony na 15 sierpnia owego roku. W końcu lipca jednak Dadek dostał wezwanie na manewry, chciał przyspieszyć ceremonię, ale ciotka orzekła, że wróci on z ćwiczeń i spokojnie mariaż zawrą 8 września, a jeśli wybuchnie wojna, to przecież potrwa tylko kilka dni.

Takim sposobem obyty w świecie europejskim Janowski dostał się do niewoli wcześniej i jako fachowiec wraz ze szpitalem jakoś został wcielony do radzieckiej służby zdrowia. Poznawszy ojca szepnął mu aby zerwał gwiazdki i stanął z szeregowcami. Co tata zrobił. Jako szeregowca wziął go doktor zaraz do szpitala, bo zaczynało się zakażenie poobcieranych nóg. W szpitalu najpierw ojciec się kurował, później pomagał innym pacjentom i tak awansował na pielęgniarsza. Wysłał wtedy z terenów ZSRR depezę do będącej pod okupcją niemiecką Polski z oplaconą odpowiedzią. Tekst brzmiał: „Żyję, jestem zdrów i cały mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.”

Dane osobowe

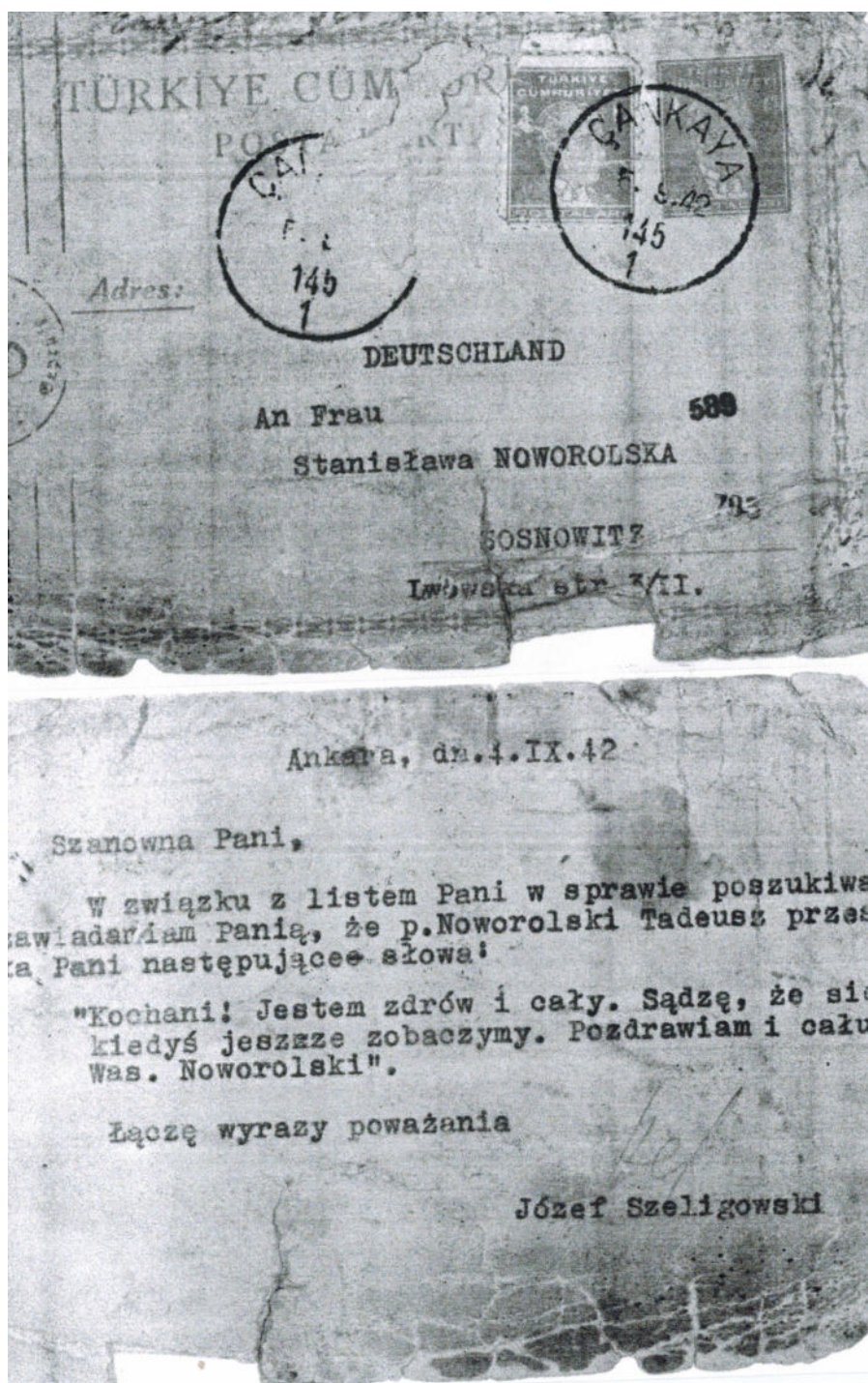
Nazwisko: Noworolski
 Imię: Tadeusz
 Drugie Imię: Jan
 Imię ojca: Józef
 Data urodzenia: 1912

LP	Opis losów	Początek r m d	Koniec r m d	Kraj	Woj/Oblast	Pow	Miej.
1.	Wieżenie			Ukraina	Lwowskie		Sambor
2.	Łagier			Rosja	Swierdłowska		Iwdiellag
3.	Areszt	1940 06 29					
4.	Wyrok	1940 11 02					OSO NKWD ZSRR - 5 I. ITL
LP	opis źródła	sygnatura					
1.	Wykaz byłych obywateli polskich represjonowanych w latach 1939-1941, których akta są przechowywane w Zarządzie SBU Obwodu Lwowskiego, Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, kopia Centralne Archiwum MSWiA (sygnatura U1/121/F) i Ośrodek KARTA (sygnatura IV/W368) - strona. Wykaz Polaków i przedwojennych obywateli polskich innych narodowości represjonowanych w latach 1939-1941 na terenie obwodu lwowskiego i drohobyckiego, sporządzony na podstawie materiałów znajdujących się w Archiwum Prokuratury Lwowskiej, kopia Centralne Archiwum MSWiA (sygnatura U1/273/F) i Ośrodek KARTA (sygnatura IV/W370) - pozycja.	IV/W368 -/171					
2.	Wykaz spraw prowadzonych przez organa NKWD Zachodniej Ukrainy i Białorusi (wybór z Księgi Rejestracji Spraw Archiwalno-Śledczych NKWD ZSRR), kopia Ministerstwo Sprawiedliwości RP i Ośrodek KARTA - tom, strona, pozycja.	IV/W370 -/58					
3.		ZUB -/411/95/17					

Wydruk z listy represjonowanych. Archiwum Ośrodka KARTA

Poczta niemiecka depezę doręczyła, ale godzinę później przyszło po nas gestapo i zabrało babcię do Oświęcimia, a mamę, która wyszła do sióstr podzielić się wiadomością, zaczęło szukać. Na szczęście moją chrzestną matka była Niemka, urodzona w Berlinie, która z wielkiej miłości wyszła za polskiego oficera majora Bańczyka, legionistę Marszałka. Wiedziała, od rodziny swojej, co dzieje się w Niemczech i czego oczekiwać od Hitlera. Zawiadomiła matkę, żeby nie wracała do domu i uciekła od rodziny, bo tam będą jej szukać przede wszystkim. Sama poszła do naszego mieszkania. Udało jej się porozmawiać z żołnierzami oczekującymi naszego powrotu i dowiedzieć się o losie babci. Powiedziała, że pożyczyła dawnej sąsiadce trochę ubrań i chce je odebrać, bo nie chciała taka owaka oddać. Niemcy sami zaczęli wpychać jej w ręce suknie myśląc zapewne, że Niemka chce się wzbogacić. Wzięła z szafy mamy futro, mój płaszczyk, jakieś swetry i dostarczyła nam. To było nasze ubranie przez cały czas wojny. Bańczykowa oddawała też nieocenione usługi Armii Krajowej i oni okazali się na poziomie. To jednak już inna historia. Jak z filmu akcji.

Po ojca zaś równocześnie przyszło NKWD. Zbliży się akurat rocznica jego aresztowania, gdy piszę ten tekst. Było to 29 czerwca 1940 roku. Po długotrwałym śledztwie został 2 listopada skazany na Sybir. Doktor Janowski został zatrzymany tego samego dnia i skazany podobnym wyrokiem. Obaj znaleźli się w tym samym obozie. Według listu ojca z 1957 roku pracowali w tajdze przy wycince drzew. Codzienna racja żywnościowa to było 25 kg chleba i dwa kubki zbożowej kawy. Od wczesnej wiosny Janowski ratował ich ziołami i jakimiś korzonkami zbieranymi w tajdze. Wiadomość o tworzeniu armii polskiej przez gen. Władysława Andersa przyjęli entuzjastycznie, niestety nie chcieli ich wypuścić. Słyszeli” „Wy szpiony. Nie Izia.”



Pocztówka z Ankary od wujka, treść ta sama co w depeszy z ZSRR

27. 4. 46.

45
Kochani!

Duro już cały przetworzłem porównanie
 się z Wami, niestety zawsze nuda-
 -cznie, Posyłał mi z Dadkiem parę
 listy niestety — zawsze bezskutecznie,
 Ocenie list ten dotrze do Was
 zapewne, pewnie tylko brądo o
 następnym razem odpowiedź łzami
drogi. Mamy napis do mnie co
 i jak chwala się Basia. Jeżeli otrzymam
 odpowiedź pomogę Wam zapewne.
 Choć niepełnie się zobaczymy.
 Z Dadkiem jesteśmy zawsze razem

przesyłamy braturo dużo, lecz zawsze
 pamiętamy o Was. Co słychać z mamą
 i Wandrą, czy pracujecie, czy macie
 z tego żyć i jak braturo proszę o szczegóły
 - łowe informacje; czy chcecie wrócić
 w obecnej chwili wrócić do Warsz.
 Odpowiedzcie szybko i dokładnie. U nas
 życie nie szczególnie płaszcza - zawsze
 samotni i daleko od Sosnowca.
 Czy do Warsz. docierają nasze paczki i ile?
 Ouz jak starać się pomóc Wam obecnie?
 Cały serdecznie Mamo, Manysi Wandrę
 i Basię ukłony i pozdrowienia
 dla Balińskich, Szeligowskich i Zosi
 oraz dla mego kolegi Genka, Yanka
 i Jurego.
 P.S. słyszałem, że mój ^(Branisko) jest w konwencie tylko
 niewielkim oddzielnym, Stefan Lesiak polecił Adam Toubus

Po kilku tygodniach próśb, podać, starań – stale napotykali ścianę. Zdecydowali się na ucieczkę. Wyruszyli prawie bez przygotowań, które mogły zdradzić ich zamiary. Pech chciał, że ładna pogoda po dwu dniach wędrówki przez tajgę popsuła się, niebo zachmurzyło i zgubili kierunek. Bali się, że wrócą do obozu. Głodni, bezbronni i wyczerpani zaczęli tracić nadzieję, że się uratują. Wtedy natknęli się na dwu „tutejszych myśliwych”. Zostali nakarmieni, obdarowani skąpymi zapasami tubylców. Nade wszystko jednak myśliwi dokładnie wytłumaczyli im jak dojść do linii kolejowej, i w którym miejscu stają pociągi, by parowozy mogły nabrać wody. Informacje były dokładne. Trafili i wkradli się do towarowego wagonu. I tak nieznajomi okazali się wybawcami i ludźmi odważnymi. Półżywi z głodu ojciec z doktorem dotarli do europejskiej części Związku Radzieckiego stamtąd do jednego z miejsc formowania się armii tworzonej przez gen. W. Andersa.



I Korpus Wojska Polskiego. Fotografia ze zbiorów rodzinnych

Z armią przeszli do Turcji i tam spotkali innych krewnych mojej mamy – wujka Józefa Szeligowskiego i rodzzonego brata mamy Franka Bednarskiego, obdarowanego później za brawurową akcję, batystową chusteczką przez królową Marię. Miał być odznaczony jakimś orderem, ale dopiero w pałacu zobaczono plakietkę Poland, no i dostał kawałek batystu z herbem. Był okropnie z tego dumny – orderów w armii było dużo a „chusteczkę” miałem jeden – mówił po latach. Wisiała ona na ścianie w jego domu w złotej ramce.

Z Ankary Szeligowski przysłał do Guberni pocztówkę, której treść pokrywała się z depeszą ojca wysłaną z ZSRR. Myśmy się wtedy ukrywały w górach, ale kartka do nas dotarła. To nasze podziemne państwo musiało być niebywale sprawne. Dotarła też „rodzina” fotografia z obozu w Ankarze.

Z czwórki krewnych będących w Korpusie zginął tylko ten „przyszywany”, teoretycznie najmniej narażony na kule, bo pracował w garnizonowym szpitalu. Doktor Janowski został ranny pod Monte Cassino, już pod koniec walk i zmarł na sali chorych. Testament na rzecz ciotki zdążył napisać.

Pamiętam listy taty i takie woreczki z rodzynkami przesyłane przez niego z Włoch, z obozu Campo Fiori już po Monte Cassino. Pamiętam też – nie dochowały się niestety – listy mówiące o smutku i żalu Andersowców wycofanych do

Anglii i o nastrojach żołnierzy rozwiązanej formacji. To był drugi rodzaj listów. Były składane w kostkę i wkładane w paczki, którymi były woreczki z rodzynkami. Po ucieczce Mikołajczyka o powrocie do Polski nie było już mowy, a mamy zdenerwowanie rosło z powodu oddalającego się powrotu męża.

Dodam tu jeszcze pewien wątek dotyczący spraw związanych z mamą losem w Polsce. Należała do Armii Krajowej. Czy górale z Korbielowa, gdzie mieszkaliśmy w czasie wojny byli również członkami AK – tego formalnie nie wiem? Pamiętam jednak, że były dni, gdy we wsi nie było ani jednego dorosłego mężczyzny. Do tej wsi trafiali po wojnie agitatorzy namawiający jej mieszkańców do założenia Spółdzielni Produkcyjnej. A przecież górale są bardzo przywiązani do swojej ziemi. Agitatorów wysmiano, ktoś w ich samochód wrzucił ze dwa granaty, zostali rozerwani na strzępy. Śledztwo ruszyło. Podejrzewano, że byli to miejscowi AK-owcy, choć broni było pełno w lasach, tam bowiem docierały angielskie zrzućy. Miejscowy farmaceuta, łącznik AK sprzedał po wojnie aptekę i wyniósł się w niewiadomym kierunku.



I Korpus Wojska Polskiego. Fotografia ze zbiorów rodzinnych.
Ojciec siedzi drugi od lewej

Mama nie zdradzała ojcu swojej przynależności do AK i ciągle szukała pomocy od niego, nie wyjaśniając sytuacji w kraju. Stąd częstokroć widoczne były niepokoje o nasz los w ojca listach. O ile wiem, do końca życia mama nie ujawniła swojej przynależności do AK. Tajemnica ta kładła się cieniem na jej relacjach z mężem.

Ojciec pisał, że żał było ludzi, którzy nieznając języka gubili się w obcym świecie i oficerów, znakomitych fachowców, zmywających garnki w lokalach Londynu. Oto polskie losy.

Ojciec do końca bał się wrócić. Obawiał się, że wyrok radzieckiego sądu ciągle nad nim wisi. Z troską zapytywał jednak jak się czujemy a w jednym z listów pisał:

Co słyhać z mamą i Wandzią, czy pracujecie, czy macie z czego żyć i ja bardzo proszę o szczegółowe informacje i czy chcecie, ażebym, w obecnej chwili wrócił do Was? U nas życie nie szczególnie zwłaszcza – zawsze samotni i daleko od Sosnowca. Czy do was docierały nasze paczki i ile? Oraz jak starać się pomóc Wam obecnie?

Całuję serdecznie Mamę, Marysię, Wandzię i Basię, ukłony i pozdrowienia dla Balińskich, Szeligowskich i Zosi oraz dla mego kolegi Gienka. Janek.

A ja pamiętam tylko listy. Nie człowieka. Szkoda...

Prawda o naszych dziejach nie jest łatwa i trudna czasem do obiektywnej analizy. Ale trzeba o tym pisać by trwała.

STANISŁAW FUDALI

UPOJENIE POWROTEM. WSPOMNIENIA ÓWCZESNEGO MAŁOLATA

Na przedwiośniu 1944 roku nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy tej wojny, rozpoczętej przez siebie w 1939, wygrać już nie mogą. Armia Czerwona wyparła ich z prawie całego terytorium Ukrainy, a walki toczyły się na naszych przed wojną Kresach Płd. Wschodnich; w połowie kwietnia linia frontu przebiegała od Suczawy w Mołdawii przez Kołomyję, Tarnopol i Kowel, a potem odchyłała się głęboko na wschód; Stanisławów był niedaleko od linii frontu, ale po zachodniej jej stronie. Można to było ustalić na podstawie komunikatów *Совинформбюро* (Radzieckie Biuro Informacyjne) drukowanych w lokalnych gazetach „ku pokrzepieniu serc” ludzi radzieckich, i można było im wierzyć; Czerwona Armia rzeczywiście w zimie 1943/44 ostro parła na zachód na froncie południowo-ukraińskim.

Taka sytuacja na froncie sugerowała, że lada moment Zabojski pod Tarnopolem, gdzie od wieków żyła rodzina ze strony mojego Ojca, będą wyzwolone, a za 2-3 tygodnie – Stanisławów i Tyśmienica, gdzie mieszkała rodzina ze strony Matki. Wiedząc, że w czasie pokoju listy stamtąd do nas wędrowały 2 tygodnie, wykalkulowałem sobie, że gdy napisane listy teraz wrzucę do skrzynki pocztowej za Uralem, to po 2 tygodniach front przesunie się znacznie na zachód i moje listy zostaną doręczone rodzinie, zarówno w Zabojskach jak i w Tyśmienicy. Nie wziąłem pod uwagę, że w warunkach przyfrontowych poczta musi mieć jakiś czas na zorganizowanie swoich placówek na świeżo wyzwolonym terenie, a ponadto w takich warunkach ma do spełnienia o wiele pilniejsze zadania niż doręczanie prywatnej korespondencji.

I mimo wszystko, moje listy czarną farbą olejną rozpuszczoną w nafcie pisane na początku lutego 1944 r. na kartkach wydartych z jakiejś książki rosyjskiej, bądź na kawałku gazety, nie po dwóch tygodniach, jak sobie wykalkulowałem, lecz po paru miesiącach dotarły do adresatów, mimo że adresaci nie mieszkali pod wskazanymi na kopertach adresami; z Zabojsk z powodu frontu byli przez wojskowe władze radzieckie ewakuowani pod Zbaraż przez parę miesięcy, a w Tyśmienicy już nikogo z rodziny nie było. Jakim „cudem” moje listy dotarły do naszych rodzin w 1944 r., nie wiem i już się nie dowiem, bo żaden z adresatów nie żyje, a nawet gdyby żył, niewiele miałby do powiedzenia na ten temat. Można tylko przypuszczać, że nie wszyscy radzieccy pocztowcy byli ogarnięci NKWD-owską znieczulicą (choć nie wszyscy enkawudziści mieli kamienne serce!) i zapewne nie jeden z nich nie był pozbawiony życzliwości wobec bliźnich i jak najsumienniejszy chciał zrealizować swoje pocztowe

powołanie. Chwała im za to, bo dzięki temu po ponad 3-letniej przerwie mogliśmy znowu nawiązać korespondencyjną nić, a to dla nas zdesperowanych i, wydawało się, zapomnianych miało ogromne znaczenie.

Pisane przeze mnie w lutym listy za Uralem dotarły w tarnopolskie już po 1 ½ miesiąca a po dalszych 2 tygodniach były w rękach adresatki, mojej Stryjanki, która w tym czasie nie w Zabojkach była, lecz w zgruzowanym Tarnopolu. List ten musiał wywołać niesamowite wrażenie, nie tylko swoją treścią, ale i formą; pisany był na gazecie czarną farbą i złożony w trójkąt, bo nie tylko papieru do pisania nie było, ale i kopert też¹. Już 1 kwietnia Stryjanka odpisała, podając kto z rodziny umarł, kto żyje, kto zginął, kogo aresztowano itp. Po 3 tygodniach wiedzieliśmy, co się z częścią rodziny na Kresach działo, a najważniejsze – nawiązany został kontakt, którego nam tak bardzo brakowało.

Do Dziadka z Gaju w Tyśmienicy list mój dotarł jeszcze później, bo Gaj był spalony, a Dziadkowie z niego przed bandą banderowców ledwie z życiem uciekli, zatrzymując się u rodziny w Drohobyczu. Odpisał Dziadek 20 listopada 1944 (otrzymaliśmy 15.XII.44):

Wiadomość o życiu Waszym podana z dnia 8/4.44 napisana na druku, którą dopiero dnia 15/XI.44 od Malszygroszów² otrzymaliśmy, sprawiła nam wielką radość. Z listu tego powzięliśmy, że jesteście na tym samym miejscu i że [...] macie sąsiada Głodkowskiego, bardzo dokuczającego człowieka; tu zaznaczam, że jego brat i tu nie jest lepszy. Z naszej strony donosimy, że ...

i tu następuje rejestr wydarzeń i zmian, jakie nastąpiły w życiu i otoczeniu Dziadka. A w zakończeniu przestroga, grubo mijająca się z realiami: „Z podróżą powrotną wybieraj czas najlepszy, by nie cierpieć wielkiego zima”, tak, jakby ktoś przed nami stawiał możliwość powrotu i dawał wybór pory wyjazdu. W następnym liście, z 3.II.1945 r., oprócz powtórzenia „nowin” z poprzedniego, Dziadek napisał: „Tu mówią, że wy wszyscy ze Sybiru powrócicie na wiosnę do domu, do nowej Polski, na zachód”, ale tego nie traktowaliśmy poważnie, bo przed wojną Sowieci z Niemcami też wszyscy mówili, że na wiosnę, że na jesieni ..., a ta właściwa wiosna dotychczas nie nadeszła. W jednym z listów następnych Dziadek napisał o dwóch liniach Curzona, która miała być wschodnią granicą Polski: według jednych była to linia Bug-San, a według innych Bug-Złota Lipa, i cieszył się perspektywą tej drugiej, bo pozostawiała Stanisławów i Gaj z Tyśmienicą po stronie polskiej. W kolejnym liście o liniach Curzona już nie wspominał, ale doniósł, że zarejestrował się na wyjazd do nowej Polski. W Zabojkach też długo się wahano, czy rejestrować się na wyjazd, ale w liście z 25 marca 1945 donieśli, że już się zarejestrowali. Być

¹ Górną krawędź zapisanej z jednej strony kartki papieru (list) pokrywało się z krawędzią boczną i przygniatało palcem, by otrzymać wyraźną linię zgięcia (tak jak przy robieniu „samolotu” z papieru), a następnie linię zgięcia łamało na pół i przygniatało palcem nową linię zgięcia; powstawał trójkąt papierowy z jakimś nadatkiem, który należało włożyć do wnętrza trójkąta. Pozostawało na tym trójkącie napisać adres, nakleić znaczek i wrzucić do skrzynki pocztowej.

² Malszygroszowie – właściciele młynów w Tyśmienicy, zaprzyjaźnieni z Dziadkiem. Mieszkali w mieście i nie musieli uciekać przed bandami. Prawdopodobnie mój list przejęli od listonosza, i przestali Dziadkowi, gdy go odszukali w Drohobyczu; stąd tak długo to trwało.

może na skrócenie tych wahań wpłynęło zaognienie stosunków etnicznych, które do tego czasu na tarnopolszczyźnie były w miarę znośne; w tymże liście czytamy bowiem:

... nowego u nas dużo, napadu mordu, dzięki Bogu nie było. Jednego z naszych chłopców z 27 roku ukradli żywego, który był dość cichy i dobry, pewnie gdzieś w lesie zamęczyli, bo już 2 tygodnie nie ma go; to się zdarza w każdej wiosce. Czasem znajdą gdzieś w polu takiego męczennika, to ręce nogi połamane, oczy wykłute itd. 4 dni temu w Draganówce, trzecia wioska od nas, zabili 6 osób; i tak ciągle już blisko 2 lata polskie ofiary.

My za Uralem o tych antypolskich czystkach etnicznych na Kresach nie mieliśmy najmniejszego pojęcia; tyle co z listów, ale to było wprost nie do uwierzenia – nie mieściło się w głowie. Wszak od wieków na tych terenach Rusini i Polacy żyli w tych samych wioskach, miedza w miedzę jako zgodni sąsiedzi, pomagający sobie nawzajem, żeniący się ze sobą nie zważając na nację ani na wyznanie; cóż więc się stało? I nie mieliśmy żadnych rozterek, jak nasi krewni, co do wyjazdu do Polski; nikt o takie sprawy nas nie pytał. Po wyjeździe rodzin „kościuszkowców” na temat naszego powrotu bądź wyjazdu było cicho-sza.

Koniec wojny w maju 1945 roku przyjęliśmy, tam za Uralem, bez nadzwyczajnego entuzjazmu. Cieszyliśmy się, oczywiście, z zakończenia wojennych zmaganiań, bo mieliśmy przekonanie, tak jak ludzie miejscowi, że władze teraz będą mniej skrupulatnie niż dotychczas wyczyszczać kołchozowe magazyny w myśl hasła: *Все для фронта!*, bo ten front przestał istnieć, a tym samym więcej zostanie do podziału za pracę, nie jak poprzednio 200 g pośladu za trudodzień³. Byliśmy też radzi z pokonania hitlerowskich Niemiec (wtedy jeszcze nie odróżnialiśmy hitlerowskich od nie hitlerowskich – bo całe Niemcy uważaliśmy za wraży naród), które wywołały w 1939 r. całą tę wojenną awanturę, a my byliśmy jej ofiarami. Byliśmy zgodni ze wszystkimi narodami radzieckimi, że Niemcom taki finał słusznie się należał. Natomiast innych powodów do radości z zakończenia wojny nie mieliśmy. Przecież ta wojna, która w 1939 zaczęła się jako NASZA obronna, skończyła się jako nie nasza! O wolność i suwerenność naszego państwa przecież nikt nie zabiegał – ani Wielka Brytania, ani ZSRR, ani USA. Wszystkie one w tej wojnie miały na oku tylko swój interes, co okazało zaraz po wojnie, podczas konferencji w Poczdamie. Nasze polskie formacje wojskowe walczyły z Niemcami na różnych frontach, ale jako przyczepki do armii angielskiej bądź do Czerwonej. I tylko w polskiej historiografii wymieniane jest męstwo naszych rodaków pod Narvikiem, Tobrukiem, Monte Cassino, Bredą i Arnhem, czy pod Lenino, Siekierkami, Cedynią i na Wale Pomorskim; w historiografiach innych narodów są o tym zaledwie wzmianki, bądź zupełne przemilczenie.

Zakończenia wojny z powrotem do swoich raczej nie wiązaliśmy; zwłaszcza dorastające pokolenie zesłańców, bo nasze matki nie odczyły się wierzyć w cuda, i ciągle marzyły o powrocie. Ale w lecie 1945 nikt nawet nie

³ Trudodzień – w polskich rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych nazywano dniówką obrachunkową, a poślad – to pozostałość po przemłynkowaniu zboża (oczyszczeniu na tzw. młynku), będąca w zasadzie (oprócz grubszego kurzu) nasionami chwastów; w płn. Kazachstanie były to nasiona dzikiego prosa („myszej”) i dzikiego owsa („owsjuk”).

rozszewlał pogłosek o tym. W jesieni 1944 roku przetransportowano na radziecką Ukrainę (tzn. leżącą po wschodniej stronie Zbrucza) rodziny tych, co poszli do armii kościuszkowskiej. A tych, co nikogo tam nie mieli, zostawiono w stepach i tajgach. Nawet w „Wolnej Polsce”, organie Związku Patriotów Polskich, o nas nie wspomiano; jak gdybyśmy w ogóle nie istnieli. Natomiast pisano w niej wiele o przemianach gospodarczych i społecznych w powojennej Polsce, nie gloryfikując ich jednak w nadmierny sposób. Z tego, co tam pisano, nabierało się przekonania, że powojenna Polska będzie jedną z republik radzieckich; siedemnastą. Konferencja w Poczdamie, potwierdzająca ustalenia jałtańskie, pozbawiła nas złudzeń, że powojenna Polska terytorialnie będzie taka sama, lub prawie taka sama, jak przed wojną. O naszych Kresach Wschodnich w Poczdamie nie pisał nikt – ani Churchill, ani Truman a Stalin uważał je za *исконную* zachodnią rubież Związku Radzieckiego; Polska okazała się piłą wykopaną z nad Zbrucza aż do Odry. Uświadomiliśmy sobie wreszcie, że w tej sytuacji nie mieliśmy już dokąd wracać, mogliśmy tylko ewentualnie wyjechać stąd, po otrzymaniu pozwolenia, bo nikomu z nas nie uśmiechało się pozostanie tu, za Uralem. Ale w lecie i w jesieni 1945 o jakimkolwiek wyjeździe stąd nie było żadnej mowy. Mieliśmy przekonanie, że komunistyczne władze polskie odżegnały się od nas na zawsze; miały bowiem ważniejsze dla siebie zadania: utrwalanie władzy ludowej, czyli swojej. Korespondencja z rodziną po 4 latach przerwy też nie miała wydźwięku optymistycznego – wszyscy nie kryli zdziwienia, że po niby „wygranej” wojnie, zamiast cieszyć się zwycięstwem, musieli pakować co cenniejsze części swojego mienia, dorobku kilkunastu pokoleń swoich przodków, i jechać w nieznaną, na Zachód, a tu na Kresach pozostawić obcym ogromną część dorobku przodków, dom i pola, wraz z ukochaniem ziemi rodzinnej. Czuli się podobnie jak my w roku 1940 podczas masowych wywózek, tyle że bez nocnego łomotania do drzwi i bez konwojujących enkawudystów, a także bez zamkniętych na głucho wagonów. Wiedzieli jednak nasi ekspatriowani bliscy (dla ironii z ich bezsilności nazywani **repatriantami**, tak jakoby kiedyś opuścili ziemię ojczystą i teraz do niej wracali), dokąd jadą i dlaczego. Nas ekspatriowano 5 lat temu i nadal nie wiedzieliśmy, czy **repatriacja** nas obejmie.

Pod koniec 1945 roku jednak coś zaczęło się ruszać wokół naszej sprawy, ale mało kto wiązał z tym poważniejsze nadzieje; tyle razy już bowiem z powodu ulegania nierealnej wizji powrotu do swoich, podsycanej własnymi pragnieniami, budziliśmy się „z ręką w nocniku”, czuli wystrychnięci na dudka, i nie chcieli tego powtarzać – byliśmy zmęczeni i zrezygnowani. Nie zrobiła więc wrażenia wiadomość od p. Marii Frączakowej z Presnogorkowki, która 30 grudnia napisała do naszej Mamy:

[...] już nam i serce wystygło i nadzieja powrotu do Swoich zaczęła wygasać – ale znów 21/XII było radio z Moskwy i przemawiał nasz Ambasador – Pan Raabe. Pozdrowił wszystkich Polaków żyjących na ziemiach rosyjskich – słowa jego były ciepłe, serdeczne i pełne obietnic, a najważniejsze to, że z dniem 1 stycznia 1946 komisja mieszana przystąpi do pracy i reewakuacja zacznie się; wagony już wyjechały – to powiedział nasz ambasador. No ja myślę, że my tu pierwsze nie będziemy – w każdym razie zaczęło się, coś się robi. Można znowu mieć nadzieję.

Okazało się, że tym razem nie była to czcza gadanina (aczkolwiek z tymi wagonami, co już wyjechały, była gruba przesada albo nieporozumienie), bo na przedwiośniu 1946 r., a właściwie jeszcze w zimie, poniosła się przez stopy i tajgi niewiarygodna wieść – Wracamy!, niemal przez nikogo już niespodziewana, bo myśl o powrocie odłożyliśmy na półkę nieziszczalnych snów. Nie wiem kiedy, w jakiej formie i w jaki sposób dotarła ona do nas – dzień w dzień, bez względu na mróz i śnieżne zamieci, zajęty wożeniem siana ze stepu do kołchozowych stajen nie reagowałem na wieści odgrzewające nieziszczalne dotychczas mrzonki – i nie wiedziałem, że nasza Matka podzieliła się nią (korespondencyjnie) ze znajomymi w okolicznych wioskach i posesjach. Już 19 stycznia pani Frączakowa pisała:

Za liścik dziękuję – i resztę wiadomości też. Chwała Bogu – że jest już dobrze! U nas tu w Presnogorkowce – nowości – przez radio przemawiał dr Wolpe sam (minister) od repatriacji – a więc od 10/I do 26/I 1946 r. wyjeżdżają już repatrianci do Polski – z obłści Kijowska – Połtawska – Charkowska – Mikołajska to jest pierwszy transport – zabiera 50.000 osób, następny transport to dzieci sieroty z dietdomów ze służbą – 3 transport to my – tylko nie wiadomo, w którym miesiącu nas zdążą wziąć – my tu robimy domysły, a nawet wróżymy, no nic pewnego z tego nie wychodzi, czekamy. W każdym razie już się zaczęło – nadzieja jest. [...],

a 2 dni później p. Zofia Zubowa z Makariewki⁴ odpisała:

Serdecznie dziękuję za wiadomość – żeby to było tylko wszystko prawdą – co oni nam obiecują – i aby Bóg się zlitował – dopomógł nam się stąd wydostać jak najszybciej. Miałam list od p. Zielińskiej podobnej treści jak Pani – już się zaczęły repatriacje – od 4/I do 20/I.46 – centralna Ukraina ruszyła się – to może i my się ruszymy.

Gorączka powrotu, wyjazdu z tych nie przychylnych nam stron – aczkolwiek przyrodniczo i krajobrazowo uroczych w pewnym sensie, lecz nienawistnych nam z powodu warunków zgotowanych przez władze, bo nie na safari zostaliśmy tu przywiezieni – ogarniała coraz szersze kręgi, nawet takich niedowiarków jak ja, usiłujących nie poddać się ułudzie, a temperatura wyczekiwania rosła w miarę ubywania zapasów żywności i opału. „My żyjemy b. źle” –3 marca 1946 r. do Mamy pisała Bolka Zajęcówna z leschozu „Borki” – „Kartofli dawno już nie ma. Jeżeli prędko nie pojedziemy, to nie wiem, co będzie”, a p. Frączakowa w cytowanym wyżej liście: „Ech, jak mi życie nadojadło⁵ – coraz gorzej. Już nie można doczekać daty wyjazdu”, zaś 28/I w zmienionym nastroju dodaje:

22/I 1946 mówili przez radio, że do 1/II 1946 będzie skończona opcja i komisja mieszana przystępuje do repatriacji – porządkowej. Porządek jest ustalony przez komisję mieszaną. Rzeczy będą dawane tylko najbardziej potrzebującym i rzeczy te są sowieckie i będą dawane za opłatą – produkty będą dawali, a te trzeba będzie opłacić – i w ogóle prócz wagonów – wszystko inne trzeba opłacić. Paszporty polskie dostaniemy na 10 dni przed odjazdem – miesiąc naszego odjazdu niewiadomy.

⁴ Presnogorkowski rejon, kustanajski obwód.

⁵ Czyli: obrzydło; patrz: *Słownik poprawnej polszczyzny PWN* pod red. W. Doroszewskiego, PWN 1980.

To samo później mogliśmy wyczytać w Instrukcji ZPP⁶, gdy plotki i po-
bożne życzenia zaczęły przybierać realny kształt.

Dwa tygodnie później, 16.II.46, też p. Frączakowa razem z p. Litońską, która
w tym czasie była rejonowym mężem zaufania, donosiła na kartce pocztowej:

Wedle instrukcji przysłanych nam 15/II 46 zawiadamiamy: ze sobą wolno
wziąć przedmioty, a to 1000 rb. na osobę, 1 pierścionek złoty, 1 zegarek, 1 oku-
lary albo cwikier, srebrne przedmioty nie cięższe 400 gr., 1 futro, 1 czapka fu-
trzana i 1 kg kawioru czarnego,

co wywoływało w nas uśmieszek zakłopotania, bo takich przedmiotów nie mie-
liśmy od dawna, przejedliśmy, a pozwolenie na wywóz 1 kg znanego tylko
z nazwy kawioru, gdy człowiek oblizywał się na myśl o paru kartoflach, grani-
czyło z sadyzmem. I dalej na tej kartce:

Nie wolno wziąć: broń, materiały wybuchowe, lornety polowe, złoto, platynę,
metale grupy platynowej, anulowane papiery wartościowe, przedmioty mu-
zealnej wartości i przedmioty sztuki, futra, fortepiany, dywany ręcznej roboty.

Był to dalszy ciąg Instrukcji⁷, w naszych warunkach groteskowo odstają-
cych od realiów. I na koniec:

Repatrianci ponoszą koszty wyżywienia sami. Żywności dostarczą odpo-
wiednie organizacje Radzieckie po cenach państwowych. Jeśli ktoś nie oddał (do
ruskich paszportów) dokumentów polskich, musi mieć 2 fotografie na dorosłą
osobę.

Nawet takie wiadomości w tych przedwiosennych dniach 1946 roku nie
wywoływały w nas euforii, przyjmowaliśmy je raczej obojętnie, jakby nas nie
dotyczyły. Byliśmy zrezygnowani, czuliśmy się opuszczeni i zapomniani, prze-
stawaliśmy wierzyć, że kiedykolwiek pojedziemy do swoich, do Polski. Praw-
da, gdzieś w głębi duszy, zwłaszcza naszych matek, tkwiła jeszcze jakaś iskier-
ka nadziei, ale zbyt długo już trwała ta huśtawka nieziszczonych marzeń i za-
wodów, aby z tej iskierki rozgorzał prawdziwy płomień radości.

I w tej przygnębiająco-wyczekującej atmosferze przychodzi kartka od
p. Litońskiej, pisana 6.III.46, krótka i rzeczowa:

Zbliża się nasz wyjazd. Chciałabym się dowiedzieć z urzędu, czy Panie są
szczepione szczepionką tyfusową i czy przyjęły ospę? Do przekroczenia granicy
są potrzebne dokumenty ewakuacyjne, na których musi być fotografia. O tę fo-
tografię proszę się wystarać koniecznie i bezzwłocznie. Kustanaj pisał o tym
onegdaj, Borowoje (?) dzwoniło. Fotograf pracuje w Promarteli, fotografia kosz-
tuje 35 rubli, musi ją mieć każdy, kto skończył 16 lat.

Ta wiadomość nie miała charakteru samopocieszenia, była konkretna
i trzeba było ją potraktować serio. Zwłaszcza gdy po tygodniu p. Litońska pyta-
ła, czy do „naszego” kołchozu przyszło polecenie z rejonu o przygotowaniu
podwoły dla odwiezienia nas do Kustanaja, 305 km. Sprawdziłem w *kontorze*⁸:

⁶ Por. mój artykuł: *Gasnące mrzonki i wschodzące mgliste nadzieje*, „Zestaniec”,
nr 40: 2009, s. 63-71.

⁷ Chodzi tu o tę samą instrukcję, co w przypisie 6.

⁸ *Контора* – biuro kołchozowe.

polecenie jest, a dzień wyjazdu jeszcze nieustalony. To już na prawdę kroilo się na wyjazd stąd; niemożliwe było w to nie uwierzyć.

Gdy tylko śnieg na stepie znikł, nie czekając na przeschnięcie ziemi, kazano nam szykować się do wyjazdu, choć już od tygodni byliśmy do niego przygotowani i niecierpliwie go wyczekiwali. Wyjechaliśmy w niedzielę, 21 kwietnia 1946 r., dzień Wielkanocy zarówno wtedy rzymsko-katolickiej i prawosławnej, ale nikomu z nas na myśl nie przyszło sarkać, że w dzień świąteczny musieliśmy rozpoczynać podróż. Dla nas wówczas ważniejsze było nasze z zesłania wracanie (może to bluźnierstwo, wybac mi Boże!) niż Zmartwychwstanie Pańskie. Droga Krzyżową szliśmy przez sześć lat, niosąc krzyż nędzy, głodu i upokorzenia, upadaliśmy na duchu, wąpiliśmy w opiekę boską i łaskawość Najświętszej Dziewicy, a teraz w dniu tryumfu Syna Bożego dostąpiliśmy łaski bożej: Wracamy do swoich, do bliskich, do Ojczyzny!

Przez tydzień szliśmy za furmanką przez grząski step i poroztopowe rozlewiska, w których wóz z naszym „dobytkiem” grzął po osie i trzeba było, by nie opóźnić powrotu, przenosić rzeczy na drugi brzeg rozlewiska, aby konie mogły odciążony wóz wyrwać z grzęzawiska. Po tygodniu osiągnęliśmy wieś Borowoje, centrum rejonu, w podeschniętym stepie, skąd ciężarówkami zawieziono nas do punktu zbornego w Kustanaju. Po tygodniowym koczowaniu w jakiejś szkole rzemieślniczej nakazano nam załadować się do bydłowych wagonów. Uczyniliśmy to bez najmniejszego szemrania. Gdy pociąg ruszył, poczuliśmy się jak wniebowzięci, choć do Polski było jeszcze wiele gór i rzek po drodze.

*

W tych wiosennych dniach 1946 r. nikt z nas, zesłańców, nie zastanawiał się nad tym, komu zawdzięczał powrót do Ojczyzny. Matki nasze mówiły, że to Matka Boska wysłuchała ich prośb i dokonała cudu – cudu naszego powrotu, ale same nie bardzo w to wierzyły. Wszyscy zawsze traktowaliśmy zesłanie jako ewidentną niegodziwość i powrót uważaliśmy za naturalne jej naprawienie. Władza radziecka nas wywiozła, więc władza radziecka powinna nas przywieźć z powrotem. I wydawało się, że tak jest – władza radziecka dawała transport do punktów zbornych i dawała transport kolejowy, tak jakby chciała uspokoić dręczące ją sumienie. Tymczasem to wszystko się działo na podstawie porozumienia między rządami polskim i radzieckim – bez żadnego cudu; inspiratorem tego porozumienia był Związek Polskich Patriotów. Trudno sobie wyobrazić po ponad pół wieku, jak wiele wysiłku i energii musiał włożyć ZPP w to, aby z rozmaitych zakątków ZSRR, nieraz „deskami zabitych” od świata, wydobyć zesłańców i odesłać do Ojczyzny. A była to ogromna praca!

Część tej pracy wykonali funkcjonariusze NKWD z polecenia swojego rządu – zebrać od zesłańców dokumenty, na podstawie których później wydano nam zaświadczenia o opcji i legalnego opuszczenia terytorium ZSRR. Dokumenty te miały świadczyć o posiadaniu obywatelstwa polskiego przed 1 września 1939 r., a były one co najmniej śmieszne – wystarczył np. rachunek za prąd wystawiony przed wojną, i już był wystarczającym potwierdzeniem polskiego obywatelstwa. Transportu dostarczyły kolchozy bądź inne odpowiednie zakłady państwowe, natomiast rejonowe oddziały ZPP musiały zatroszczyć się o pomieszczenia dla zesłańców podążających do punktów zbornych, gdzie formowano transport kolejowy, a także o gorący posiłek – przynajmniej raz dziennie.

Najbardziej potrzebującym rozdawano dary, które nazywaliśmy amerykańskimi, chociaż pochodziły z różnych stron świata, i zadbano o higienę zesłańców – *баня и вошебойка* – czyli o łaźnię i dezynfekcję; gdyby w takim zbiorowisku ludzkim pojawił się tyfus plamisty, to przy ówczesnym naszym zawaszaniu byłyby nikłe szanse dojechania do Polski. Rzecz jasna, gorące posiłki szykowały miejscowe stołówki, bania i wošebojka też należały do miejscowej infrastruktury, ale by to wszystko zadziało, trzeba było gdzieś pójść, załatwić, zapłacić, zorganizować, doglądnąć – wszystko to, lub prawie wszystko, spoczęło na barkach zaangażowanych aktywistów ZPP. I nie jestem pewny, czy w ferworze upojenia powrotem zdążyliśmy im za to podziękować, bo choć wtedy uważaliśmy, że ten powrót słusznie nam się należy, to ludziom, którzy to ułatwili, należało się podziękowanie.

Po trzech miesiącach od zakończenia repatriacji Sybiraków Związek Polskich Patriotów rozwiązał się; i odszedł w niepamięć. Rzadko go wspominało w PRL-u i jeszcze rządzie w III RP, bo to były „komuchy”. A przecież te polskie „komuchy” naprawiły zło, jakie nam Sybirakom wyrządziły komuchy radzieckie. I chwała aktywistom ZPP za to, a że odeszli w nicość bez rozgłosu, nie czekając na order i oklaski – tym większa im chwała!

JOLANTA ZAŁĘCZNY

**„WYWIEZIONO WAS NA SYBIR...”
O WALORACH EDUKACYJNYCH
WYSTAWY „SYBIRACY 1940-1956”**

Syberia to zapewne jeden z bardziej intrygujących obszarów geograficznych, ogromny, bo rozciągający się na przestrzeni tysięcy kilometrów, zróżnicowany, bo położony w kilku strefach klimatycznych... Ekstremalne warunki klimatyczne warunkują życie mieszkańców i powodują, że jest to rejon o najmniejszej gęstości zaludnienia.

Te naturalne uwarunkowania spowodowały, że w XIX wieku Syberia stała się miejscem zesłania obywateli z całego Imperium Rosyjskiego. W wieku XX zyskała miano największego więzienia świata, bowiem Stalin stworzył tam – zakrojony na szeroką skalę – system obozów pracy, zwanych gułagami.

Hasło „Syberia” jest wciąż obecne w historii Polski i świadomości historycznej Polaków. Jest symbolem tragicznych przeżyć narodu, wiąże się z represjami po powstaniu styczniowym, z okrutnym losem Polaków na Kresach oraz prześladowaniami w okresie stalinowskim.

Dla Polaków – nazwa Sybir
Niesie inne też znaczenie...
To symbol zesłań, katorg;
Śmierć za Polskę, cierpienie!¹

O tych wydarzeniach i ich uczestnikach napisano wiele wartościowych publikacji, zagadnieniami tymi zajmują się wybitni historycy. O zachowanie pamięci zabiegają środowiska zesłańców syberyjskich².

Szczególnie ważne jest więc przekazywanie wiedzy na ten temat młodemu pokoleniu, stąd wynikają określone oczekiwania wobec szkoły i nauczycieli. Warto więc zastanowić się, w jaki sposób temat Syberii i polskich zesłańców funkcjonuje w programach nauczania? Jak szeroko poruszają te zagadnienia autorzy podręczników szkolnych?

Podstawa programowa dla gimnazjum i liceum zawiera ogólne stwierdzenia: polityka zaborców wobec ziem dawnej Rzeczypospolitej w XIX wieku, działania okupanta radzieckiego wobec ziem i Polaków w okresie II wojny

¹ M. Jonkajtys, *Co to jest Syberia?* <http://www.emazury.com/sybiracy/poezja.htm> (dostęp 25 sierpnia 2011)

² *Znaczenie edukacyjne losów Polskich Zesłańców Syberyjskich na tle historii najnowszej. Zesłańcy w tworzeniu państwowości polskiej. Materiały konferencyjne z V sympozjum popularnonaukowego dla nauczycieli historii i języka polskiego*, Warszawa 2000.

światowej³. Oczywiście to tylko hasła, które są szerzej rozwijane w podręcznikach. W praktyce napotkamy wzmianki o zsyłkach na Syberię po upadku powstania styczniowego⁴ oraz szersze omówienie sytuacji Polaków na terenach zajętych przez Armię Czerwoną⁵.

Tematyka syberyjska pojawia się też w programie nauczania języka polskiego na poziomie ponadgimnazjalnym. Uczeń poznaje *Inny świat* Gustawa Herlinga Grudzińskiego. Proces poznania dzieła literackiego został w podstawie programowej zdefiniowany następująco:

W celu ukazania pragmatycznych oraz intelektualnych korzyści związanych z podjęciem wysiłku lekturowego, nauczyciel musi uczyć świadomego dialogu z dziełem literackim jako źródłem zdobywania informacji, które przydają się w życiu oraz przedmiotem estetycznych i emocjonalnych doznań⁶.

W tym kontekście warto zastanowić się nad możliwościami stworzenia płaszczyzny do przeżywania właśnie tych emocjonalnych doznań.

Ze zrozumiałych względów (nagromadzenie treści edukacyjnych, ograniczona liczba godzin na ich realizację) nie można poświęcić tematyce syberyjskiej zbyt dużo czasu w toku kształcenia, ale można – a nawet trzeba – wzbogacić treści nauczania różnymi dodatkowymi elementami: filmami czy wystawami. I tu naprzeciw oczekiwaniom nauczycieli wychodzi Muzeum Niepodległości w Warszawie posiadające w swoich zbiorach bogatą Kolekcję Sybiracką.

Myśl utworzenia Kolekcji Sybirackiej towarzyszyła Muzeum od samego początku jego istnienia, choć na realizację tego zamierzenia trzeba było poczekać kilka lat. Zdobywanie zesłańców pamiątek nie jest bowiem rzeczą prostą. Dla Sybiraków mają one wartość trudną do oszacowania, gdyż są świadectwem najbardziej dramatycznych wydarzeń w ich życiu. Jest więc zrozumiałe, że roztają się z nimi bardzo niechętnie. Jeżeli już decydują się na taki krok, chcą, aby pamiątki trafiły we właściwe miejsce, w którym nie tylko zachowa się je dla przyszłych pokoleń, ale też zadba o szeroką popularyzację zawartych w nich treści⁷.

Ukoronowanie starań pracowników Muzeum było stworzenie ekspozycji „Sybir 1940-1956”. Wystawa otwarta została w listopadzie 1996 roku, można ją było oglądać do kwietnia 1997 roku. Patronat honorowy objął Prezydent RP na

³ Podstawa programowa przedmiotu historia <http://www.men.gov.pl/images/stories/pdf/Reforma/4c.pdf> (dostęp 25 sierpnia 2011)

⁴ Np. W. Łazuga, *Historia czasów nowożytnych (1815-1918). Podręcznik dla szkół podstawowych*, Warszawa 1998, s. 122.

⁵ Np. K. Starczewska, T. Stryjek, A. Dzierzowska, P. Laskowski, K. Makowiecka, E. Kotulska, M. Makowiecka, K. Chmielewski, *Świat współczesny. Od wybuchu II wojny światowej, kl. III, cz. II* (podręcznik dla gimnazjum z serii „Świat człowieka”), Warszawa 2002, s. 21-22 czy: A. Radziwiłł, W. Roszkowski, *Historia dla maturzysty. Wiek XX*, Warszawa 2007, s. 154-155.

⁶ S. J. Żurek, *Język polski w nowej podstawie programowej (poziom gimnazjalny i ponadgimnazjalny)*. http://www.wsip.pl/dla_nauczycieli/przedmioty/jezyk_polski/klub/aktualnosci/jezyk_polski_w_nowej_podstawie_programowej (dostęp 25 sierpnia 2011)

⁷ *Kolekcja Sybiracka. Katalog zbiorów*, pod red. A. Stawarza, autor tekstów i katalogu A. Milewska-Młynik, Warszawa 2002, s. 5.

Wychodźstwie Ryszard Kaczorowski⁸. Potem wystawa odwiedziła kilka polskich miast, a w okresie od lutego 2000 do jesieni 2003 roku funkcjonowała jako wystawa stała zatytułowana „Sybiracy 1940-1956”. Była formą upamiętnienia 60. rocznicy deportacji Polaków z Kresów Wschodnich w głąb Związku Radzieckiego, oddania hołdu ludziom, których „brutalnie wyrwanych z rodzinnych domostw skazano na los darmowych robotników i przymusowych kolonizatorów syberyjsko-kazachstańskiej głuszy”⁹. We wstępie do Informatora wystawy Janusz Przewłocki podjął się próby odpowiedzi na pytanie o źródło siły pozwalającej przetrwać trudy pobytu na Syberii. Wskazał na głęboką wiarę, która pozwalała przeciwstawić się zwątpieniu, zawierzenie opatrności, a przede wszystkim czerpanie siły z „wielkiego oddania sprawie narodowej, z patriotyzmu i niezłomnej wiary w odrodzenie Polski”¹⁰.

Wystawa, po poszerzeniu o kolejne ekspozycje i nadaniu nowej oprawy plastycznej, została ponownie otwarta 25 lutego 2005 roku, ale już w murach X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej (oddział MN)¹¹. Nie przypadkiem zostało wybrane właśnie to miejsce. Była bowiem Cytadela przedsiódkiem Syberii, to właśnie stamtąd deportowano Polaków na Wschód w wieku XIX, a ostatni akord zsyłek miał miejsce w latach 40-tych XX wieku. Nie bez znaczenia jest też atmosfera Cytadeli i panujący tam nastrój grozy, który w naturalny sposób sprzyja ukazaniu tragizmu Sybiraków. Ze względu na usytuowanie wystawy i zgromadzone tam pamiątki dokumentujące losy zesłańców można uznać ją za enklawę autentyczności w świecie pełnym wirtualnych odniesień. To jedyna tego typu ekspozycja w Polsce, wydaje się więc ze wszech miar pożądana, aby wykorzystać ją w edukacji szkolnej oraz w działalności turystyczno-krajoznawczej.

Z pedagogicznego punktu widzenia warto podkreślić, że do ucznia pełniej niż książkowy przekaz przemawia kontakt z ekspozycją, który jest świadectwem dramatycznego życia konkretnej osoby. Bo przecież każdy ekspozycja to osobna historia, to dzieje jednego człowieka. Anna Milewska-Młynik nazwała sybirackie pamiątki „strażnikami pamięci” o doświadczeniach Polaków na Wschodzie¹². Dlatego warto przyjrzeć się omawianej wystawie i zasygnalizować sposoby jej zaistnienia w pracy nauczyciela historii czy języka polskiego.

Zgromadzone na wystawie ekspozycje dostarczają wiedzy na temat różnych obszarów życia społecznego. Sporo pamiątek związanych jest z kwestiami życia religijnego, bowiem zesłańcy i więźniowie – pozbawieni miejsc kultu – sami dbali o zachowanie wyniesionej z rodzinnych stron wiary przodków. Na

⁸ *Sybir 1940-1956, Muzeum Niepodległości listopad 1996-kwiecień 1997* (folder wystawy).

⁹ A. Milewska-Młynik, *Wystawa „Sybiracy 1940-1956”* [w:] *Wystawa Sybiracy 1940-1956. Informator*, Warszawa 2000, s. 8.

¹⁰ *Ibidem*, s. 3.

¹¹ A. Stawarz, *Moje spojrzenie na 20 lat działalności Muzeum Niepodległości w Warszawie*, „*Niepodległość i Pamięć*”, Nr 31/ 2010, s. 12; A. Milewska-Młynik, *Wystawa „Sybir 1945-1956”*, „*Niepodległość i Pamięć*”, Nr 11/1998, s. 255-257.

¹² A. Milewska-Młynik, *Kolekcja sybirackich pamiątek w Muzeum Niepodległości*, „*Zesłaniec. Pismo Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków*” Nr 19/2004, s. 27.

wystawie znalazły się miniaturowe krucyfiksy, figurki i obrazki Matki Boskiej, wykonane przez Sybiraków różańce z chleba, przepisywane i ozdabiane książeczki do nabożeństwa czy śpiewniki. Niezwykle sugestywnym eksponatem jest różaniec wykonany przez Mariana Jonkajtysa. Paciorki różańca mają znaczenie symboliczne, każdy jest wagonikiem z wypisanymi nazwami miejscowości, do których zsyłano Polaków w latach 40. i 50. XX wieku.

Obrazowo przemawiają do zwiedzających eksponowane na wystawie przedmioty codziennego użytku. Różne jest ich pochodzenie, część ma charakter szczególny – zostały bowiem zabrane przez zesłańców z rodzinnego domu i nie tylko służyły na co dzień, ale przypominały o dawnych miejscach, stając się pamiątkami rodzinnymi. Inne przedmioty nabywano lub wykonywano na zesłaniu, dokumentują one warunki życia na nieludzkiej ziemi. Każdy taki obiekt dostarcza wiedzy, kształtuje wyobrażenie o warunkach życia, ukazuje ogrom ludzkich tragedii, ale też uporczywą walkę o przetrwanie. Do wyobraźni ucznia na pewno przemówią łapcie z łyka zrobione własnoręcznie przez ośmioletniego Józefa Hutyre, pojemnik z kory do przechowywania sypkich produktów czy lampka-kopciłka z puszki po tuszonce. A obok tego przedmioty potwierdzające, że wielu zesłanych próbowało żyć lepiej, niż nakazywały syberyjskie realia. Na wystawie można obejrzeć przedmioty wykonane ręcznie: lalki, haftowane serwetki, zakładki, saszetki. Część z nich to niemal małe dzieła sztuki.

Współczesnego ucznia mogą też zainteresować liczne archiwalia dokumentujące życia dzieci i młodzieży. Obok korespondencji czy dokumentów urzędowych są na wystawie pięknie ozdabiane laurki, pamiętniki, kartki świąteczne, a także zeszyty uczniowskie z wypracowaniami oraz dzienniki lekcyjne. Zdziwić może zarówno różnorodność tematów prac uczniów, jak i dobór treści kształcenia ze szczególnym naciskiem na elementy patriotyczne. Pamiątki związane z edukacją ukazują walkę Polaków o zachowanie tożsamości narodowej. Polska szkoła miała przeciwdziałać wynarodowieniu młodego pokolenia, miała skutecznie zapobiegać wpajaniu sowieckiego światopoglądu.

Na wystawie można obejrzeć bogatą ikonografię obrazującą syberyjski dramat i jego bohaterów. Obok fotografii urzędowych są tam zdjęcia prywatne, np. z uroczystości rodzinnych. Fotografie najpełniej obrazują warunki bytowania ludności polskiej, ukazują trudy dnia codziennego. Ciekawym źródłem wiedzy na temat warunków życia Sybiraków jest cykl rysunków Aliny Maliszewskiej. Nie mogło zabraknąć także eksponatów dotyczących tematyki łagrowej, wśród nich jest bogata dokumentacja pobytu Polaków w obozie NKWD w Borowiczach oraz przedmioty codziennego użytku należące do więźniów.

Dla potrzeb edukacji istotna będzie część wystawy zatytułowana „Pamięć współczesnych”, na którą złożyła się literatura wspomnieniowa, wybrane opracowania naukowe, dokumentacja działalności środowiska Sybiraków. Głównym przesłaniem wystawy jest bowiem – obok ukazania tragizmu życia zesłańców i więźniów – przywracanie pamięci o martyrologii Polaków i popularyzowanie tej wiedzy w społeczeństwie polskim.

Zapoznanie się z wystawą „Sybiracy 1940-1956” pozwoli uczniom lepiej poznać dramat Polaków, wzbogaci ich wiedzę, ale przede wszystkim będzie okazją do kontaktu z autentycznymi świadectwami losów polskich rodzin, którym przyszło spędzić część życia na nieludzkiej ziemi.

Niewątpliwie godnym polecenia jest uzupełnienie omawianej wystawy spektaklem, którego scenariusz opracowała Jolanta Fijałkowska w oparciu o teksty Mariana Jonkajtysa. Przedstawienie nosi wymowny tytuł: „... Was na to zdzieś przywiezli, szto by wy podochli” (Wywieziono was na Sybir, żebyście wyzdychali)¹³. Po jego obejrzeniu jakże inną wymowę mają słowa „Marszu Sybiraków”¹⁴:

[...]
Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi,
Szkół, urzędów i kamienic i chat:
Myśmy znów do Niepodległej szli,
Jak z zaboru, sprzed dwudziestu lat.
Bo od września, od siedemnastego,
Dłuższą drogą znów szedł każdy z nas:
Przez łód spod bieguna północnego,
Przez Łubiankę, przez Katyński Las!
Na nieludzkiej ziemi znowu polski trakt
Wyznaczyły bezimienne krzyże...
Nie zatrzymał nas czerwony kat.
Bo przed nami Polska – coraz bliżej!
I myśmy szli i szli – dziesiątkowani!
Choć zdradą pragnął nas podzielić wróg..
I przez Ludową przeszliśmy – niepokonani
Aż Wolną Polskę raczył wrócić Bóg!!!

Propozycja Muzeum Niepodległości doskonale wpisuje się w wychowanie patriotyczne, które jest zadaniem współczesnej szkoły. Nie da się budować poczucia patriotyzmu bez przekazania uczniom wiedzy o przeszłości Polski i Polaków. Wystawa „Sybiracy 1940-1956” oraz wspomniany spektakl stanowiąc mogą wartościowe uzupełnienie treści zawartych w programach nauczania historii i języka polskiego na poziomie gimnazjum i szkoły ponadgimnazjalnej. Zdecydowanie silniej przemawiają bowiem do ucznia eksponaty obrazujące historie konkretnych ludzi, niż suche fakty zawarte w szkolnych podręcznikach.

Propagowanie wiedzy o tragedii polskich zesańców jest powinnością i formą spłacenia długu wobec pokoleń tych Polaków, których los rzucił na daleką Syberię. To także forma kształtowania poczucia patriotyzmu wśród współczesnej młodzieży.

¹³ Spektakl można zamówić na potrzeby większej grupy szkolnej. Szczegółowych informacji udzielają pracownicy Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

¹⁴ Słowa: Marian Jonkajtys, muzyka Czesław Majewski.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Opowiedziane po latach

20 czerwca 1941 r. z Tykocina pod Białymstokiem Rosjanie wywożą na Syberię kolejny eszelon polskich obywateli. Wśród nich jest Helena Bokina z trójką dzieci: Krystyną – lat 11,5, Jarosławem – lat 10, Jadwigą – lat 8. Po miesiącu spędzonym w ciasnym wagonie, cała czwórka trafia do Kraju Altajskiego. Najpierw do sowchozu Pobieda, ok. 60 km od Bijska. Po amnestii wszyscy przenoszą się do samego Bijska. W 1946 r. dołączają do grona repatriantów i wracają na rodzinne tereny. Siostry, Jadwiga i Krystyna, wspominają swój pobyt na Syberii. Mówią o wywózce, życiu codziennym, działaniach podejmowanych by przetrwać. Wspominają miejsca, w których przyszło im żyć, ludzi z którymi dzieliły swój los. Z zesłania udało się wrócić całej rodzinie. Na początku lat 90. w sentymentalną podróż do Kraju Altajskiego wybrał się brat Jarosław.

*

Jadwiga Telega – *Syberia to był mój uniwersytet życia*

Nazywam się Jadwiga Telega, z domu Bokina. Urodziłam się w 1933 r. we wsi Pajewo, koło Tykocina. Mój ojciec trochę gospodarzył. Uczył się w carskich szkołach. W 1939 r. wyjechał do Tykocina. Tam kupił pół żydowskiej kamienicy. Najpierw założył sklepik – galanterię. Potem otworzył hurtownię tytoniu i prowadził ją do samej wojny. Mama nigdy nie pracowała. Była po prostu przy mężu i chowała dzieci. Miałam dwójkę starszego rodzeństwa: siostrę Krystynę i brata Jarosława.

W Tykocinie zaczęłam chodzić do szkoły. Nawet poszłam tam jako sześciolatka. Ale jak przyszli Rosjanie i zobaczyli, że do szkoły chodzą sześcioletki i siedmiolatki, to kazali rozwiązać szkoły, bo u nich edukacja zaczynała się od 8 lat. Rodzice jednak uprosili, żeby nie rozwiązywać i Rosjanie zrobili klasę wstępną. Chodziłam przez to jak gdyby dwa lata do tej samej klasy. Po pierwszej klasie zostałam wywieziona z rodziną. Stąd moje pierwsze świadectwo z Syberii to jest klasa II.

Wywózka

20 czerwca 1941 r. Rosjanie podjeżdżali samochodami pod dom. Z Tykocina zabrano bardzo dużo osób. Pamiętam, że było Boże Ciało i w czwartek sypałam kwiatki. Była piękna uroczystość. Nas wywozili z czwartku na piątek w nocy (mama zawsze mówiła, że to była druga godzina). W czerwcu był długi dzień a wtedy już zaczynało troszeczkę świtać.

Tych, których wywożono z Tykocina, wsadzono na pewno do jednego pociągu, choć niekoniecznie do tego samego wagonu. To były cielece wagony. Miały takie duże wejścia. W środku były tylko zrobione prycze, na szerokość wagonu. Nie wiem czy dwie czy jedna. My dostaliśmy dolną pryczę. Na jednej pryczy było nas po dwie albo trzy rodziny. Pamiętam, że jak się w nocy położyło, to tak, jak łyżeczki. Jak się ktoś chciał przewrócić, to się wszyscy musieli przewracać bo inaczej się nie dało. Dzisiaj to pewnie bym oka nie zmrużyła. Wtedy się spało i nikt nie patrzył na to, że ciasno, że źle, że twardo. Było nas tam chyba około 30 osób. Była też zrobiona w jednym kącie wagonu niby latryna. Dziura w podłodze. Wszyscy musieliśmy tam chodzić się załatwiać. Jeden tam siadał, drugi kocem zasłaniał. Ta latryna nie była zamknięta, więc śmierdziało w całym wagonie. Jednego nie zapomnę – jechała z nami taka rodzina z małym Jureczkiem. Małutki chłopiec, blondyneczek, kędzierzawe włoski, bardzo ładne. Wszyscy go bardzo polubili i jak on szedł się załatwić, to matka chciała go zasłaniać. On mówił „nie” – chciał sam. Miał taki granatowy płaszczyk. Do tej pory to widzę. Brał swój granatowy płaszczyk i szedł nad tę dziurę. Siadał, ten płaszczyk sobie zarzucał na głowę, że niby się zasłaniał. Oczywiście, to on nikogo nie widział. A wagon... miał kupę śmiechu, bo w tych smutnych, tragicznych czasach, wszyscy żeśmy mieli ubaw z drobnych rzeczy. Serdecznie śmialiśmy się z tego Jureczka.

Podróż

Ja już tego tak dokładnie nie pamiętam. Byłam dzieckiem. Wiem, że stale się chciało jeść i wołaliśmy „Mamusiu, jeść, jeść...”. Mama mówiła: „Śpij”. To było takie antidotum na jedzenie – spanie. Przez całą drogę Rosjanie nie wypuszczali nas z wagonów. Tylko mniej więcej co drugi dzień brano dwóch mężczyzn po jedzenie. Oni przynosili wiadro wody, zupy i chleb, pokrojony już na kromki. Szli oczywiście pod lufą, żeby nie uciekli. W wagonie jedzenie się dzieliło. Każdemu po troszku zupy, każdemu po troszku wody, każdemu po kromce chleba. W takim wagonie przecież nas było co najmniej ze 30 osób. Każdy po kromce tego chleba dostawał i to musiało starczyć na dwa dni. Wtedy to był okres wywozek totalnych. Nie tylko z Polski – z Litwy, z Łotwy, Estonii. Myśmy się wszyscy informowali – to było niesamowite. Nas, dzieci, nie dopuszczali, ale dorośli z różnych transportów się informowali. W wagonach były

okienka – takie malutkie, one były zakratowane ale jednak można było przez nie coś zobaczyć. Podczas drogi darło się prześcierać czy co kto miał. Potem szminką do ust czy kredką do oczu, wielkimi literami wypisywało się swój kraj. Myśmy pisali „Polska” i przystawialiśmy taki transparent do okna. Stąd wiem, że wiele narodowości było wywożonych. Litwa, Łotwa, Estonia. Myśmy jechali z Białegostoku, granicę przekraczaliśmy gdzieś w Baranowiczach. Długo tam staliśmy. To był chyba taki punkt zborny – duża stacja. Pociągów, tych eszelonów, było mnóstwo.

Jeszcze w Tykocinie, jak przyszli po nas Rosjanie, mama powiedziała: „Dzieci, uciekajcie, do pierwszych sąsiadów”. A my: „Nie, my zostaniemy z mamusią. My nie uciekniemy”. Błagała nas, a my „nie” – gdzie od matki dzieci będą uciekać? I tak pojechaliśmy wszyscy. Pamiętam, że w trakcie pakowania zabraliśmy ze sobą kubrak i czajnik. Czajnik to było jedyne naczynie, w którym gotowaliśmy wodę, kartofle, zupę, co najmniej przez pierwszy rok zsyłki. Nie było innego garnka. A ten kubrak, to było narzędzie do wykradania z młyna mąki i ciasta. W dużym szalowym kołnierzu. Mieliśmy ze sobą jeszcze kilka rzeczy. Chyba ci nasi enkawudziści co nas zabierali, nie byli takimi wielkimi służbistami. Oni powiedzieli matce – „bierz, ile możesz”. I matka brała. Pakowała rzeczy do jakiejś skrzyni, do jakiś worków.

Zsyłka

Pierwszy raz wysiedliśmy z pociągu w Bijsku. Myślę, że jakby tory się nie skończyły, to by nas wieźli dalej. Tam był kres pociągu. Jak wysiedliśmy, to człowiek dopiero pierwszy raz mógł się poruszać. Pamiętam, że był bardzo silny wiatr i wszystkie nasze rzeczy zostały rozrzucone. Te nasze pierzyny i przedmioty, które mama pozabierała w dniu wywózki. Ja włożyłam pod jakąś pierzynę. Tak mi było ciepło i tak fajnie pod tą pierzyną. Słyszałam tylko ten wyjący wiatr. Ja do tej pory lubię wiatr.

Jak zajechaliśmy na Syberię, to przez pierwsze pół roku żyliśmy ze sprzedaży naszych rzeczy. Niestety, nie tylko tego co było nam zbędne. Matka sprzedawała wszystko, co tylko ruscy chcieli kupić, żebyśmy mogli przeżyć. Pamiętam, że mama miała ojca pelisę na kozuchu i chciała to sprzedać. Ale miała też swoją. Była zima. Rosjanka chciała kupić pelisę mamy. Matka wróciła do domu w wielkiej pelisie ojca i mówi – „Nie chcieli tego kupić, no to sprzedawałam swoje”. I tak żeśmy żyli. Najpierw ze sprzedaży, potem z młyna, w którym mama pracowała. Potem było szycie. Mama była sprytna, zawsze znalazła jakieś zajęcie.

Wróćmy jednak do początku. Jest wywózka. Wiozą, wiozą, wiozą. Przywieźli nas do Bijska, bo tam się kończyły tory. To była ostatnia stacja, więc nas tam wszystkich wyładowali. Pamiętam jakieś pole, jakiś plac. My na tym placu koczowaliśmy kilka dni. Nie mogliśmy nigdzie się ruszyć. Potem przyjechały po nas samochody i furmanki. Zostaliśmy porozwożeni po różnych sowchozach. Naszą rodzinę zawieźli do sowchozu „Pobieda”. To było lato 41 r.

Zawieźli nas po prostu do ludności tubylczej i pozostawili samym sobie. Przewodniczący sowchozu powiedział, że matka musi iść do pracy. Siostra i brat byli starsi, więc też poszli, a mi kazano chodzić do ruskiej szkoły. Pamiętam jak tam poszłam i nic nie rozumiałam, ni w ząb. My nie znaliśmy wcześniej języka

rosyjskiego. Nic nie umieliśmy. Jak ja miałam do ruskiej szkoły chodzić? Uprosiłam mamę, bym została w domu. Po paru dniach przyszła do nas nauczycielka sprawdzić, dlaczego ja nie chodzę do szkoły. Mama mówi, że ja nic nie rozumiem. A nauczycielka na to, że jestem zdolna i wszystko jest w porządku. I znów mnie zmusili... Nie wiem ile czasu tam chodziłam.

Nasz sowchoz to była wioska. Chałupy były. Większość jednak to „ziemianki”. Wszyscy ludzie, którzy tam mieszkali, pracowali. Nas to też spotkało. Musieliśmy pracować na sowchozowych polach, a w zimie w magazynach, jakieś zboża się przerzucało. Co ciekawe, była tam stołówka i pamiętam dobrze, że jak tam chodziliśmy, to nam zupę dawano. Można było coś ciepłego zjeść. W sowchozie mieszkaliśmy jeszcze jakiś czas po układzie Sikorskiego.

Po amnestii, kiedy Rosjanie nam powiedzieli, że nie jesteśmy już więźniami i możemy się przemieszczać po całym Związku Radzieckim, Polacy ustalili, że nie ma się po co pchać gdzieś daleko, gdzieś bliżej frontu. Stanęło na tym, że najlepiej jechać do najbliższego miasta, bo w mieście łatwiej jest żyć niż na wsi. Najbliższe miasto to był Bijsk – ok. 70 km.

Jechaliśmy do Bijska w zimie z '41 na '42 rok. Rosjanie podstawiali sanie. Wiem, że gdzieś nocowaliśmy po drodze. Potem jechaliśmy trochę samochodem i znów gdzieś saniami. My – dzieci – akurat podczas drogi do Bijska, wszyscy zachorowaliśmy na odrę. Pierwszy dostał ją brat. Mama jeszcze nie wiedziała, że my z Krysią też jesteśmy chore. Nie zapomnę, jak matka wzięła brata i zawinęła go w pierzynę. Zaszyła czy jakimiś sznurkami zamotała, żeby Jarka w tej ciepłej pierzynie przewieźć. On leżał taki czerwony jak burak. Wreszcie jak już wszystko było spakowane, on zaszyty w tej pierzynie, ktoś przyszedł i powiedział, że my dzisiaj nie jedziemy. Mama w płacz i trzeba było go z tej pierzyny wypruć. Później, kiedy już zabrali nas do Bijska – brat już był zdrowy – my z siostrą w drodze zaczęliśmy chorować. Gorączka, dreszcze. Mama coś nam dawała jeść, a ja już nawet jeść nie chciałam. Po prostu byłyśmy ciężko chore.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, mama pobiegła szukać jakiegoś lokum. Wiedziała, że jakaś Polka była już tam wcześniej i poszła jej szukać. Pamiętam, że ta kobieta miała dla nas taki czarny, brudny ką. Nazywała się pani Janikowska. Początkowo byliśmy u tej pani, bo byliśmy chorzy, ale mama chodziła po Bijsku, żeby znaleźć jakiś inny ką, abyśmy mogli normalnie mieszkać. No i znalazła. Przewoziła nas potem na sankach z naszymi tobołami na ulicę Sybirską. My z siostrą byłyśmy tak chore, że nie miałyśmy już siły iść. Zajechaliśmy do domu, w którym było bardzo zimno. Wprawdzie stała tam ruska „pieczka”, ale w niej się w ogóle nie paliło. Być może coś było nie tak. Mama jednak była bardzo zaradna i sprytna, i sama na środku tej chałupy postawiła piec. Znalazła jakieś cegły, rurę i wymurowała po prostu piec w tej chałupie. Dzięki temu było troszeczkę cieplej i można było coś ugotować. Wtedy w Bijsku w centrum były murowane domy – różne urzędy, kino, teatr. My mieszkaliśmy na obrzeżach. A tam były postawione malutkie chatynki i był przy nich kawałek ogrodu. Chatynka składała się z kuchni, pokoju i komórki. Ruskie kobiety nie bardzo miały z czego żyć, bo mężczyźni pozabierano na front i podnajmowały do kuchni takich lokatorów jak my. Wszyscy Polacy mieszkali u Ruskich po kuchniach. Przyjęła nas jedna Rosjanka. Myśmy na nią mówili „ciocia Dasza”. Brat mówił, że ona się Barysznikowa nazywała. Miała kilku tam synów i ci synowie wszyscy byli na froncie. Miała też córkę Zinę (16 czy 17 lat) i ta Zina bardzo mnie polu-

biła. Razem chodziłyśmy do bani. Brało się zawsze brzożową miotłę pod pachę. Jak ktoś szedł z brzożową miotłą pod pachą, to wiadomo, że idzie do bani albo z bani. I ja z Ziną zaczęłam właśnie do bani chodzić.

Pamiętam też, że ta gospodyni miała ogródek, a w nim hodowała jakieś rzodkiewki. Jeździłam z nią wózkiem targ, na naszą „barachołkę” i handlowałam. Mieszkaliśmy tam niedługo, bo gospodyni była wredna. Bez przerwy się z mamą kłóciła. Więc ponieważ ona kłóciła się z matką, zawsze coś jej nie pasowało, zawsze coś nie tak, to wreszcie mama poszukała innego mieszkania. Przenieśliśmy się na Piereułek Litiejnyj. Tam było dużo lepiej, bo gospodarze byli bardzo fajni. Babuszka i dziadek – nazywali się Ziemiankow. Były też małe dzieci, ich wnuki, i myśmy się zaprzyjaźnili. Najlepszy był jednak dziadek, *dieduszka*. Pilnował ogródków działkowych w lecie. Miał też szałas, w którym sobie siedział. Czasem brat wyjeżdżał z dziadkiem do szałasu i razem pilnowali działek. Dla dziadka nikt się nie liczył, tylko mój brat. Był dla dziadka takim pomocnikiem, mówił do niego: „Jurka, nabijaj trubku”. Palił fajkę i brat musiał wziąć machorki do fajki i nabić ją.

Jak mieszkaliśmy na Piereułku Litiejnym, to złapałam malarię. Leczyć jej nie było czym. Przychodził jeden znachor, ale mama nie chciała by się mną zajmował. Byłam bardzo ciężko chora. To był dziwny rodzaj malarii: jednego dnia wszystko było zupełnie w porządku, a drugiego miałam 40 stopni gorączki. To ciągnęło się i ciągnęło. Wtedy chodziłam już do polskiej szkoły i jak jednego dnia troszkę mi przeszło, to poszłam do mamy i mówiłam: „Mamusiu idę do szkoły, jestem zdrowa”. Musiałam wyglądać szaro-zielono, bo nauczycielka jak mnie zobaczyła, to wygoniła do domu. Wyzdrowiałam w ciekawy sposób. Była zima. Któregoś dnia siedzę na pryczy. Przychodzi gospodyni i przynosi gar kiszzonej kapusty. Taki zmarznięty – niby sam lód. Jak zobaczyłam tę kapustę, to tak bardzo chciałam ją zjeść. Mama powiedziała, że to sam lód, a ja mam gorączkę. Jednak potem poszła do gospodyni i poprosiła o garść kapusty. Boże, nic lepszego chyba nie jadłam. Zjadłam niemal błyskawicznie i chciałam jeszcze. Nie wiem ile tej kapusty zjadłam, ale najważniejsze jest to, że to był koniec mojej choroby. Nie wiem czemu tak się stało, może potrzebna mi była dawka witamin. Potem przeprowadziliśmy się na ulicę Samarską, Samarska 64, tam też byli babka i dziadek. Oni wynajęli nam kuchnię. Było dosyć sympatycznie. Później mama poznała panią Uszyńską z Białegostoku i zamieszkaliśmy z nią w samodzielnym mieszkaniu. Ona miała dwoje dzieci. Więc razem nas było siedmioro w mieszkaniu. Pani Uszyńska była zawodową hafciarką. Mama szyła, pani Uszyńska wykańczała. Najpierw nie było za bardzo z czego szyc, ale jak front się zaczął przesuwać na zachód, to ruscy zaczęli przysyłać paczki. Było w nich wszystko, co im wpadło w ręce. Różne ubrania, płótna i to trzeba było przerabiać. Rosjanki szukały więc krawcowej. Nieraz nie zapłaciły. Pamiętam, jak mama szyła futro czy przerabiała jakiejś kobiecie, która po odbiór przyszła z oficerem. Oficer na mamę naskoczył, że pracuje nielegalnie. Chodziło im tylko o to, żeby wziąć za darmo, żeby nie zapłacić.

Na początku jak przyjechaliśmy do Bijska, to mama poszła pracować od razu do młyna. Była jednak alergiczka i lekarz zalecił, że nie może w tym młynie pracować, bo umrze. Ona tak strasznie kaszlała, potem się to na niej odbiło. Jednak kiedy mama pracowała w młynie, to nam było dobrze, przynosiła mąkę, zbitą czasem w takie placki. Te placki można było na płycie upiec i było co

wsadzić do brzucha. Pamiętam, jak mama przychodziła z młyna, to siadała a myśmy z niej ściągali okruszki mąki czy zagniecione placki. Mąka była wszędzie, nawet w butach. Mama uszyła takie woreczki płócienne i albo tam mąkę nasypywała, albo ciasto. Miała też kubrak – jeszcze został nam z wywózki – on miał taki duży szalowy kołnierz. Troszkę był nadpruty i w tym kołnierzu zawsze można było ukryć placek mączny. Oczywiście, że na bramie Rosjanie rewidowali robotników przy wychodzeniu. Ale tym na bramie zawsze coś się zostawiało. To też byli ludzie, którzy chcieli żyć. Trzeba było się po prostu na bramie podzielić z tymi strażnikami i spokojnie się wychodziło. Jak się ktoś nie podzielił, to jak złapali z kilogramem mąki, od razu do więzienia szedł.

Kiedy lekarz powiedział mamie, że nie może pracować w młynie, to właśnie zajęła się szyciem. Trochę umiała to robić. Od jednej Rosjanki wypożyczyła maszynę do szycia, taką na korbkę, i szybko się na niej nauczyła szyć. Zaczęła być krawcową w Bijsku. Razem z panią Uszyńską szyły, robiły hafty. Znowu zarabiała pieniądze, żeby przeżyć.

Jedzenie

Miasto było podzielone na kwartały. One służyły do podziału chleba. Każdy kwartał miał swój sklepik chlebowy, gdzie, jak dostało się kartkę, to trzeba było iść ją zarejestrować. To się nazywało „prikrieplica”, czyli takie przypisanie do konkretnego sklepu. Tylko tam z tymi kartkami się chodziło. Chleb był na kartki.

My na rodzinę dostawaliśmy 800 gram; po 200 gram na każdego. Jak się chleb przynosiło do domu, to się kroilo go na równiutkie cztery części. Każdy dostawał swoje 200 gram i albo sobie mógł zjeść od razu, albo zostawić. W zasadzie, to się taka mentalność w nas wyrobiła, że każdy zostawiał, żeby potem nie patrzeć, jak inni mają chleb, a ja już nie. Chowaliśmy, żeby jeden drugiemu nie podkradł... Trzeba było dobrze tego chleba pilnować. Ta dawka chleba była zawsze. Trzeba było wystać w kolejce, ja byłam takim głównym staczem w rodzinie. Codziennie trzeba było stać, czasem nawet w nocy. A przecież nie zawsze przywieźli tyle, żeby wszystkim starczyło. Trzeba było iść, ustawić się w kolejce, i nieraz w nocy, w trzaskający mróz stać. Pamiętam taką rytualną odzywkę – zawsze trzeba było zapytać „kto paslednij?”. A jak ten „paslednij” się odzywał, to trzeba było powiedzieć „ja za wami”. Jak się to powiedziało, to wiadomo, że zajęłam kolejkę; jakby się nie powiedziało, to nikt by nie przyjął do wiadomości, że ja stoję w kolejce. Potem nie można było odejść. Trzeba było stać, co najwyżej przyszedł ktoś podmienić, na godzinę. Czasami nogi były jak sople lodu – zmarznięte. Człowiek cały był zmarznięty, przytupywało się, podbiegało. Trzeba było stać cały czas na dworze, tam nie było żadnej osłony.

Do jedzenia mielimy jeszcze kartofle, które sobie wyhodowaliśmy. Na wiosnę wychodziło się na pola. Jak gdzieś były ziemniaki, to się je wykopywało. Ile razy robiliśmy placki z takich przemarzniętych ziemniaków. Zbierało się je, potem tarło. Matka robiła tarkę z kawałka blachy. Gwoździem przebijała trochę dziur i już była tarka. Mama dbała, żeby codziennie coś ciepłego było ugotowane. Albo to były kartofle, ugotowane w łupinach z odrobiną soli – to był rarytas – albo te ziemniaki się kroilo i robiło zupę.

Zresztą na wspomnianej „barachołce” także się kradło. Jakiejś babie zabierało się pestki „siemiczki” – tam były piękne słoneczniki. Właściwie jak

dzień długi, to jadło się „siemiczki”. Zawsze w kieszeni mieliśmy trochę pestek. Jak się szło na targ i stała baba z workiem „siemiczek”, to pytało się „po ile?”. Ona mówiła, więc niby się próbowało jakie one są, i się po prostu brało garść. Jak się miało za co kupić, to się kupiło tę szklankę, jak nie, to się ukradło. W lecie z bratem chodziliśmy do swochozu. Tam rosły piękne arbuzy. Ja zagadywałam sprzedawcę, a brat kradł. Tam trzeba było ukraść. Ruskie przysłowie mówi – „nie ukradziosz, nie prożywiosz”. Tam kraść nauczyliśmy się wszyscy.

Jak już nie było co jeść, to jeszcze była w Bijsku olejarnia. W jej pobliżu można było znaleźć wytloki, takie placki wytłoczone, to się nazywało „żmych”. Nauczyłam się je odróżniać z daleka, wiedziałam czy to jest „żmych” sojowy, czy słonecznikowy, czy rzepakowy. „Żmych” był cały czas dostępny. Można było czasem na ulicy kawałek znaleźć, bo to wozili jako paszę dla bydła. Jak się taki kawałek „żmychu” wzięło, człowiek dwie godziny miał zajęcie, bo to było strasznie twarde. Trzeba było ślinić, moczyć, żeby trochę jakoś odgryźć, odskubać.

Była jeszcze „siera”. To tak jak guma do żucia, tylko to robione było z takich naturalnych żywic. Najlepsza była „listwiennaja siera”. Wspaniała. Jeżeli ktoś chciałby żuć a nie miał, to kiedy się z kimś spotykał kto żuł, mówił: „daj mnie siery”. To się z gęby wyciągało kawałek, dawało się temu drugiemu i on żuł. Tam nikt nikomu nie odmówił. Obcego można było zatrzymać, jak żuł, to wyciągnął z ust i kawałek tej „siery” dał. Wszyscy żuli.

Pamiętam, że jeszcze mieliśmy „klukwę” – żurawinę i „oblepicę”. Ile ja tej „klukwy” się najadłam. Pyszna była. A „oblepicha”, to były żółte, maciupęńkie jagódki. Ścinali całe gałęzie, przywozili na „barachołkę” i sprzedawali je. Mniejsza gałąź to nawet za rubel, za 3 ruble, za 5. Jak się kupiło taką gałąź „oblepichy”, to znów miało się przynajmniej na godzinę czy na dwie coś do robienia. To było kwaśne jak cytryna, to był straszny kwas.

W sumie głodni byliśmy, można powiedzieć, cały czas, ale też nigdy nie było tak, żeby nie było czego do buzi włożyć. Jedzenia było na tyle, żeby przetrwać. Musiało się przetrwać.

Ubranie

Wiem, że mama dostawała żywnościowe paczki. Tłuszcz przychodził w baniakach, mleko w proszku. Ubrania nie. Ubieraliśmy się w to, co się dało. W zimie walonki, u nich w skrócie mówiło się „pimy”. Pamiętam, byłam niepokieszona, kiedy mama na „barachołce” kupiła tanio „pimy” – tylko one miały różne kolory w parze. Mama powiedziała, że one są dla mnie. Co ja się napłakałam, jeden był inny, drugi inny. Ale nie miałam wyjścia; albo wcale, albo te... Więc chodziłam w takich różnych... Wydaje mi się, że dostawaliśmy jakieś rzeczy. Mama uszyła dla mnie palto z jakiegoś materiału. Widocznie coś otrzymaliśmy. Dodatkowo w Bijsku dostępna była wełna wielbłądzia. Bardzo dużo wielbłądziej wełny. Więc myśmy się nauczyli na drutach robić chustki z tej wielbłądziej wełny, swetry, skarpety, rękawiczki, pończochy... Ja się nauczyłam nawet w palcami. W lecie nie było problemu. Wtedy chodziło się boso. To było tak, że bez obuwia chodziliśmy od momentu kiedy roztopił się śnieg, aż do ponownego jego spadnięcia. W zimie trzeba było mieć walonki, żeby w nogi było ciepło. Jakieś się porobiło skarpety, pończochy i tak się żyło. Lato to było lato, a zima to była zima. W lecie nosiło się byle co. Podczas pierwszego lata

miałam 8-9 lat, chodziłam w samych majtkach. Do pasa nic nie nosiłam, bo były takie upały; zresztą, nie było też co ubierać, a poza tym było wygodniej. W zimie, ponieważ były mrozy siarczyste, trzeba było się porządnie ubrać. Zostawały tylko takie dziurki na oczy. Jak się troszkę pobytu na mrozie, to te dziurki były na około oszronione i tylko oczy wychodziły ze szronu. Nie wdychało się ani nosem, ani ustami mroźnego powietrza.

Paszportyzacja

Powiedzieli nam w 1943 r., że jak ktoś nie przyjmie rosyjskiego obywatelstwa, to będą wsadzać do więzienia. Moja matka już się z nami żegnała, bo nikt nie wiedział, co to będzie. Było tak, że jak matkę i ojca zabierali do więzienia, to dzieci trafiały od razu do domu dziecka. A potem co się dalej z nimi działo? Nie wiadomo. Jeśli trafili gdzieś, gdzie byli Polacy, to nie było tak źle. Bo tam o nich dbano i jakoś niektóre z tych dzieci wróciły do Polski. Niestety, część tam utknęła i koniec. Zruszczyły się i nie miały pojęcia, co się wokół dzieje. Matka przyjęła obywatelstwo, by się z nami nie rozdzielać.

Dziecięca codzienność

Dzieci jak to dzieci. Wymyślają sobie różne zajęcia. Ja na przykład byłam tam „businesswomen”. W Bijsku była „barachołka”, takie centrum biznesu, targ. Chodziłam tam w lecie i handlowałam wodą. Na tej „barachołce” można kupić było wszystko, dosłownie. Ludzi przychodziło mnóstwo. W lecie były upały – a ponieważ upały, ludziom się chce pić, to dzieci, w tym ja, handlowaliśmy wodą. To było coś niesamowitego. Za rubel dawało do syta się napić. Butle, które mieliśmy, nazywały się „cietwierd”, to były 3-litrowe butle, które sami musieliśmy sobie załatwić. Moja mama uszyła mi nawet torbę, żeby butla się nie wyślizgnęła. Niedaleko „barachołki” było źródło z lodowatą wręcz wodą. Biegaliśmy do tego źródła. Nabieraliśmy wodę i szybko na „barachołkę”. Największe dni targowe to była niedziela i jak się w niedzielę poszło od samego rana, to można było uhandlować 100 rubli. Moja matka, która pracowała w młynie, zarabiała 800 rubli miesięcznie. A ja 100 rubli potrafiłam zarobić za wodę w jeden dzień. Było tam tyle ludzi, że wracałam umordowana. Tam się nawet robiło reklamę. Ja mam donośny głos, więc się wylatywało i wrzeszczało na całą „barachołkę” – „komu wody, komu chłodnej wody, podzieszowlie, za rubel do syta”. Tak się mówiło i ludzie dosłownie oblegali.

Potem, dzięki zarobionym pieniądзом, można było kupić różne rzeczy do zjedzenia, żeby nie być głodnym. W zimie z kolei, jak mama szyla, to ją błagałam, żeby coś uszyła dla mnie. Wtedy były modne takie chusteczki. „Kasynki” się nazywały. Prosiłam mamę, by chociaż jedną „kasynkę” mi zrobiła. Tylko czekałam, żeby się wyrwać i od razu lecieć z tym na „barachołkę” i sprzedać. Zawsze kantałowałam – pytałam mamy ile mam za to wziąć a potem sprzedawałam za parę rubli więcej.

Kiedy zaczęły przychodzić paczki od żołnierzy, to Rosjanki wychodziły, ustawiły na jakiejś ławie towar. A wtedy ja – ja już byłam taka „bizneswomen”, że hej – ręce do kieszeni i szłam na „barachołkę” z niczym. Jak te baby mnie widziały, to zaraz wołały: „Jadźka, Jadźka” i dawały mi coś do sprzedania. Brałam po jednej rzeczy, nie brałam po więcej, bo nie chciałam, żeby mi ukradli. Na „barachołce”

trzeba było dobrze się pilnować. Jakieś, pamiętam, buty, futra sprzedawałam, jakieś kurtki. Babie – ile dawałam? Baba mówi mi „30 rubli”, no to ja wychodzę i mówię 40. Reklamuję, wrzeszczę, że buty, że prawie za darmo. To ludzie zaraz mnie otaczali. Ja chciałam 40 rubli, ale co targ, to targ. Schodziłam ciut niżej, do 35 albo 33. Zawsze jednak sprzedawałam parę rubli drożej i te były dla mnie.

To była moja samodzielna praca. Moje rodzeństwo nie chodziło ze mną. Podobało mi się na tej „barachołce”, to był mój żywioł. Pamiętam, że sprzedawałam zawsze szybko. To było takie moje zajęcie. W zimie z kolei musiałam nanosić opału. Ja sama. Brat nie, bo jak raz poszedł, to go złapali i mama miała kłopoty, żeby go jakoś wyciągnąć z aresztu. A ja byłam chudziutka, malutka, brałam worek i szłam na stację w Bijsku. Torami, tam były takie tory, na nich było mnóstwo grudek węgla i brało się je do worka. Nieraz naładowałam do tego worka tyle, że nie mogłam go sobie na plecy zarzucić. W każdym razie, nanosiłam się tego węgla, to był mój obowiązek. Od mamy nieraz wyciągnęłam za to jakieś pieniądze.

Wszędzie patrzyłam, gdzie by jakiś biznes ukręcić. Mój obowiązek, to też było pole, mieliśmy działkę – trzeba było skopać to pole, posadzić ziemniaki. Z ziemniaka robiło się tyle sadzonek, ile miał oczek. Nie wrzucało się kartofla do ziemi tak jak teraz, tylko kroilo się. Ziemię trzeba było skopać. Potem posadzić, wykopać, na plecach znieść ziemniaki. To też była moja robota, z bratem często żeśmy chodzili.

Mieliśmy też trochę rozrywki. W tym naszym Bijsku był tartak i była „utilka”. „Utilka” to była składnica złomu. Tam każdy łąził po to, co potrzebował, nie było żadnego stróża. Sanki robiliśmy sami – szło się do tartaku i kradło się dwie czy trzy deski. Troszkę się je zestrugało i były gotowe płozy. Poszło się na „utilkę”, znalazło wstążki starej blachy, podkuło się te płozy. W Bijsku była też wytwórnia sznurków. Poszło się tam, znalazło jakieś odrzuty albo ukradło kawałek sznurka i już były sanki. W efekcie mieliśmy na czym jeździć w zimie. Łyżwy – wystrugiwało się kawałek drewna, podkuwało się kawałek drutu, wypalało się dziurki w drewnie, sznurki się przeciągało, potem sznurki do buta się przywiązywało i już były łyżwy.

Zawsze miałam jakieś pieniądze, z powodu mojego drygu do biznesu. Chodziłam więc czasem do kina. Do tej pory pamiętam taki film „Wasilisa Piekraśnaja”, to było o żabce. Bajki były piękne, bo ruskie bajki są przepiękne. Jak miałam dobry humor, jak mnie starsze rodzeństwo poprosiło, to jeszcze im zafundowałam bilety. Chodziliśmy do kina, do teatru. Nie pamiętam na jakiej sztuce byłam, ale byłam też w teatrze.

Szkoła

Ponowny przyjazd do Bijska to przełom 1941/1942 r. Nie pamiętam dokładnie czy był to pierwszy czy drugi, ale w każdym razie była to zima. Szkołę w Bijsku z kolei zorganizowano w 1943 r. Dyrektorką była pani Kikiewicz; Kikiewicz Zofia. W Bijsku było dosyć dużo inteligencji polskiej. Pani Kikiewicz była działaczką. Prowadziła chór i myśmy w nim śpiewali. Ja nie wiem, jak oni tych ruskich przekonali, ale pamiętam jak 3 maja obchodziliśmy polską akademię. Nawet nam teatr w Bijsku wypożyczali. I myśmy w tym teatrze śpiewali „Witaj majowa jutrzeńko”. A Zosia Kikiewicz nami dyrygowała.

Dla mnie było oczywiste, że jest polska szkoła. W Bijsku nie chodziliśmy do rosyjskiej szkoły. Właściwie zostaliśmy zostawieni sami sobie i kiedy po-

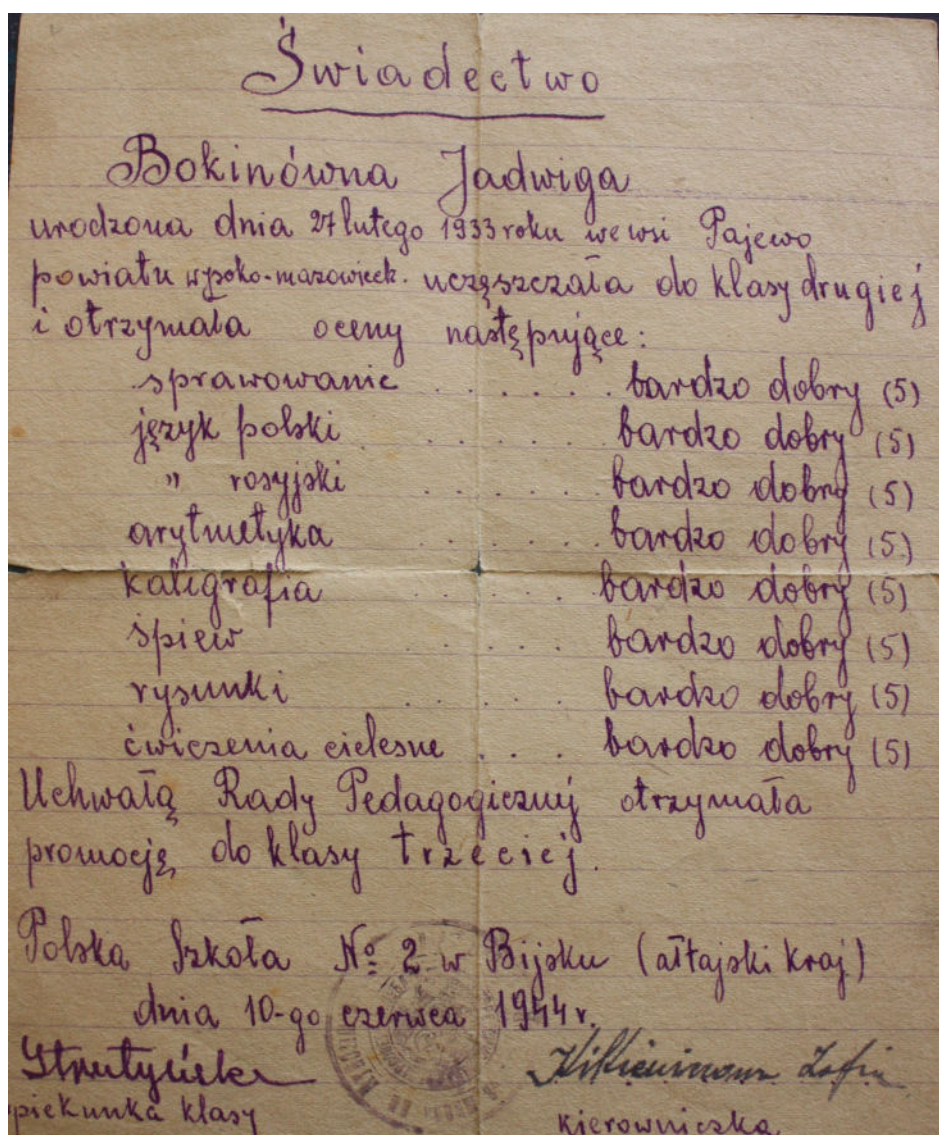
wstała polska szkoła, to do niej poszliśmy. Ja uwielbiałam do szkoły chodzić. Boże, nie mogłam się doczekać lekcji. Rano wstawałam i szybko biegłam do szkoły. Chciałam, żeby jak najwięcej zadawali, odrabiałam te lekcje zawsze solidnie. Na świadectwie miałam same piątki. Dla mnie szkoła to było życie. W każdej klasie było nas co najmniej kilkanaścioro. Były rachunki, trochę historii, tylko to, co nauczyciele pamiętali. Przecież tam podręczników w ogóle nie było. Tam byli sami polscy nauczyciele. Mieliliśmy lekcje śpiewu z panią Kikiewicz. Uczyła nas patriotycznych piosenek. Jeszcze miałam kaligrafię. Nauka pięknego pisania, kaligrafia. Wtedy nauczyłam się ballady „Pani Twardowska” i do tej pory ją pamiętam. Uczyłam tego swoje wnuczki. Uczyliśmy się „Powrotu Taty”, robiliśmy jakieś przedstawienia. W którymś momencie zaczął przychodzić polski „Płomyzek”. Przychodziło parę na szkołę. W klasie wymienialiśmy się – na dzień, dwa wypożyczano każdemu, żebyśmy umieli czytać. Jak były jakieś wierszyki, to myśmy uczyli się tych wierszyków na pamięć.

Powrót do Polski

Długi czas nie spodziewaliśmy się, że wrócimy. W Bijsku, na Samarskiej ulicy stał słup i głośnik, radio. Ja żyłam właściwie na ulicy i pewnego dnia nagle słyszę z głośnika „wnimaniye wnimaniye siewodnia.. akończilas wojna!” Jezu, biegiem do domu i krzyczę „Mamo, wojna... Mamusiu, wojna się skończyła!”. Wszyscy skakaliśmy z radości. Wiedzieliśmy, że jak wojna się skończy, to jest nasza szansa. Wtedy zaczęliśmy do ojca pisać, że wrócimy. Na początku nie mieliśmy żadnych wieści z Polski, nie wiedzieliśmy co się dzieje, żadnego kontaktu. Później jednak, po amnestii, kiedy trochę się umocniliśmy na Syberii, zaczęliśmy pisać listy. Ojciec nie wiedział gdzie nas szukać, więc nie pisał. My pisaliśmy na adres naszego domu. Napisaaliśmy wiele listów. W pewnym momencie przyszła odpowiedź. Poczta wtedy funkcjonowała. Mimo, że było daleko, bo to Syberia. Mimo, że tu był front i tu się bili, to ci ruscy jakoś dbali o korespondencję. Może dlatego, by była łączność „sołdatów” z rodzinami? Nie wiem, ale fakt jest taki, że ojciec przysłał nam list i od tej pory byliśmy w kontakcie.

Najpierw z Bijska dużo ludzi wyjechało do Iranu. Pamiętam, że mama miała nadzieję, że my też. Już się zbierała do Iranu, ale potem coś nie wyszło. Ktoś zapłacił łapówkę i pojechał do tego Iranu zamiast nas. Moja matka nie miała czym zapłacić i myśmy zostali. Ale potem było oficjalne zawiadomienie, że będziemy wyjeżdżać. W każdym razie, już od 45 roku wiedzieliśmy, że wrócimy do Polski. Było podane dokładnie kiedy, jakim pociągiem i gdzie trzeba się zgłosić po suchy prowiant, po paszport. Wtedy wydawali zaświadczenia, to jest taki nasz paszport.

Prowiant wydawali Rosjanie. Myślę, że to z zapasów wojennych. Byliśmy już wyposażeni w suchy prowiant, w potrzebne papiery. Było ustalone, że pociąg jest podstawiony, było wyznaczone, który wagon, która prycza. Nasze bagaże musieliśmy sami zanieść na stację. Nie wiem czy pomogli nam sąsiedzi ruscy. Pamiętam, że straszna była wtedy śnieżycza. Myśmy już siedzieli w pociągu i nagle ogłosili, że wszyscy mają wsiąść na plac, bo będzie pożegnanie. Wszyscy musieli wsiąść. Mama pytała czy dzieci muszą – nie muszą. Dzieciom darowali. Ja nie wysiadłam, ale siostra i brat chyba musieli. Przemówienie było, takie pochwalne, ile to Związek Radziecki dla nas dobrego zrobił i że oni nas żegnają jako przyjaciół, itd.



Świadectwo szkolne autorki relacji wystawione w polskiej szkole nr 2 w Bijsku.

To był kwiecień '46 roku. Początek chyba kwietnia. Być może, że to był Wielki Piątek, ja już tego nie pamiętam, ale na pewno było to przed Wielkanocą, bo Wielkanoc spędzaliśmy w pociągu. Płacz był. Wszyscy płakali z radości... Ale byli też ludzie, którzy pojęcia nie mieli do czego wrócić, co z ich rodziną. My na szczęście mieliśmy kontakt z ojcem. Byli tacy, którzy wiedzieli jak przebiega teraz granica i że nie mają już domu, że nie mają w ogóle do czego wrócić. Nie wiedzieli czy jeszcze ktoś z rodziny przeżył. Ich nie powieźli do domu, od razu wieźli na ziemie zachodnie. Był straszny płacz, jedni się cieszyli, a drudzy... Mnie, mówiąc szczerze, było smutno. Trafiłam tam jako dzieciak i tam wyrosłam. Tam był już mój świat, wiedziałam jak tam trzeba się odnaleźć. Byłam kimś, czułam się bardzo potrzebna. Przede mną była wielka niewiado-

ma, nie wiedziałam do czego jadę. Zanim trafiłam na Syberię, byłam taka „niunia rozmemłana, niejadek”, jakaś chorowita, bałam się wszystkiego, wstydziałam... Syberia to był mój uniwersytet życia. Tam się wyrobiłam i po prostu tam wyrósł ze mnie człowiek z takim charakterem, jaki mam dotąd.

Syberia – szkoła życia

Syberia to była walka, walka o byt. Tam trzeba było walczyć, żeby przeżyć. Rzeczywiście ludzie umierali – myślę, słabi genetycznie. Myśmy były zdrowe dzieci. Matka też była zdrowa, ale potem w młynie nabawiła się kłopotów. Byliśmy zdrowi a więc przetrwaliśmy. Poza tym, matka się tam wyżyłowywała, żebyśmy nie pozdychali z głodu. Nie było dnia, żeby nie było czego do ust włożyć. Może przez to, że byliśmy w mieście? Może w sowchozie by tak nie było. W najgorszym razie był „żmych”, który mieliśmy za darmo. Ale zawsze coś było. My wszyscy mamy swoje zęby do tej pory, ale te zęby były ćwiczone na Syberii przez żucie, przez gryzienie twardego. Matka nas wszystkich przywiozła do domu z zesłania. Do tej pory mam tak, że jak coś potrzeba to główkę, skąd, jak zrobić, itp.

W tym wszystkim co nas tam spotkało, umiałam się odnaleźć. Najlepiej z mojej rodziny znałam język rosyjski, bo ja się wychowałam na ulicy wśród takich dzieci, a my tylko po rosyjsku rozmawialiśmy. Mama nigdy nie nauczyła się dobrze mówić. My, z rodzeństwem, w domu woleliśmy po rosyjsku mówić niż po polsku. Oczywiście, zaraz nam się od matki obrywało: „po polsku mów!” Ale woleliśmy po rosyjsku, bo mieliśmy większy zasób słów, lepiej nam się rozmawiało.

Na Syberii trzeba było mieć oczy dookoła głowy, żeby widzieć, czy idą, bo nas gonili. Uciekało się wtedy między ludzi. Ale raz złapał mnie na „barachołce” taki jeden i ciągnie do jakiejś budy. To ja oczywiście w płacz, taki rzesisty, żalony i przysięgałam, że ja już nigdy, że nie będę... Zlitował się, wylał mi tylko tę wodę i powiedział: „Ale pamiętaj, że jak cię drugi raz złapię!” A jak tylko zniknął, to ja od razu znów do źródła po wodę. No przecież nie mogłam odejść z „barachołki” bez pieniędzy.

Tam człowiek nauczył się decyzyje podejmować, bo decyzja w życiu jest bardzo ważna. Dziś można było by pomyśleć, że to mało ważne, ale wtedy zupełnie inaczej to wyglądało. Pamiętam, że miałam taką trudną sytuację związaną z pieczywem; też musiałam podjąć decyzję i choć wydawała mi się słuszna, to w domu dostawałam za nią burę. Jednego razu stałam po chleb. Przywieźli wtedy takie białe bułki, oprócz chleba. I można było wziąć albo bułki, albo chleb. Miałam taką ochotę na bułkę. Ale chleb? No jak bez chleba? Chleb to było codzienne pragnienie większe od wszystkiego. Musiałam podjąć decyzję – czy wziąć białą bułkę czy czarny chleb. Kupiłam czarny chleb. Przyszłam do domu i powiedziałam, że były bułki, ale wzięłam tradycyjnie chleb. Mogłam nic nie mówić, bo mama zaraz zawołała: „Jezu, czemuś Ty nie wzięła bułek!...” Nic nie mogłam poradzić na to, że chleb był dla mnie ważniejszy niż bułka.

Zdaję sobie sprawę, że moje opowiadanie to nie jest opowiadanie o jakiejś martyrologii. Ja byłam dzieckiem. Cały czas była z nami matka, która wiadomo, że jako matka była odpowiedzialna. Dla mnie, ponieważ dużą część mojego dzieciństwa przeżyłam na wsi, potem byłam w malutkim Tykocinie, to dla mnie w pewnym sensie ten Bijsk to był wielki świat. Ja tam pierwszy raz byłam w kinie, pierwszy raz byłam w teatrze, pierwszy raz w muzeum czy ogrodzie zoologicznym.

W momencie wywózki miałam ukończone 8 lat. Chociaż byłam mała, to pamiętam dokładnie wszystko. Mój brat był w Bijsku w sierpniu 1990 roku.

Przysłał mi kartkę. Pisze na niej tak: „Droga Jadziu, tym razem z własnej woli pojechałem do Bijska. Trudno połapać się w geografii miasta, bo większość starych domów i ulic zburzona, a to nowe niepodobne do starego. Ze znanych nam miejsc tylko ulica Sybirskaja pozostała taka sama. Litiejnyj Piereułek istnieje tylko do połowy. Domu, w którym mieszkaliśmy nie ma, a ulicy Samarskiej w ogóle nie mogłem odnaleźć. Czas zrobił swoje, stare minęło a nowe jest takie dziwne i obce. Zawsze chciałem zobaczyć Bijsk trochę z innej pozycji i to się stało. Stare, złe wspomnienia mnie nie wzruszają, choć zdają się być nieprawdopodobne.”

*

Krystyna Jacek – *Przeżyliśmy Syberię*

Wywózka

Nazywam się Krystyna Jacek z domu Bokina. Urodziłam się w 1930 r. Przed wojną mieszkałam w Tykocinie, niedaleko Białegostoku, gdzie mój ojciec prowadził sklep. W 1941 roku, w czerwcu, w nocy zapukano do nas do drzwi. Kazano nam się pakować, mamie ubrać dzieci. Żołnierze, którzy po nas przyjechali powiedzieli, że wyjeżdżamy, że będziemy ewakuowani. Nie zdawaliśmy sobie sprawy dokąd i gdzie pojedziemy. Pamiętam naszą straszną trwozę. Płacz dzieci, płacz mamy. Ojca z nami nie było. Ukrywał się.

Pakowanie wyglądało tak, że mieliśmy godzinę czasu. Mama brała niemal co popadnie. Było tak, że jeden but był wzięty, drugi został. Jakieś skarpetki. Okazało się, że nawet stary chodnik znalazł się w bagażu. Wzięliśmy ze sobą to, co mama zdążyła spakować. To było w nocy, było ciemno. Pamiętam, że załadowali nas na ciężarówkę i powieźli do Białegostoku. Zajechaliśmy na dworzec. Na dworcu stały podstawione wagony towarowe – bydlęce. Widzieliśmy, że w wagonach jest już sporo osób. Nas wpakowano do jednego z wagonów. Była w nim również pani Dąbrowska z Tykocina. Miała chyba na imię Rozalia – jeśli dobrze pamiętam. Jechała z piątką dzieci. Najstarszy syn nazywał się Dariusz. Potem była córka Jadwiga, która zresztą zmarła na Syberii. Były też dwie bliźniaczki: Ludmiła i Bogumiła, i jeszcze mały chłopczyk, najmłodszy – imienia nie pamiętam. Byliśmy w jednym wagonie.

Ja byłam wywieziona razem z mamą Heleną, urodzoną w 1904 r. – miała wtedy 30-kilka lat. Ja miałam 11,5 roku, mój brat – Jarosław, miał 10,5, siostra – Jadwiga, około 7 lat.

W Białymstoku cały dzień siedzieliśmy w wagonie. Dzieciom pozwolono wyjść z wagonu, żeby pozatwierały fizjologiczne potrzeby. Wtedy mama mówiła nam, żebyśmy uciekali, szczególnie brat. On jednak powiedział, że nigdzie nie będzie uciekał sam, woli być razem ze wszystkimi. Wyruszyliśmy w nocy, bądź świtem, z 20 na 21 czerwca. Przekroczyliśmy polską granicę 22 czerwca (tak mówiła mama) i wtedy pociąg się zatrzymał. Rosjanie na stacji powiedzieli, że jest wojna, że zaczyna się wojna. Nie wiedzieliśmy jaka wojna i gdzie. Po jakimś czasie pociągi jednak ruszyły. Podróż trwała mniej więcej do połowy lipca.

W połowie lipca dotarliśmy do miasta Bijsk, to była ostatnia stacja kolejowa. Mama opowiadała, że po drodze odczepiano część wagonów, gdzieś je zostawiano. Nie wiem, ile wagonów dojechało do Bijska. Na stacji wszystkich nas wyładowali i tam czekaliśmy na ciężarówkę. Nas zawieziono do sowchozu „Pobieda”. Wydawało mi się, jako dziecku, że jechaliśmy cały dzień. Mój brat, który był tam po wojnie, w latach 90., twierdził, że to było około 60 km od Bij-

ska. Na miejscu wskazano nam naszą siedzibę, tzn. ziemiankę. W tym samym samochodzie co my, jechała również pani Dąbrowska. Na miejscu mieliśmy wspólny przydział ziemianki. Pani Dąbrowska z pięciorgiem dzieci, moja mama z trójką dzieci, jakaś Żydówka, której nie znam nazwiska – miała czwórkę dzieci i była ze starszą panią, która była pewnie jej ciocią albo mamą.

Amnestia – przyjazd do Bijska

W sierpniu 1941 r. dowiedzieliśmy się, że ogłoszono amnestię dla Polaków, którzy zostali wywiezieni na Syberię. Wtedy Rosjanie ogłosili wszystkim dorosłym: „Już nie jesteście więźniami, jesteście wolnymi ludźmi, ale nie wolno wam się nigdzie stąd przemieszczać”. Czekaliśmy, co będzie z nami dalej. Pod koniec roku podjęto decyzję, że można, tzn. że jeżeli ktoś sobie życzy, to może z tego sowchozu wyjechać do miasta. Cztery rodziny pojechały do miasta Bijsk. Rodzina żydowska została, zmarły tam osoby dorosłe a dzieci gdzieś zabrano. Bijsk to było najbliższe miasto. To był grudzień 1941 roku lub styczeń następnego; w każdym razie była zima.

Jechaliśmy do Bijska trzy dni saniami. Było wtedy ok. 30 stopni mrozu. Ciągnęły nas jakieś woły czy bawoły, ale nie konie. Pamiętam, że w czasie naszej podróży mój brat, a potem ja i siostra zachorowaliśmy, na odrę. Mieliśmy strasznie wysoką gorączkę. Po trzech dniach przyjechaliśmy do Bijska. Mama szukała jakiegokolwiek lokum. Trafiła na jakąś Polkę, która już wcześniej przyjechała do Bijska i zgodziła się nas przyjąć. Mama położyła nas z gorączką na podłodze u tej pani. I poszła szukać jakiegoś ratunku, pomocy. Chyba za złotą obrączkę kupiła ćwiartkę spirytusu od jakiś ruskich, wódki i miodu. Zrobiła taką „grzanekę” i nas napoiła. Myśmy byli już nieprzytomni. Po jednej dobie obudziliśmy się wszyscy troje. Przeżyliśmy tę odrę.

Rosyjskie obywatelstwo

W 1943 r., po zerwaniu układu Sikorski – Majski, wszyscy dorośli musieli przyjąć obywatelstwo radzieckie. Pamiętam płacz i rozpacz, bo ci, którzy nie przyjęli obywatelstwa, poszli do więzienia. Polacy ustalili, że wszystkie kobiety, które mają dzieci, muszą przyjąć obywatelstwo rosyjskie. Po prostu, żeby ratować dzieci, i moja mama też przyjęła to obywatelstwo.

Powrót

W połowie 1945 roku dowiedzieliśmy się, że będzie repatriacja i że będziemy mogli wrócić do Polski. Wtedy w Rosji działał Związek Patriotów Polskich, a w Bijsku była jego filia. Władze Związku Patriotów Polskich w Bijsku przygotowywały nam odpowiednie dokumenty. Odebrano nam obywatelstwo rosyjskie, nadano obywatelstwo polskie i otrzymaliśmy dokument repatriacyjny. Pamiętam dokładnie, że z Bijska wyruszyliśmy 19 kwietnia 1946 roku, w Wielki Piątek. Pamiętam płacz, śpiewanie pobożnych pieśni.

Do Polski dotarła cała czwórka zesłańców: matka z trójką dzieci. Po powrocie spotkali się z ojcem. Rodzeństwo porozjeżdżało się po kraju. Żyje do dziś.¹

¹ Wywiad z p. Krystyną Jacek przeprowadzony przez Marka Morynia; wywiad z p. Jadwigą Telegą przeprowadzony przez Agnieszkę Kaniewską. Materiały Wrocławskiej Fundacji Edukacji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej FREYA. Redakcja: Agnieszka Kaniewska.

KRONIKA

• XII MARSZ ŻYWEJ PAMIĘCI POLSKIEGO SYBIRU BIAŁYSTOK – 6-7 WRZEŚNIA 2012 ROKU

Wśród wielu form pamięci o sowieckich deportacjach Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu są pomniki, tablice pamiątkowe, nazwy ulic, szkół itp. Stanowią też one formę integrującą wielotysięczną rzeszę członków Związku Sybiraków, sygnalizującego po wielekroć konieczność trwania pamięci o tamtych wydarzeniach, o których niestety jakże często zapomina prasa, radio i telewizja. Ważnym nośnym polsko-syberyjskiej tradycji dominującej od roku 2000 w działalności Związku Sybiraków jest Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru odbywający się corocznie w Białymstoku.

Pisał o nim przed laty bard polskiego sybirackiego losu Marian Jonkajtys (1931-2004) w wierszu „Marsz Żywej Pamięci Sybiraków”:

My, uczniowie szkół, młodzież!
Idziemy – z powodu
Rocznicy wbicia Polsce
„Noża w plecy” od Wschodu,
By wydzwignąć ponad swary
Skłóconych partii znaków
W „Marszu Żywej Pamięci”
Sztandary Sybiraków!

Trzeba zatem powiedzieć, że wytworzył się trwający już ponad dwanaście lat rodzaj nowej rzeczywistości, którą nazwać można dorocznym Świętem Sybiraków. Śpieszą oni na nie z kraju i zagranicy, śpieszą uczniowie szkół i studenci oraz liczni mieszkańcy Białegostoku. Marsz ten wpisuje się niewątpliwie w kartę historii miasta i świadomość historyczną jego mieszkańców oraz Białostoczyzny, którzy doświadczyli dotkliwych represji ze strony Związku Sowieckiego po zajęciu tych ziem w 1939 roku. Ważnym wyróżnikiem tego sybirackiego świętowania jest jego cykliczność nacechowana znaczącymi elementami takimi jak Msza święta, błogosławieństwo w obrządku katolickim i prawosławnym, Apel Poległych, salwa honorowa, składanie kwiatów czy zapalanie zniczy przy Pomniku-Grobie Nieznanego Sybiraka. Można więc powiedzieć, że włączają się one w całość tej uroczystości i dopełniają jej znaczenie, które znajduje odbicie w rozmowach uczestników – odczytywanych jako uznanie dla władz administracyjnych i samorządowych Białegostoku oraz Związku Sybiraków. Najogólniej mówiąc pozwalają one dostrzec pełnię tego święta

i jego znaczenia dla pamięci kulturowo-historycznej o minionym czasie syberyjskich zesłań. Dostrzega się też to w rozmowach między uczestnikami pozwalającymi uchwycić pełnię znaczenia Marszu naznaczonego zadumą i częstokroć łzą w oku, zwłaszcza w czasie gdy śpiewany jest Hymn Sybiraków.

Tegoroczny XII Międzynarodowy Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru odbywał się pod patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, który w dniu 6 września przed spotkaniem z sybirakami w Operze i Filharmonii Podlaskiej złożył kwiaty przy Pomniku-Grobie Nieznanego Sybiraka oraz Pomniku Katyńskim. Witając tak zacnego Gościa, gospodarz Białegostoku Tadeusz Truskolaski powiedział, że w mieście tym ciągle żywa jest pamięć o zesłańczych doświadczeniach i podziękował za objęcie patronatem tegorocznego Marszu, który wpisał się już w patriotyczną tradycję tego kresowego miasta.



Uczestnicy XII Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru.
Białystok 7 września 2012 roku. Fot. autor.

Słowem-kluczem w wystąpieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej była pamięć o zesłaniach i pojednanie polsko-rosyjskie ściśle spokrewnione z pojęciem „wybaczenie”, co nie oznacza, że ma ono łączyć się z zapomnieniem. Pamięć o deportacjach na Syberię to stygmat polskiej tożsamości i stały element związków polsko-rosyjskich. Zna go wielu Polaków, świadków tamtej poniewierki i udręki. Nie można pomijać tej smutnej historii, cierpienia, głodu i śmierci na zesłaniu.

Prezydent RP nawoływał do pojednania polsko-rosyjskiego. To naprawdę wielka i szlachetna idea – podkreślił – mówiąc jednocześnie, że „z bólu rodzą się rzeczy wielkie i piękne”, a sens pojednania tkwi nie w zapomnieniu krzywd

i zła, lecz w działaniach na rzecz wspólnego przezwyciężania przykrew przeszłości między Polską i Rosją, Polakami i Rosjanami. Dodajmy zarazem, że zwrot ten to wielotorowy i wielowymiarowy proces komunikacji społecznej po obu stronach, odsłaniający obraz złożonych stosunków rosyjsko-polskich. Dotyczy to wszystkich poziomów doświadczania tych kontaktów łącznie z zesłaniami Polaków na Syberię w okresie drugiej wojny światowej i stanięcia twarzą w twarz z istotnymi wydarzeniami wypełniającymi polski los na nieludzkiej ziemi. Traktując te sprawy w schematyzującym z konieczności uproszczeniu można powiedzieć, że zwrot w tę stronę i odkrycie pełnej prawdy o zesłaniach na Syberię to będzie istotne zwieńczenie procesu polsko-rosyjskiego pojednania.



Uroczysty Apel Poległych przed Grobem-Pomnikiem Nieznanego Sybiraka.
Białystok 7 września 2012 roku. Fot. autor.

Konsekwencją takiego myślenia jest decyzja władz miasta dotycząca utworzenia w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru, którą poparł Prezydent Bronisław Komorowski podczas wspomnianego spotkania z sybirakami, dla których było to wydarzenie wyjątkowe, pierwsze w dziejach białostockiego Marszu Pamięci o sowieckich deportacjach. Następnie odznaczył On czternaście osób szczególnie zasłużonych dla środowiska sybiraków, animatorów różnorodnych form trwania pamięci o Polskiej Golgocie Wschodu. Najwyższe odznaczenie czyli Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała Karolina Kaczorowska, która również doświadczyła syberyjskiej zsyłki, wdowa po więźniu kołymskich łagrów, ostatnim Prezydencie RP na Uchodźstwie, białostoczaninie Ryszardzie Kaczorowskim; zginął On pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski odznaczona zo-

stała Irena Głowacka, inicjatorka reaktywowania Związku Sybiraków, wielce zasłużona animatorka różnych kierunków jego działalności.

Po zakończeniu spotkania w filharmonii Prezydent udał się na Rynek Kościuszki gdzie w towarzystwie Marszałka Województwa Podlaskiego, Prezydenta Białegostoku i Posła Roberta Tyszkiewicza obejrzał wystawę poświęconą zesłaniom na Syberię, a następnie w Muzeum Wojska Polskiego wszedł do wagonu jakimi deportowano Polaków na zesłanie, stanowiącego jeden z jakże wymownych eksponatów przysłego Muzeum Pamięci Sybiru, które uzyskało Jego poparcie.

Historycznym świadectwem syberyjskiej tułaczki jest wspomniany już Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru wzmacniający tożsamość obywateli mieszkańców Białegostoku, zawsze wspierany przez jego władarzy administracyjnych i samorządowych, odbywający się w tym roku pod przewodnim motywem „Wracamy do Ciebie Polsko”! Wzięło w nim udział kilkanaście tysięcy osób gromadzących się przed południem wokół Pomnika Katyńskiego w Parku Zwierzynieckim. Przybyli oni z całej Polski, sybiracy i ich dzieci, młodzież szkolna i wnuki sybiraków. Przyjechali z Białorusi, Łotwy, Ukrainy, USA i Wielkiej Brytanii. Przed rozpoczęciem Marszu odbyła się msza św. w Katedralnej Cerkwi pw. św. Mikołaja Cudotwórcy, celebrowana przez JE. Jakuba Arcybiskupa Białostockiego i Gdańskiego. Sposobiących się do Marszu powitał Tadeusz Chwiedź, Prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków mówiąc, że wielotysięczna społeczność przybywająca corocznie na tę uroczystość jest wymownym dowodem hołdu wobec tych, którzy pozostali na nieludzkiej ziemi, ale i wyrazem pamięci o tragicznych związkach polsko-syberyjskich. Jest to lekcja historii o tułaczach losach po tajgach i tundrach Sybiru, po stepach Kazachstanu i rozłogach Dalekiego Wschodu powtarzana corocznie przez uczestników Marszu, którzy w chwili zesłania byli w większości dziećmi. Wsłuchując się uważnie w rozmowy prowadzone podczas Marszu można też powiedzieć, że jest on jednym z istotnych elementów wiodących do pojednania polsko-rosyjskiego, ale i pamięci o doznanych krzywdach jakie sowiecki totalitaryzm zgotował naszemu narodowi.

Przed wyruszeniem na trasę Marszu duchowni udzieli błogosławieństwa a orkiestra zagrała „Rotę”, której słowa odbijały się echem od okolicznych kamienic. W powolnym rytmie ulicami Świętojańską, Mickiewicza, Branickiego, Piastowską i Sybiraków podążano do kościoła pw. Ducha Świętego, gdzie odbyła się Msza św. celebrowana przez JE. Abpa. Edwarda Ozorowskiego, Metropolite Białostockiego, w asyście wielu księży i sybirackich sztandarów, podczas której homilię wygłosił ks. dr Tadeusz Kasabuła. Była to liturgia o szczególnym charakterze ekumenizmu, wiodąca jej uczestników do odległych zesłańskich posesiołków a rodzące się indywidualne refleksje zmieniały się w wewnętrzne podziękowania Bogu za szczęśliwy powrót do kraju. Śmiało więc mogę powiedzieć, że cały Marsz przepojony jest etycznym maksymalizmem i refleksją nad wartościami czynienia z niego swoistego dopełnienia polskiego patriotyzmu i trwania pamięci o syberyjskich losach Polaków.

Ostatnią z tych wartości można było dostrzegać ciągle po zakończeniu Mszy św. gdy w zadumie, a nieraz ze łzami w oczach i cichym szlochem opusz-

czano świątynię, gdy udawano się przed Pomnik-Grób Nieznanego Sybiraka. Tam odbyły się ekumeniczne modlitwy za zmarłych w obrządku katolickim i prawosławnym, wzruszający Apel Poległych zakończony salwą honorową żołnierzy 18 Białostockiego Pułku Rozpoznawczego.

Ten wielce wzruszający fragment uroczystości rozpoczął Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski. Podobnie jak podczas spotkania z sibirakami w przeddzień Marszu, które odbyło się w filharmonii, mówił o pamięci i pojednaniu oraz tragicznym rozdziale w księdze historii Białostockiej Ziemi skąd w latach 1939-1941, a potem w pierwszych latach po zakończeniu wojny deportowano na Syberię tysiące jej mieszkańców. Następnie Minister Barbara Kudrycka odczytała list-posłanie do sybiraków od Premiera RP Donalda Tuska. Ich losy nazwał on ważną lekcją historii i patriotyzmu, rzec można obowiązkiem stałego czuwania nad właściwym obrazem zesłań, gdy obecnie cieszymy się wolnością. Dodajmy tu przy sposobności, że Zarząd Główny Związku Sybiraków przywiązuje wielką wagę do tych różnych wątków patriotycznej tradycji a Wiceminister Spraw Zagranicznych Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zapewniła o poparciu inicjatyw podejmowanych przez Związek idących w kierunku trwania pamięci o zesłańczych szlakach oraz niezafatwionych spraw związanych z odszkodowaniami. Tak więc, to co niespełnione, to co potencjalne nabrało nowego znaczenia poprzez zapewnienia Pani Minister!

*

Odbywający się od 12 lat Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru, to wyraz hołdu składany przez pamiętających o tej karcie naszej historii, w której zapisany jest ich syberyjski los. Po latach milczenia o tych wydarzeniach spowodowanych indoktrynalnymi uwarunkowaniami w czasach PRL-u ożywia się wiedza o dziejach Polaków na Syberii i zyskuje coraz pełniejszy horyzont historyczny oraz problemowy. Służą temu formy utrwalania pamięci na różnych i odległych nieraz od siebie płaszczyznach: naukowej, artystycznej czy medialnej, i już tylko z tego faktu tworzą one mozaikę ciekawych form zbliżenia tej faktografii do odbiorcy. Znaczącym fragmentem tego zbliżenia jest ów białostocki Marsz występujący jako mocne i wyraziste zarysowanie syberyjskich doświadczeń Polaków, które przez lata z nakazu „ludowych” władz musiały ulec wyciszeniu i pomijane były w studiach historycznych. Obecnie wiedza ta jest konkretyzowana w różnych zakresach problemowych i jawi się też wyraźnie w działalności Związku Sybiraków. Tak więc wracając raz jeszcze do poezji Mariana Jonkajtisa oddajmy się rozmyśleniom i zadumie czytając ten fragment jego wiersza:

I wierzymy, że z Krzyża
Sybirskiej Mogiły
W modlitwie w Białymstoku
Pan Bóg wleje w nas siły
Byśmy – oprócz powinności
Tych zbrodni pamiętania –
Z Sąsiadami ze Wschodu
W wiek weszli pojednania!

Maria Bożena Kuczyńska

• **I MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA
„SYBIR. WYSIEDLENIA – LOSY – ŚWIADECTWA”,
BIAŁYSTOK 4-6 WRZEŚNIA 2012 R.**

W pierwszych dniach września 2012 r. Białystok był miejscem szczególnym, miejscem gdzie spotkali się naukowcy polscy i rosyjscy, by wspólnie zająć się tematem, który wciąż wywołuje wiele emocji po obu stronach. Okazją ku temu była interdyscyplinarna konferencja zorganizowana przez Muzeum Wojska w Białymstoku, Zakład Badań Interdyscyplinarnych i Porównawczych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku oraz Książnicę Podlaską. Do udziału zostali zaproszeni przedstawiciele humanistyki i nauk społecznych: historycy, filolodzy, etnologowie zajmujący się szeroko pojętym tematem Sybiru, zarówno z Polski, jak i z Federacji Rosyjskiej.

Termin, jak i miejsce obrad nie były wybrane przypadkowo. Konferencję zorganizowano w przededniu XII Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru, który jest – od kilkunastu już lat – niezwykle formą upamiętnienia zarówno tych, którzy nie wrócili z „niehumanitarnej ziemi”, jak i tych, którzy przetrwali. To właśnie z Białegostoku, przedwojennego miasta kresowego, odjeżdżały eszelony na Wschód w latach 40. XX wieku. W pamięci wielu podlaskich rodzin wciąż są również żywe wspomnienia o XIX-wiecznych zesłaniach.

Wykłady podzielone zostały na trzy bloki. Pierwszymi prelegentami byli świadkowie historii – osoby, które bezpośrednio doświadczyły deportacji na Wschód. Wysłuchaliśmy świadectw m.in. białostockiego lekarza dra Tadeusza Beszty-Borowskiego oraz Aleksandry Szemioth z Krakowa. Dr Krzysztof Czajkowski – były konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Irkucku – opowiadał o polskich wsiach na Syberii Wschodniej: Wierszynie i Pichotyńsku. Warto w tym miejscu dodać, iż na początku XX wieku na Syberię przybywali Polacy z Królestwa Polskiego, którzy wykorzystywali reformy Stołypina, oferujące ziemię, ulgowy przejazd koleją dla ludzi i dobytku, zwolnienie od poboru do wojska oraz od podatków na czas zagospodarowania się na tych ziemiach.

Drugi dzień obrad wypełniły wystąpienia polskich, czołowych badaczy zajmujących się historią Syberii. O mitologii syberyjskiej opowiadała prof. Wiktoria Śliwowska, zaś prof. Zbigniew Wójcik zarysował temat polskich uczonych przebywających na Syberii do 1922 roku. Bardzo ważki aspekt poruszył prof. Antoni Kuczyński, a mianowicie polsko-rosyjską współpracę w zakresie badań dziejów Polaków na Syberii. Kolejne wykłady dotyczyły okresu represji stalinowskich w XX wieku. Prof. Maria Blomberg przypomniała o decyzji Biura Politycznego KC WKP(b), na mocy której przeprowadzono akcję przesiedleńczą rodzin polskich jeńców do Kazachstanu. Z kolei dr Anna Zapalec przedstawiła położenie deportowanych obywateli polskich, pracujących w sowieckim przemyśle leśnym i opisała główne problemy ich życia. O losach Sybiraków, ich strategiach przystosowawczych, stosunku do nowej władzy i zastanej sytuacji opowiadała w swoim wystąpieniu Magdalena Dzienis-Todorczuk.

Ostatniego dnia obrad konferencyjnych słuchacze zapoznali się z treścią wykładów poświęconych obrazom Sybiru obecnym w literaturze. „Nie zdajemy sobie sprawy, jak ogromnym tematem w literaturze polskiej jest Syberia” –

stwierdził współorganizator konferencji prof. Jarosław Ławski. „Polacy trafiali na Syberię od XVIII w. Jest ogromny nurt w literaturze polskiej – pamiętników, wspomnień, rzadziej dzienników, które w różny sposób pokazują Syberię, martyrologicznie, ale też jako fascynujący kraj. Polscy zesłańcy tworzyli tam kulturę, dawali nazwy rzekom, gór” – dodał profesor.

Zróżnicowana tematyka referatów dobitnie pokazała, iż w obecnych czasach nie patrzymy na Syberię, Sybir tylko i wyłącznie w aspekcie martyrologicznym. Wprost przeciwnie! Naukowcy podkreślają, że Syberia była bardziej złożonym zagadnieniem. Powstają prace o udziale Polaków w tworzeniu kultury i wpływie na rozwój cywilizacyjny tej krainy. Podobnego zdania jest prof. Antoni Kuczyński, który stwierdził, iż „Polacy mieli bardzo duży wpływ na kulturę i gospodarkę autochtonów zamieszkujących Syberię. Nie można pominąć problemu Polaków na Syberii, bez pokazania tego, co wbrew niewoli, zesłaniu, katorgom, dali Polacy Syberii. Dali swój trud, wiedzę i umiejętności przyczyniając się do rozwoju kulturalnego tego regionu, przyczyniając się do poznania i rozpowszechniania kultury żyjących tam ludzi i do działalności gospodarczej”. Profesor dodał, iż związków polsko – syberyjskich nie należy rozpatrywać tylko przez cierpienie i niedolę, ale również przez tzw. nurt pozytywistyczny. Przywołał postaci kilku XIX-wiecznych zesłańców m.in. powstańca styczniowego Benedykta Dybowskiego oraz Bronisława Piłsudskiego, brata Marszałka Józefa Piłsudskiego, którzy poznawali Syberię i opisywali jej przyrodę i kulturę. Z kolei prof. Bolesław Szostakowicz z Państwowego Uniwersytetu w Irkucku jest zdania, że Syberia jest tematem „bardzo obszernym i złożonym”. Uważa, że to nie tylko historia osób, które zostały tam zesłane, ale również tych – lekarzy, nauczycieli, rolników – którzy dobrowolnie wyemigrowali i osiedlili się na tych terenach. Wątek ten wciąż czeka na wnikliwe badania.

Wart podkreślenia jest przyjazd do Białegostoku badaczy i naukowców rosyjskich. Dzięki ich obecności zaczynają kształtować się nowe polsko – rosyjskie relacje naukowe w badaniach nad Syberią. Jak stwierdził prof. J. Ławski „w Białymstoku spotkało się polskie doświadczenie Sybiru, z rosyjskim spojrzeniem ludzi z Syberii na polskie doświadczenie historii. To ludzie młodzi, bardzo otwarci na nowe spojrzenie na Sybir – nierozliczeniowe, niemartyrologiczne, uwzględniające i polski, i rosyjski punkt widzenia, doceniające wkład Polaków w historię tamtego regionu”.

Dodajmy, iż w konferencji uczestniczyło wielu młodych ludzi. Była to głównie młodzież licealna i studenci. To bardzo pozytywny znak, świadczący o jej zainteresowaniach dziejami Polaków na Wschodzie. Dzięki temu pamięć o Sybirze nie będzie zapomniana. Co więcej, będzie dalej przekazywana kolejnym pokoleniom. Owocem obrad będzie tom pokonferencyjny, który zostanie wydany jesienią 2013 roku.

Na koniec należy wspomnieć, iż obrady konferencyjne wpisały się w promocję idei budowy w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru, którego celem będzie edukacja, badania i prezentacja wiedzy na temat zesłańców syberyjskich od XVIII wieku aż po lata 50. XX w. Dyrektor Muzeum Wojska w Białymstoku Robert Sadowski (realizator projektu) stwierdził, iż konferencja jest ważnym etapem powstającego w Białymstoku Muzeum. „Za parę tygodni dostaniemy pakiet dokumentacji technicznej tego ważnego Muzeum. Wkrótce

będziemy mogli już aplikować o pieniądze na jego budowę. Oprócz budynku, ważna jest też zawartość merytoryczna w postaci pamiątek, eksponatów, jak również działalność naukowa”.

Jako organizatorzy, żywimy nadzieję, iż konferencja stała się wspólnym, polsko-rosyjskim miejscem wymiany myśli i doświadczeń – naukowych oraz społecznych. Została zorganizowana w Białymstoku po raz pierwszy, ale liczymy, że nie po raz ostatni... Już teraz zapraszamy do naszego miasta na następne spotkanie.

Sylwia Trzeciakowska

*

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 r., ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRR. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niehumanitarnej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku
ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl
www. sybir. com.pl

• UPAMIĘTNIENIE LOSÓW ŻOŁNIERZY ARMII ANDERSA

20 lipca bieżącego roku o godz. 19.30 w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie przy 238-246 King Street w dzielnicy Hammersmith wystawiona była sztuka zatytułowana „Niewidzialna Armia” („Invisible Army”). Było to przedstawienie teatralne przygotowane przez nastoletnich Brytyjczyków Elly College, Cambridge, stanowiące wspaniały przykład na utrwalanie pamięci o „armii tułaczy”. Jest to tym ważniejsze, że w tym roku mija 70-ta rocznica ewakuacji Armii gen. W. Andersa z ZSRR (później znanej jako 2 Korpus Polski), dzięki której także tysiące polskiej ludności cywilnej zostało wyrwanych z „niehumanitarnej ziemi”. Sztuka przedstawiająca deportację Polaków na Syberię podczas II wojny światowej i utworzenie Armii Polskiej w ZSRR.

Sztuka ta, której tekst został opracowany przez studentów pod kierunkiem Keystage Arts and Heritage, sponsorowana przede wszystkim przez UK Heritage Lottery Fund, pokazuje mało znany na Zachodzie wkład Polski do wysiłku militarnego armii sojuszniczych w latach 1942-1945. Wagi dodaje wydarzeniu fakt, iż sztuka zostaje pokazana w roku, kiedy mija siedemdziesiąta rocznica utworzenia Armii Andersa pod brytyjskim dowództwem (1942).

Przypomnijmy tu, że 17 września 1939 r., w dwa tygodnie po napadzie Niemiec hitlerowskich na Polskę zachodu, Sowieci zaatakowali nasz kraj ze wschodu. Około 1,5 mln polskich obywateli różnych narodowości i wyznań zostało deportowanych w głąb Syberii i do Kazachstanu. Dwa lata później, w 1941 roku, kiedy rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka, Polacy przebywający na syberyjskim zesłaniu zostali „amnestionowani” na mocy paktu Sikorski-Majski. Tysiące z nich, niedawnych Sybiraków, dołączyło do polskiej armii znanej potem jako Armia Andersa. Walczyli w kampanii alianckiej przeciw nazistowskiemu Niemcom w Afryce i we Włoszech, w szczególności pod Monte Cassino. Wielu weteranów Armii Andersa osiedliło się po wojnie w Wielkiej Brytanii, przyczyniając się do jej rozwoju kulturalnego i ekonomicznego po wojnie. Ich spuścizna ma swoją kontynuację w działalności ich dzieci, wnuków i prawnuków.

Sztuka jest w języku angielskim. Odgrywa ją 20 uczniów w wieku 14-16 lat. Chociaż są Anglikami i nie mają korzeni polskich, zaangażowali się mocno w przedstawienie historii Polski z tego okresu. Ukazuje ona losy dwojga młodych zakochanych, którzy zostają rozdzieleni i ponownie połączeni ze sobą przez wydarzenia historyczne. „Nigdy nie dokonałem niczego tak ważnego w moim życiu jak to” – mówi jeden z młodych aktorów. Inny natomiast podkreśla: „Polacy zrobili dla nas dużo w trakcie tej wojny, dlatego też chciałbym, aby ta historia ujrzała światło dzienne”.

Według współautora sztuki Mike’a Levy’ego z Keystage Art.: „Ta historia prawdziwej tragedii i determinacji Polaków, by przetrwać i walczyć o wolność Narodu poruszyła młodych uczniów angielskich z Ely. Jesteśmy podekscytowani faktem, że zostaliśmy zaproszeni, aby przedstawić sztukę w POSK. Jesteśmy także bardzo wdzięczni za sponsoring dany naszej szkole przez dwie lokalne firmy: G’s Marketing and Cambridge ESOL. Mamy nadzieję zobaczyć jak najwięcej osób na naszym przedstawieniu. Młodzi ludzie z Fens są bardzo zaangażowani, poruszeni tą historią i poczuciem niesprawiedliwości: tym, że za poświęcenie w walce u boku Aliantów, Polacy zostali po wojnie opuszczeni”.

Pomoc merytoryczną przy tworzeniu przedstawienia okazali członkowie Fundacji Kresy-Syberia. Ta założona w 2008 r. w Warszawie organizacja zrzesza dzieci i wnuki Kresowiaków i Sybiraków zamieszkałych na całym świecie. Prowadzi projekty dokumentujące losy Polaków w czasie II wojny światowej, ze szczególnym nastawieniem zamieszkałych przed wojną na Kresach Wschodnich i tych walczących na uchodźstwie. W powstanie i promocję przedstawienia „Invisible Army” zaangażował się szczególnie jej brytyjski oddział.

Wielu kombatantów i Sybiraków podzieliło się z autorami i aktorami przedstawienia swoimi doświadczeniami wojennymi. Po obejrzeniu sztuki w styczniu bieżącego roku 89-letni weteran, kapitan Stefan Mączka z 3 Dywizjonu Karpackiego powiedział: „Chciałbym podziękować za wystawienie sztuki „Niewidzialna Armia” która można powiedzieć ożywiła moje wspomnienia.

W moich oczach zyskała ona przeogromne uznanie”. Warto tu także podać, że kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski napisał: „»Niewidzialna Armia« projekt przygotowany przez studentów z Ely, jest czymś o przeogromnym znaczeniu. To dzieło ich pracy, to oni badali historię oddziałów Andersa. Chciałbym im podziękować za to, co zrobili”. Doceniając ten fakt wspomniany Urząd odznaczył współtwórców przedstawienia Medalami „Pro Memoria” rządu polskiego. W Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym otrzymali je: Michael Howard Levy, Keystage Arts Heritage Limited, Ely College i Fundacja Kresy-Syberia.

Kontakt dla mediów: Eva Szegidewicz, Członek Zarządu, Kresy-Siberia (UK), 7 Barnstead Avenue, Withington, Manchester M20 4UL Tel +44 161 445 6904, UK@Kresy-Siberia.org; www.kresy-syberia.org; Aneta Hoffmann, dyrektor Fundacji Kresy-Syberia w Polsce, tel. 502 870 596, e-mail: aneta.hoffmann@kresy-siberia.org

Aneta Hoffmann

• **SIEDEMDZIESIĄTA ROCZNICA WYJŚCIA POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH Z ZSRR DO IRANU**

Po uderzeniu Niemców dnia 22 czerwca 1941 roku na ZSRR doszło do układu między rządem Polski na uchodźstwie, a rządem ZSRR, zwanym układem Sikorki-Majski. Układ ten stworzył szansę dla polskich łągierników: ogłoszono amnestię dla obywateli II RP oraz utworzono Polskie Siły Zbrojne w ZSRR. To decyzje polityczne, natomiast praktyka okazała się bardziej złożona. Administracja sowiecka dysponowała niezliczonymi sposobami i środkami by te decyzje torpedować. Dotyczyło to zarówno amnestionowania jak i kierowania poborowych do Polskiej Armii. Silnych i zdrowych najczęściej zatrzymywano, natomiast do armii kierowano schorowanych, wycieńczonych i wynędzniałych łągierników.

Tworzącym się siłom zbrojnym nie zapewniano niezbędnych warunków bytowania i szkolenia. Dla przykładu armia nigdy nie otrzymała 44000 dziennych racji żywnościowych, przyrzeczonych gen. Władysławowi Andersowi przez Stalina.

W tej sytuacji gen. Anders i Polski Rząd na uchodźstwie poparł inicjatywę Churchilla o użyciu Wojska Polskiego do osłony pól naftowych i dróg, którymi przez Iran dostarczono do ZSRR uzbrojenie i inne materiały niezbędne do prowadzenia działań wojennych.

Po uzyskaniu zgody Stalina sztab Armii Polskiej w miesiącach od marca do sierpnia 1942 roku ewakuował do Iranu 116543 osoby(w tym 78631 żołnierzy). Pozostali to osoby cywilne, w większości kobiety i ponad 3 tys. dzieci.

W tym roku mija 70 lat od tej operacji, która uratowała tysiące Polaków od pracy ponad ludzkie siły i głodowej śmierci. Nim doszło do ewakuacji w ciągu kilku miesięcy zmarło w południowych republikach ZSRR od chorób z wycieńczenia 3017 żołnierzy i znacznie więcej osób cywilnych, co stanowi ok. 4% całego stanu osobowego Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR.

Dla zmarłych żołnierzy i osób cywilnych założono prowizoryczne cmentarze, które przez długie lata były zaniedbane. Po wielu rekonesansach Rada

Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa podpisała umowę z rządami nowych pro-sowieckich państw o rekonstrukcji cmentarzy polskich. Zasadnicze prace przy większości cmentarzy zostały wykonane przez polską firmę BUDIMEX-BARCICE Sp. z o.o. do 30 listopada 2010 roku. Użyto wysokiej jakości materiałów budowlanych, a pracę wykonano starannie i solidnie. Cmentarze przekazane do opieki robią wrażenie trwałych obiektów. Na każdym cmentarzu pomnik z polskim godłem, uporządkowane nagrobki, czyste alejki, tablica informacyjna i solidne ogrodzenie.

Z okazji 70 rocznicy wyjścia Sił Zbrojnych Polski z ZSRR do Iranu, Kierownik Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych dr Jan Stanisław Ciechanowski oraz sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr hab. Andrzej Krzysztof Kunert zorganizowali uroczyste obchody tej rocznicy dla upamiętnienia tysięcy zmarłych rodaków w Uzbekistanie, Kirgistanie i Kazachstanie.

Do udziału zaproszono delegacje Sybiraków i Żołnierzy-Sybiraków. Ze Związku Sybiraków w skład delegacji weszło 10 osób z różnych oddziałów związku. Delegacji przewodniczył Sekretarz Generalny Związku Sybiraków mgr Stanisław Sikorki. Ze Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie „Karppatczycy” w uroczystościach uczestniczyło również 10 osób (Stowarzyszenie działa w kraju); i pięć osób z Londynu, żołnierzy z korpusu Andersa.

W programie były uroczystości w czterech miejscach pamięci narodowej (dwa cmentarze i dwa pomniki). Każda uroczystość miała podniosły charakter: okolicznościowe przemówienia, modlitwa, składanie wieńców i zapalenie zniczy. Przebiegowi uroczystości towarzyszył pełny ceremoniał wojskowy w wykonaniu żołnierzy Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Ponad to odbyliśmy wzruszające spotkania z miejscową Polonią w Taszkencie i Samarkandzie. Członkowie miejscowych organizacji polonijnych rekrutują się z obywateli II RP zesłanych w latach 1940-1941 do Kazachstanu oraz Polaków – obywateli ZSRR zesłanych z Żytomierszczyzny i południowo-wschodniego Podola w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Działają w pełnej zgodzie skupieni wokół kościoła katolickiego, wspólnie tworzą polskie chóry, uczą się języka i historii polskiej i z utęsknieniem czekają na takie spotkania z rodakami, jakie miało miejsce 6 i 7 czerwca 2012 r.

Samarkanda! Porzekadło mówi: „być w Rzymie i nie widzieć Papieża”. podobnie być w Samarkandzie nie widzieć wspaniałych zabytków.

Na szczęście Organizatorzy w tym napiętym programie wykroili trochę czasu abyśmy mogli podziwiać światowej sławy cudenka. Za to im wielkie dzięki tak, jak za cały program. Wróciliśmy zmęczeni, ale zadowoleni i usatysfakcjonowani, przekonani, że rodacy, ba, powołane instytucje pamiętają o kombatantach nie szczędzą wysiłków ani środków, aby pamięć o ich czynach i walce nie zaginęła.¹

Henryk Majewski

¹ Problematyce tej redakcja „Zesłańca” zamierza poświęcić jeden z najbliższych jego zeszytów i zwraca się do wszystkich, którzy wraz z Armią gen. W. Andersa wyszli z „domu niewoli” o przysyłanie wspomnień.

• „DOBRE BYŁOBY NAPISAĆ KSIĄŻKĘ...”

W Zielonej Górze 24 maja br. odbyła się promocja książki D. Bazuń, I. Kaźmierczak-Kałużnej i M. Pokrzyńskiej pt. *Matki Sybiraczki. Losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR*, Zielona Góra 2012.

Stacja początkowa

Sala Witrazowa Muzeum Ziemi Lubuskiej. Dotyka wizerunek kobiety, osłaniającej przed wiatrem dwoje dzieci, wyświetlany na rzutniku – okładka książki zaprojektowana przez Roberta Tomaka, autora zielonogórskiego pomnika Matki Sybiraczki. Ludzie. Starość bez upiększeń mnie fascynuje, dlatego stoję na końcu sali i przyglądam się osobom. Poza zbliżonym wiekiem, łączy ich podobna przeszłość.



Magdalena Pokrzyńska podczas składania dedykacji autorskiej. Fot. Ewa Popiłka

„A myśmy szli i szli – dziesiątkowani! Przez tajgę, stopy – płataniną dróg!” – brzmi Hymn Sybiraków. Wstają. Dumnie patrzą przed siebie.

Dwoje młodych ludzi przy mikrofonie recytuje wiersz. „O Matko – Sybiraczko [...] / Całuję spracowane / Twoje Matczyne dłonie, / Które z mocą nadludzką / I czułą siłą kochania / Były tarczą opoką / W trudnych chwilach zesłania”. To uczniowie Gimnazjum nr 1 w Zielonej Górze znajdują swoje miejsce podczas uroczystości, prowadzonej przez reprezentantów jej głównych organizatorów: Marię Grońską – prezes Koła Związku Sybiraków w Zielonej Górze oraz Wacława Mandryka – prezesa Stowarzyszenia na Rzecz Pomocy Zesłańcom Sybiru.

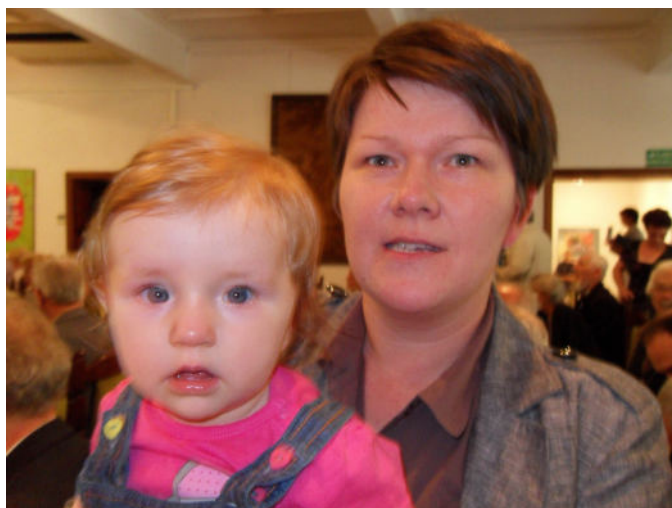
Powitanie gości, przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego, Urzędu Wojewódzkiego, Urzędu Miejskiego, Rad Gmin Zielona Góra i Świdnica, Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego i Związku Sybiraków. Pada wiele nazwisk i oklasków, a ja wciąż obserwuję ludzi. Zmarszczkami na twarzach mają wymalowaną wdzięczność.

Kolejny etap to wręczenie odznaczeń. Krzyżem Zesłańca Sybiru uhonorowani zostają: Wiktoria Gendera, Mikołaj Kłapoć i Jan Milewicz. Odznakę

Honorową Sybiraka otrzymują: Dorota Bazuń, Izabela Kaźmierczak-Kałużna, Magdalena Pokrzyńska, Ryszard Błażyński, Adam Jaskulski, Leszek Kalinowski, Zdzisława Kędzierska, Ryszard Świgoń, Andrzej Toczewski, Robert Tomak, Krzysztof Wesołowski i Roman Zaręba. Tyle wstępu. Ruszamy dalej.

Przystanek Dzień Matki

Prace nad książką trwały cztery lata. Na pomysł jej powstania wpadli M. Szymczak z Koła nr 8 Związku Sybiraków i W. Mandryk. – Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby napisać książkę o naszych matkach – wyjaśnia prezes. Miała stać się hołdem dla tych, które uchroniły swoje dzieci przed śmiercią podczas zesłania. Rektor Uniwersytetu Zielonogórskiego, prof. Czesław Osękowski, honorowy patron uroczystości, od razu zdecydował się pomóc. Tak propozycja trafiła do Instytutu Socjologii.



Izabela Kazimierczak-Kałużna ze swoją córeczką. Fot. Ewa Popiłka

– To książka socjologiczna, a nie historyczna. Koncepcja zakładała jej popularno-naukowy charakter. Jest relacją o matkach. Przedstawia ich historię „od kuchni”, historię codzienności matek – mówi M. Pokrzyńska. Podstawą do jej napisania stały się ankiety przeprowadzone wśród zielonogórskich Sybiraków. Rozdano ich 150, z czego wróciły 52. Inne źródła stanowiły: niepublikowane wspomnienia zarchiwizowane w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu, listy z zesłania oraz teksty pisane tuż po powrocie do kraju opublikowane w książce Katherine R. Jolluck, *Exile and Identity. Polish women in the Soviet Union during World War II*, wydanej w Pitsburgu w 2002 r. W opracowaniu przedstawiono przemiany tradycyjnej roli matki w polskiej kulturze oraz stworzono portret socjologiczny matek Sybiraczek. Okazało się, że macierzyństwo na zesłaniu wiązało się z pełnieniem szeregu ról wcześniej nie przypisywanych kobietom.

– Praca nad książką była dla nas przyjemnością. Mimo traumatycznej tematyki, której dotyka, historie, które usłyszałyśmy, są pełne nadziei – I. Kaźmierczak-Kałużna trzyma na rękach swoją małą córeczkę.

– Ona na pewno nas trochę zmieniła. Przygotowując się do analizy, czytaliśmy wspomnienia. W ten sposób, będąc tu, byliśmy też tam, na Syberii – dodaje M. Pokrzyńska.

Włodzimierz Kowalczyk, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków, podkreśla holistyczne ujęcie opracowanej w książce problematyki. – Każda wiedza, która ukazuje się na ten temat jest cenna – dodaje, a ja już przeglądam strony pachnącej drukiem publikacji i myślę, że to jedna z najpiękniejszych laurek z okazji Dnia Matki, jakie dotąd widziałam.



Uczestnicy spotkania promocyjnego.

Od lewej: Zygmunt Stabrowski, doradca Prezydenta Zielonej Góry,
Andrzej Toczewski, dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej
i Fryderyk Cielecki, wiceprezes Oddziału Związku Sybiraków w Zielonej Górze.
Fot. Aleksandra Błażyńska

Postój – Wspomnienie

– Nie tylko chylić czoła powinniśmy, a klękać przed naszymi matkami – słyszę – to były ciche męczennice.

Zatrzymujemy się na dłużej. Głos zabiera Łucja Czyrska, długoletnia prezes Sybiraków, dzieli się dramatycznymi wspomnieniami o matkach, które straciły życie na Wschodzie. Józef Maciejewski – członek Koła w Żarach – opowiadając swoją zesłańczą historię, próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy czas spędzony na Syberii wypełniały tylko pochmurne dni. Halina Waszkiewicz – córka jednej z Sybiraczek – czyta wiersz o swojej matce. A we mnie rośnie przekonanie, że nie zrozumie trudności kobiet, których spotkanie dotyczy, dopóki sama nie zostanę matką.

Do Przyszłości

Ze współpracy z Sybirakami narodził się pomysł stworzenia ekspozycji pokazujących powrót Polaków z zesłania. Taką obietnicę składa Andrzej Toczewski, dyrektor Muzeum, podkreślając wagę działalności Sybiraków dla tożsamości narodowej.

– Chciałyśmy uobecnić matki, oddać im głos – tłumaczy M. Pokrzyńska – kobiety, które wróciły z zesłania, nie miały statusu bohaterek.

Stoję wciąż w tym samym miejscu, jestem jedną z młodszych na tej uroczystości. Wciąż niewiele wiem. W swojej młodości nadal szukam. Wciąż o wiele pytam. Rozglądam się za autorytetami. Dobrze byłoby przeczytać tę książkę.

Paulina Pawłowicz



Pomnik Matki Sybiraczki w Zielonej Górze, autorstwa Roberta Tomaka.
Fot. Magdalena Pokrzyńska

- **ZNAKI PAMIĘCI O SYBIRAKACH Z XIX I XX WIEKU W POLSCE I W ROSJI. INFORMACJA O KONKURSIE**

Głównym celem działalności Muzeum Niepodległości jest „dokumentowanie i popularyzowanie wiedzy historycznej o dziejach Polski od czasów rozbiorowych do współczesności, ze szczególnym uwzględnieniem działalności niepodległościowej oraz państwowotwórczej, a także procesów związanych z kształtowaniem się tożsamości narodowej i regionalnej na tle zmian politycznych, cywilizacyjnych, społeczno-kulturowych, gospodarczych i światopoglądowych”. W tak sprecyzowaną misję, Muzeum wpisuje się koncepcja nowego konkursu zatytułowanego „Znaki pamięci o Sybirakach z XIX i XX wieku w Polsce i w Rosji”.

Losy Polaków na Syberii to ciągle pasjonujący i nie do końca rozpoznany temat. Są częścią historii narodu polskiego, prezentującą obraz różnych środowisk. Ich przedstawiciele trafili na Syberię w XIX wieku głównie jako zesłańcy, katorżnicy i przymusowi osiedleńcy, a w XX wieku – jako łagiernicy i deportowani. Do dnia dzisiejszego istnieje wiele śladów naszych powiązań z Europą Wschodnią, Uralem, Syberią, Kazachstanem i rosyjskim Dalekim Wschodem. Obejmują one nie tylko martyrologię, lecz również wkład polskiej myśli w dorobek naukowy i gospodarczy Rosji.

Znaki pamięci znajdują się zarówno w Polsce jak i na Wschodzie. U nas są to cmentarze, tablice pamiątkowe, pomniki, izby pamięci i ekspozycje muzealne, prace malarzy czy literatów o zesłańcym rodowodzie, spisane relacje represjonowanych, a w Rosji – obok wymienionych także polskie wsie, szkoły, kościoły czy nazwy geograficzne związane z działalnością zesłańców – badaczy i ludzi nie zajmujących się nauką.

Organizatorom konkursu zależy szczególnie na pokazaniu powszechnie mniej znanych lub wręcz nieznanymi znaków pamięci i umotywowaniu, dlaczego są one uznane za świadectwa polskich losów.

Celem konkursu jest poszerzenie wiedzy o przeszłości narodu polskiego, zaktywizowanie uczniów do samodzielnych poszukiwań i przemyśleń na temat związków polsko-syberyjskich oraz stworzenie dokumentacji obrazującej wiedzę i pamięć o polskich zesłańcach XIX i XX wieku.

Koordinatorami ze strony polskiej będą dr Anna Milewska-Młynik i dr Jolanta Załęczy z Muzeum Niepodległości w Warszawie, a ze strony rosyjskiej dr Sergiusz Leończyk, Wiceprezes Kongresu Polaków w Rosji.

Do współpracy przy organizacji konkursu Muzeum zaprasza: Związek Sybiraków, Wspólnotę Polską, Kongres Polaków w Rosji, Wirtualne Muzeum Kresy-Syberia, pisma: „Rodacy” i „Zesłaniec”. Organizatorzy wystąpili o patronaty do: Konsula Generalnego RP w Irkucku, Mazowieckiego Kuratora Oświaty w Warszawie (patronat honorowy) oraz TVP Historia, „Mówią Wieki”, „Wiadomości Historyczne”, „Rota”, „Zesłaniec” (patronat medialny).

Konkurs adresowany jest dla młodzieży szkół gimnazjalnych (klasy III) i ponadgimnazjalnych w Polsce i ich rówieśników spośród Polonii Rosyjskiej, w związku z tym prace mogą być pisane zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Prace konkursowe w formie portfolio (zawierającym zdjęcia, mapy, rysunki opatrzone komentarzem oraz bibliografią, prezentacje multimedialne na płytach CD) winny dokumentować pamięć o polskich zesłańcach.

Prace konkursowe oceniać będzie jury, w skład którego organizatorzy powołają: historyków – pracowników merytorycznych Muzeum i znawców tematu współpracujących z Muzeum oraz przedstawicieli organizacji i instytucji współpracujących przy organizacji konkursu (Związek Sybiraków, Wirtualne Muzeum Kresy-Syberia, Kongres Polaków w Rosji).

Konkurs został ogłoszony we wrześniu br., a zakończy się w czerwcu 2013 r. Uroczyste zakończenie konkursu odbędzie się w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Szczegółowy regulamin opublikowany zostanie na stronie internetowej Muzeum Niepodległości www.muzeumniepodleglosci.art.pl

Rezultaty zostaną omówione na konferencji dla nauczycieli historii, a najcenniejsze prace będą mogły zostać opublikowane (np. na łamach „Zesłańca”, „Rodaków”, w wersji elektronicznej na stronie Fundacji Kresy-Syberia albo w formie samodzielnego wydawnictwa pokonkursowego). Po zakończeniu konkursu opracowana zostanie mapa z naniesionymi punktami upamiętniającymi losy zesłańców syberyjskich, które przedstawiła uczestnicząca w konkursie młodzież. W następnej edycji konkursu planowane będzie uzupełnianie „białych plam”.

Jolanta Załęczny

• WSPOMNIENIE

Śp Kazimiera Bodaszewska urodziła się 20 stycznia 1938 roku w Kolonii Płoskiej, pow. Brzeżany, woj. Tarnopolskie. Pochodziła z polskiej patriotycznej rodziny. Zaledwie dwa lata spędziła na pięknym rodzinnym Podolu. Pewnej lutowej nocy w 1940 roku rodzinę Kluzów (rodowe nazwisko śp Kazimierzy) z głębokiego snu wyrывa gwałtowny łomot do drzwi wejściowych, słychać głośne wołanie „otkrywaj ...”. Do domu wdziera się dwóch czy trzech umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy w asyście cywila nie polskiej narodowości.

Tylko dwie godziny na zebranie niezbędnych rzeczy i cała rodzina Kluzów (rodzice i trzy córki) została odwieziona do stacji kolejowej gdzie czekał pociąg. Do towarowych wagonów, zwanych bydłęcymi, pakowano po 40-60 osób. Wagony zamykano z zewnątrz i przez całą podróż eskortowali je uzbrojeni żołnierze. Po kilku tygodniach podróży o chłdzie, głodzie w niewyobrażalnym brudzie, bez lekarstw, eszelon dotarł na miejsce w Krasnojarskim Kraju, nie tylko tysiące kilometrów od rodzinnego domu, ale i ponad dwa tysiące kilometrów od wschodniej granicy Europy, w głąb Azji. Do kraju wracają bez ojca po 6,5 latach życia w ekstremalnych warunkach. Ojciec nie sprostał ciężkiej, trwającej kilkanaście godzin na dobę pracy. Pozostał na wieki w niegościnniej ziemi. Matka z córkami wraca do kraju, ale nie w strony ojczyste. Krewni i sąsiedzi z Kolonii Płoskiej zostali rozproszeni po zachodnich województwach Polski.

Pierwsze lata po powrocie były ciężkie, stawiąły schorowanej matce z trzema nieletnimi córkami zadania ponad ludzkie siły. Trzeba było zorganizować i doskonalić byt rodziny, córkom zapewnić godziwą przyszłość poprzez nadrobienie opóźnień w kształceniu.

Śp Kazimiera wraz z rodziną realizuje to zadanie. Kosztem niemałych wyrzeczeń nadrabia opóźnienia w wykształceniu, zdobywa zawód, jednocześnie pomagając w pracach domowych.

Zakłada rodzinę, pracuje zawodowo. Jest cenionym fachowcem i solidnym pracownikiem, o czym świadczą kolejne awanse i liczne nagrody oraz odznaczenia.

My, Zarząd Oddziału Warszawskiego Związku Sybiraków, doświadczyliśmy tego bezpośrednio. Po wielu miesiącach dotkliwych niedomagań skarbnika wkraść się nieporządek do finansów oddziału. Śp Kazimiera podjęła się wyprowadzić nasze finanse z zapaści. Kosztem żmudnej, trwającej kilka tygodni pracy w dokumentacji finansowej oddziału zapanował porządek. Śp Kazimiera była solidnym, rzetelnym i pracowitym działaczem. Działała w Związku Sybiraków, Wspólnocie Polskiej, utrzymywała kontakty z Podolanami rozproszonymi po północnej i zachodniej Polsce.

Doświadczyliśmy Jej koleżeństwa i życzliwości. Była wrażliwa na ludzką niedolę, nadzwyczaj uczynna, zawsze gotowa nieść pomoc w potrzebie, wymagająca, a jednocześnie wyrozumiała. Mimo traumy, którą przeżywała przez dziecięce i młodociane lata była osobą pogodną.

Zarząd Oddziału Warszawskiego Związku Sybiraków składa mężowi i najbliższej rodzinie wyrazy głębokiego żalu i serdecznego współczucia z powodu śmierci naszej niezapomnianej Koleżanki Kazimiery.

Cześć Jej Pamięci!

Henryk Majewski

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Anatol Diaczyński, *Tętent koni przez wieki*, 2012 (bez miejsca wydania), s. 223.**

Oto dostajecie Państwo do rąk najnowszą próbkę oryginalnej twórczości prozatorskiej Anatola Diaczyńskiego. Jest to osiadły od połowy lat 90-tych w Polsce pisarz, repatriant z dalekiego środkowoazjatyckiego Kazachstanu – ogromnego kraju, który budzi w Polsce nader egzotyczne skojarzenia. Kraj ten, w którym Pisarz przyszedł na świat ponad pół wieku temu w przesiedleńczej polskiej rodzinie – mroczne czasy stalinizmu uczyniły (wbrew woli samych zainteresowanych) „tygłem kultur”, mieszaniną rozmaitych nacji ze Wschodu, Zachodu, a nawet Północy byłego sowieckiego imperium. Dodajmy do tego świadectwa ziemi, odkrywane przez archeologów – ślady licznych, nieobecnych już tam dzisiaj starożytnych i wczesnośredniowiecznych ludów, stepowych szczepów wędrownych różnej rasy i pochodzenia, o których świat – poza historykami – dawno już zapomniał.

Proza Diaczyńskiego wciąż, w wielu jego utworach, oddycha tym środkowoazjatyckim powietrzem, niesie ze sobą rozpalone nad suchym stepem słońce, gorzkawy zapach stepowego piołunu i przybliża nam tamten krajobraz, który znaliśmy dotychczas jedynie z rosyjskiej prozy Morisa Simaszki, na przykład ze zbioru opowiadań pt. *Jemszan* (w przekładzie R. Stillera i J. Litwiniuka). Dzięki temu Diaczyński jako prozaik przypomina legendarnego stepowego węża Połozę – co jakiś czas odkrywa przed nami coraz to inny, urzekający odcień wielobarwnej, wężowej łuski.

Tym razem – w pierwszym z trzech zawartych tutaj opowiadań (*Ludzie dzikich stepów*) – magia jego wyobraźni przenosi nas, ciągle na tychże stepach Kazachstanu, w czasy bardzo odległe – ponad 5000 lat temu. To moment historii zwiastujący wielki przełom kulturowy: koniec epoki kamiennej i początek epoki miedzi, który według niektórych historyków miał miejsce właśnie na obrzeżu środkowoazjatyckiego stepu.

Obszary te zamieszkiwały wówczas pasterskie i wojownicze plemiona Praindoeuropejczyków – przodkowie mnóstwa dzisiejszych ludów Europy i Azji, od Irlandii po granice Chin. Byli biali, w swej masie nader często jasnowłosi i jasnoocy – całkiem różni od obecnie tam bytujących mongoloidalnych ludów rodziny turko-ałtajskiej. Byli wśród nich także nasi własni praprzodkowie – formujące się załążki szczepu Prabałtosłowian. Według własnych prastarych mitów byli oni pierwszymi odkrywcami sposobu krzesania ognia, któremu oddawali boską cześć. Byli też – co chyba jest prawdą – pierwszymi, którzy oswoili i udomowili nieposkromione dotychczas, szybkie jak wiatr stworzenie

stepowe – konia. Następnie zaś – wzięwszy pomysł wozu od bardziej południowych ludów – udoskonalili koło przez dodanie szprych i stworzyli lekki, niezwykle szybki rydwan bojowy, zaprzężony w to przez nich samych udomowione zwierzę – konia. Na tych rydwanach dokonali inwazji olbrzymich obszarów Eurazji, rozbili w pył prastare cywilizacje Indii, Mezopotamii, Anatolii i Morza Egejskiego – i stworzyli w ten sposób podwaliny całej, obecnie ogromnej, rodziny narodów białej rasy Starego Świata.

W 1983 roku młody wówczas Autor uczestniczył w ekspedycji archeologicznej na stepach obwodu koksżetauskiego, co rozbudziło w nim fascynację historią, a zwłaszcza stuleciami zamierzchłej, legendarnej przeszłości. Fascynacja ta pozostała mu na całe życie, do dziś. Własnymi oczyma oglądał ślady dawnego obozu, którego mieszkańcy – ciągle jeszcze polujący na dzikie konie, by zjadać ich mięso przechodzili stopniowo do prób ich oswojenia, udomowienia i świadomej hodowli. Wszystko to – spowite w mity, szamańskie czary, dawne wierzenia, prastary stepowy obyczaj oplecione wątkiem romansowym – znalazło wyraz w opowiadaniu *Ludzie dzikich stepów*.

Drugie opowiadanie pt. *Idę oto w delegację* pojawia się po tym pierwszym prawem kontrastu. Oto mamy przed sobą te same obszary, ale po upływie około 5000 lat, z okresu całkiem dla nas niedawnego, sprzed kilkudziesięciu lat, na które to czasy przypadły dzieciństwo i młodość Autora. Zawiera ono satyryczny i, jak by się zdawało, banalny wątek fabularny o młodzieńcu pragnącym dostać wolne na ślub siostry, którego biurokraci zmuszają do udania się w delegacyjną podróż, w dużej części odbywaną pieszo. Inny wątek to potraktowana z humorem „pomoc” zakładu dla stepowego *sowchozu* (odpowiednika naszego peerelowskiego PGR). Wdziera się tu jednak również, jako odniesienie do nostalgicznie przeżywanej przeszłości – wspomnienie starego Kazacha o dawnym, czystym i dziewiczym stepie i nieodłącznych odeń pięknych stworzeniach – koniach.

To też już kawałek historii, obrazek świata, którego już nie ma (co miłośnikom prozy Diaczyńskiego przypomina tytuł jednej z jego dawniejszych książek). Wiele się tam zmieniło, w miejsce sowieckiej republiki Kazachstan mamy teraz Kazachstan w pełni niepodległy, rządzący się u siebie samodzielnie. Wiele stepów zaorano, zanikają tak liczne niegdyś konie, a także wiele ze stepowego obyczaju; pojawiły się nowe budowle, nowe środki lokomocji. Ale jednak ciągle żal czegoś, co odchodzi w niebyt, wypierane przez cywilizację XXI wieku – i stepu, i koni.

Ostatnie opowiadanie przenosi nas w początkowe lata XVII stulecia, do młodego, liczącego wówczas dopiero 37 lat polsko-litewskiego państwa związkowego. Była to Rzeczpospolita Obojga Narodów, utworzona na mocy Unii Lubelskiej w 1569 roku z Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Królestwa Polskiego (przedtem połączonych tylko osobą króla).

Pośmiertny już owoc wieloletnich, skomplikowanych zabiegów ostatniego Jagiellona, króla Zygmunta Augusta – w tamtych czasach fenomen równości stron, nie wymuszony podbojem ani inną formą siły ze strony narodu polskiego. Uzasadniony za to atrakcyjną siłą militarną strony polskiej, której Wielkie Księstwo Litewskie, zagrożone przez Tatarów i Moskwę – rozpaczliwie potrzebowało. Drugą atrakcją dla ludności tej części wschodniej (głównie szlachty) był urok niezwykle (jak na tamte czasy) liberalnego ustroju Polski, polskich wolności politycznych, wypracowanych przez wieki w Królestwie Polskim – które

Unia przeniosła także tam, poza granice Polski piastowskiej. Część polska tego państwa, popularnie zwana „Koroną” (*Corona Regni Poloniae*) obejmowała naonczas także Ruś Czerwoną (przyłączoną jeszcze przez króla Kazimierza Wielkiego w 1340 r.) oraz od niedawna – o wiele późniejsze nabytki: Wołyń wraz z dalszymi wschodnimi obszarami ziem obecnie ukraińskich, inkorporowane do Korony w 1569 r. decyzją Zygmunta Augusta.

Nie jestem zawodowym historykiem specjalizującym się w dziejach XVII wieku, nie będę więc oceniał wiarygodności wizji historycznej Autora i weryfikował wplecionych w opowiadanie wydarzeń historycznych. Jako polonista-historyk literatury (wyspecjalizowany w XVII-wiecznej staropolszczyźnie) mogę natomiast wypowiedzieć się o kulturze i obyczaju tamtej epoki, a także o sposobie, w jaki zostało to w opowiadaniu odzwierciedlone. Oto w spokojne wiejskie życie drobnoszlacheckiej rodziny wdzierają się wichry historii – zarówno z ościennego państwa rosyjskiego (tzw. *smuta*, czyli „okres zamętu”), jak i te zrodzone w sercu Rzeczypospolitej – w Koronie, wokół miasta Sandomierz (rokosz Zebrzydowski).

Autor czyni wiele, aby przedstawić racje obydwu walczących stron – skonfederowanej szlachty i stronnictwa królewskiego – w sposób wyważony i sprawiedliwy, bez uproszczeń. Powoduje to, że mający w naszej historii złą opinię „rebelianci” Zebrzydowski stają się dla nas bardziej zrozumiali, a ich reakcje – bardziej czytelne i ludzkie. Niebagatelną rolę w tym konflikcie i towarzyszącej mu polemice politycznej odgrywały sprawy wolności sumienia i wyznania, a także sprzeczne ze sobą wizje kształtu religijnego i politycznego państwa. Kwestie te nie przebrzmiały wcale wraz z przemijaniem stuleci – wręcz przeciwnie, wiele z nich wykazuje dzisiaj zadziwiająco aktualność.

Na tym tle, bogatym w XVII-wieczne szczegóły obyczajowe, Autor odważnie podejmuje też inny, trudny wątek ówczesnej historii – sprawę tzw. unii brzeskiej z 1596 r., kiedy to część prawosławnych hierarchów Rzeczypospolitej przyłączyła się do papieża i Rzymu, tworząc tzw. cerkiew unicką – i zarazem powodując trwałą rozłam wśród zamieszkujących Rzeczpospolitą Rusinów. Opowiadanie pokazuje nam, jak w strefie rubieży etnograficznej, na peryferiach ówczesnej historycznie rozumianej Sandomierszczyzny (z przemieszana ludnością polską i czerwonoruską) dochodzi do pojawienia się nowej kategorii wyznaniowej – unitów – definiującej się całkiem na nowo jako składnik wielonarodowego społeczeństwa tamtej Rzeczypospolitej i powoli wrastającej w polską wspólnotę narodową.

Za to należy się Autorowi chwała i uznanie, gdyż ten niełatwy temat był rzadko i niechętnie traktowany – a nawet pomijany – przez naszych pisarzy historycznych piszących o XVII wieku, z wielkim Henrykiem Sienkiewiczem i Zofią Kossak-Szczucką na czele. Akcja opowiadania rozgrywa się na dwóch planach czasowych – w XVII wieku i w czasach nam współczesnych. Te dwa plany – i losy żyjących w tych epokach par młodych ludzi – ustawicznie się ze sobą przeplatają. W wątek historyczny i romansowy umiejętnie wpleciony zostaje – zawsze bliski autorowi – element literackiego gatunku *fantasy*.

Smakowitą okrasą tego „dania literackiego” jest umiarkowana stylizacja językowa mowy XVII-wiecznych bohaterów – mówią oni w sposób przypominający ówczesną staropolszczyznę, ale tylko na tyle, aby było to dla czytelnika zrozumiałe bez uciekania się do specjalnych słowników historycznych. Mowa dawnych bohaterów jest tu dosadna, jędrna, urodziwa zarówno w swojej ru-

baszności, jak i w ówczesnych formach grzecznościowych, w nieumiarkowanym nadużywaniu wyrażeń łacińskich. Dobrze się prezentuje w kontraście z mową współczesnych Polaków, która również w opowiadaniu rozbrzmiewa.

Mam nadzieję, że trafi czytelnikowi do gustu zwłaszcza na tle egzotycznych dzisiaj dla nas ubiorów, kulinariów, rodzajów uzbrojenia i innych podobnych elementów, ubarwiających żywy i wartki tok opowiadania. W kronice poszukiwań własnej formuły pisarskiej niniejszy zbiór opowiadań zajmuje w twórczości Diaczyńskiego miejsce szczególne. Po próbie ostrej, satyrycznej reakcji na naszą codzienną polską współczesność, która ukazana została w zbiorze *Nadchodzi wieczór 2* (2008 r.), pisarz powraca do wspomnień świata kazachstańskiego swojej młodości, oraz do historii: tej legendarnej, zamierzchłej, pozwalającej puścić swobodnie wodze wyobraźni – oraz, co jest u niego pewną nowością, do epoki historycznej o wiele młodszej (XVII w.) w regionie swej odzyskanej po latach Ojczyzny – Ziemi Sandomierskiej, w którym mieszka obecnie. Miejsca, które opisuje w opowiadaniu *Trzy garści srebra i miedzi*, zna doskonale.

Nowością jest tu kontrastowe zestawienie dwu epok na tym samym terytorium Sandomierszczyzny – burzliwego wieku XVII oraz naszej chwili obecnej. Element fantastyczny, który spaja te dwa plany czasowe – magiczny motyw skarbu – wywodzi się z zasygnalizowanych wcześniej archeologicznych pasji Pisarza, ale zarazem stanowi rozwinięcie miłego mu klimatu historycznej legendy w kierunku *historical fantasy* (w chwili obecnej reprezentowanej w naszej literaturze przede wszystkim przez *Trylogię husycką* Andrzeja Sapkowskiego).

Życząc szczerze Pisarzowi ewolucji jego prozy w tym ciekawym kierunku, oddaję niniejsze plody jego twórczej myśli w ręce czytelników – z niepełną nadzieją, że nie poczują się zawiedzeni.

Mirosław Grudzień

- ***Polscy badacze Syberii*, red. B. S. Szostakowicz, M. Wołos, P. Głuszkowski, Sankt Petersburg 2011, s. 167.**

Kompilacja pojęć „Syberia”, „Polak” czy „Polacy”, nieodmiennie kojarzy się z tematyką zesłańczą a mówiąc o Syberii, częstokroć pojawia się też slogan „nie ludzka ziemia”. Jednak Syberia to nie tylko miejsce zesłań, katorgi i łagrów lecz to rozległy kraj, rozciągający się od Uralu aż po Kamczatkę, o niezwykłym zróżnicowaniu kultur, fauny i flory oraz o nieprzebranych bogactwach naturalnych. Jej dzieje skłaniają do ciągłego pogłębiania znajomości faktów z tym związanych a retrospekcje historyczne uporządkowane chronologicznie obejmują też faktografię dotyczącą zesłań i deportacji Polaków za Ural oraz ich roli w zagospodarowywaniu i naukowym poznaniu tych ziem. Tymi, którzy włożyli bezcenny wkład w badania naukowe na Syberii, byli bowiem także polscy zesłańcy, mimo wielorakich utrapień i rozterek jakich doznawali w swym zniewolonym życiu, co wyraźnie jawi się z ich biografii oraz studiach historycznych, podejmowanych współcześnie przez badaczy polskich i rosyjskich, tych ostatnich nierzadko z polskim rodowodem!

Nakładem sanktpetersburskiego wydawnictwa Aletheia ukazała się w 2011 r. książka pt. *Polscy badacze Syberii*, stanowiąca pokłosie konferencji

naukowej, która odbyła się 20 listopada 2008 r. w Rosji. Tematem jej rozważań była rola polskich badaczy w poznawaniu zauralskiej części Rosji w XIX i na początku wieku XX, których wkład z tego zakresu łączy się z zesłańczym pobytom, a nierzadko także z dobrowolnymi pracami badawczymi. Stąd np. spotkać nieraz można w literaturze zwrot określający Syberię jako przybraną ojczyznę Polaków. W taki też sposób uczestnicy wspomnianej konferencji przedstawiali badaczy, którzy część swojego życia poświęcili badaniom przyrodniczym na Syberii, poznawaniu kultury tubylczych etnosów, gromadzeniu kolekcji geologicznych i etnograficznych, pracy w regionalnych muzeach, lokalnych towarzystwach naukowych czy w różnych organach władzy administracyjnej. Książka *Polscy badacze Syberii* jest więc ważnym kompendium wiedzy dotyczącym tematyki syberyjskiej oraz zbiorem referatów wygłoszonych podczas konferencji i stanowi istotny zespół informacji dotyczących jednego z fragmentów historii naszych rodaków na Syberii.

W publikacji zamieszczono artykuły dwunastu autorów (historyków, geologów, literaturoznawców), zarówno z Rosji jak i z Polski. Prezentują oni postaci poszczególnych badaczy Syberii oraz spojrzenie na ten region jak na „przybraną ojczyznę Polaków”. Zaskakujące jest to, że tak niewielka publikacja, bo zawierająca niespełna 170 stron, jest niezwykle bogata merytorycznie. Nie wyczerpuje wprawdzie ona rozległej tematyki związanej z naukowym poznaniem Syberii, jednak w sposób zwięzły i konkretny skupia się na najistotniejszych aspektach związanych z jej badaniami prowadzonymi przez Polaków w XIX i na początku XX wieku. Dla znających choćby powierzchownie tematykę tych badań, z pewnością nieobce są nazwiska Benedykta Dybowskiego, Jana Czerskiego, Wacława Sieroszewskiego czy Bronisława Piłsudskiego. Nie należy jednak zapominać, że wraz z odejściem tych postaci nie zakończyło się naukowe poznawanie ziemi i kultury syberyjskiej. Współcześnie także prowadzone są wyprawy za Ural, powstają znaczące publikacje i monografie.

W prezentowanej tu książce, jeden z rozdziałów traktuje o współczesnych uczonych, od kilkudziesięciu lat badających wkład Polaków w poznawanie Syberii z XIX w. oraz ukazujących polskie dziedzictwo naukowe i cywilizacyjne z tego zakresu. Wiktoria Słiwowska i Antoni Kuczyński to dwójka znawców Syberii, którzy swoją działalność naukową poświęcili tej tematyce. Co istotne, należą do grona tych osób, które w tej pracy kontaktują się z rosyjskimi przedstawicielami środowiska naukowego, tworząc przez to istotną platformę współpracy, pozwalającą unikać naukowego polonocentryzmu. Na łamach książki *Polscy badacze Syberii* czytamy między innymi, że wspomniani badacze „Zajmując się syberyjską tematyką od ponad 35 lat, wnieśli ogromny wkład w przygotowanie naukowych kadr oraz w prowadzenie wspólnych polsko-rosyjskich projektów”. Piotr Głuszkowski, autor tekstu, zauważa, że ich badania nie koncentrują się wyłącznie wokół tematyki zesłańczej i łagrowej, lecz dotyczą także aspektów życia codziennego. W przypadku Kuczyńskiego znaleźć możemy prace traktujące o polskiej medycynie na Syberii, wkładzie Polaków w rozwój szkolnictwa wśród mieszkańców Syberii czy o polskich budowniczych kolei transsyberyjskiej. Artykuł zawiera też sygnał o ośrodku badawczym, który powstał z inicjatywy wspomnianego wyżej uczonego – Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego – zajmującym się badaniami i koordynacją projektów naukowych dotyczących Polaków na Wschodzie. Całości

publikacji nie należy odmówić rzetelności i wnikliwości a zarazem prostoty, która czyni umieszczone w zbiorze teksty przyjazne dla czytelnika i jest to zajmująca lektura, która stanowi niezwykle interesujący wkład w dyskusję na temat znaczenia polskich badań przyrodniczych i kulturowych za Uralem.

Następny referat, Aleksieja Korolkowa z Irkucka, skupia się na przedstawieniu biografii oraz dokonań badawczych dwóch wybitnych geologów: Rosjanina Władimira Afanasjewicza Obruczewa i Polaka Karola Bohdanowicza, prowadzących badania na Syberii, w Średniej i Centralnej Azji. Ich wiedza i autorytet wykorzystywane były także przez przedstawicieli przemysłu, którzy zwracali się do nich z prośbami o rady oraz ekspertyzy. Artykuł szkicuje te dwie postaci, eksponując ich znaczenie dla nauki oraz przemysłu. Z kolei referat Sergiusza Leończyka, Polaka z Abakanu przybliży osobę Maksymiliana Marksa, politycznego zesłańca, którego śmiało nazwać można znakomitym meteorologiem. Zesłany do Jenisejska, zajął się badaniem klimatu tego rejonu. Leończyk przedstawia jego losy, spotkania z innymi badaczami, wśród których był Aleksander Czekanowski zesłany po powstaniu styczniowym. Cytuje rozmowy, które ubarwiają artykuł a także prezentują podejście zesłańców do swojego życia na wygnaniu. Są to niezwykle cenne narracyjne elementy tego referatu, przybliżające z jednej strony realia tamtych czasów, z drugiej zaś prezentują czytelnikowi człowieka, któremu przyszło zmierzyć się z różnymi przeciwnościami losu, a mimo to pokonywał je z uporem i stał się wybitnym meteorologiem w tej części syberyjskiej ziemi.

W artykule znajdziemy też ciekawą polemikę dwóch badaczy – Marksa i Czekanowskiego – na temat losu polskich zesłańców. Dodajmy, że rodowód polskiej diaspory na Syberii, jest mocno zawikłany i nadal słabo rozpoznany. Temat ten podjęła rosyjska historyczka Swietłana Mulina z Omska, przedstawiając złożoność polskiej obecności na terenie Zachodniej Syberii w połowie XIX w. charakteryzując zarazem miejsca, w których wypadło żyć polskim zesłańcom, ich zajęcia, warunki bytowe oraz stan liczbowy w danym rejonie. Wspomaga się przy tym opisaniem relacjami zachodzącymi między różnymi szczeblami i rodzajami władzy a ludnością polską oraz organizacją polskich społeczności w poszczególnych miastach. Znajdujemy też w tej prezentacji zarys prób ustanowienia norm i zasad działania polskiej diaspory w tej części Syberii.

Omawiany zbiór, jest rzecz można, wielotematyczny, bo z kolei Michał Pendracki z Warszawy skupił się na aspektach pierwszych badań kulturowych dotyczących głównie Jakucji. Polakom bowiem nie można odmówić ogromnego wkładu w rozwój dziedziny zwanej jakutologią. Dzięki wczesnym obserwacjom prowadzonym przez zesłańców, wśród których wymienić należy m.in. A. Kamieńskiego-Dłużyka, L. Siennickiego, I. Matuszewskiego-Matuszewicza oraz dziewiętnastowiecznym studiom E. Piekarskiego, czy W. Sieroszewskiego, nasza wiedza o Jakutach obejmuje, poza ogólnymi stwierdzeniami kulturowymi, także takie zagadnienia jak codzienne zajęcia, odzież, żywienie, choroby, język, szamanizm, itp. Choć w relatywnie krótkim artykule Pendrackiego pojawia się kilkanaście nazwisk, to konstrukcja artykułu oraz temat przewodni, stanowią zwartą i jasną kompozycję.

Bez żadnych wątpliwości to samo powiedzieć można o artykule Siergieja Snopkowa z Kułtuku nad Bajkałem, który swoje rozważania poświęcił jednemu z największych badaczy Syberii – Benedyktowi Dybowskiemu, uczestnikowi powstania styczniowego, który podobnie jak wielu innych jego uczestników

znalazł się na zesłaniu. Autor w skróconej formie opisuje działalność Dybowskiego, prezentując przy okazji występujący często w publikacjach o uczonego podział na poszczególne etapy jego badań nad Bajkałem. Wspomina o zesłańczych kontaktach Dybowskiego ze swoimi rodakami oraz innymi osobami z grona miejscowej administracji oraz ludności tubylczej, z którymi spotykał się przebywając przez szereg lat w tej części Syberii. Wiedza i rzetelność autora stanowią o dobrym poziomie tego tekstu, w którym wspomaga się on wypowiedziami z opublikowanych wspomnień Dybowskiego oraz wypowiedziami o nim zaczerpniętymi z różnych źródeł. Co ważne, choć referat koncentruje się na naukowej działalności Dybowskiego, to jednak pewne jego fragmenty poświęcone są pracom jakie czynił na rzecz lokalnych społeczności: rosyjskiej i buriackiej, śpiesząc z posługą lekarską, za co okazywano mu wdzięczność i szacunek, a nieraz i pomoc, gdy był w jakiejś życiowej potrzebie.

Omawiana publikacja obejmuje materiał wpisujący się w różnorodną działalność naukową Polaków na Syberii, a autor kolejnego artykułu, Bolesław Szostakowicz z Irkucka, profesor miejscowego Uniwersytetu, poświęcił go omówieniu postaci Władimira Szostakowicza, przedstawiciela syberyjsko-polskiego rodu (jak określa autor) oraz jego niebagatelnego wkładu w rozwój rosyjskiej geofizyki. Artykuł prezentuje z dużą precyzją życie i zawile losy tego badacza. Rzetelnie też opisuje jego działalność naukową. Połączenie tych osiągnięć z biografią okazało się zabiegiem niezmiernie pozytywnym i wzajemnie sprzężonym. W tekście tym jawi się wybornie połączenie rzetelności, kompetencji oraz emocjonalnego stosunku autora do tej postaci, inaczej wszakże być nie mogło, skoro jego autor wywodzi się też z syberyjsko-polskiego rodu i jest cenionym historykiem, podejmującym wielokrotnie tematykę związków polsko-syberyjskich, za co w roku 2010 otrzymał prestiżową nagrodę polskiego periodyku naukowego „Przegląd Wschodni”.

„Syberia – przybrana ojczyzna Polaków”, to określenie często funkcjonujące w literaturze stało się tytułem referatu Joanny Arwaniti i Doroty Petszkiewicz z Archiwum Naukowego PAN w Warszawie. Traktuje on o niezwykle znamiennej kwestii, jaką było spojrzenie na Syberię nie jako na miejsce katorgi i zesłania, lecz jako na krainę pełną pięknej przyrody, bogatej i mistycznej kultury. Autorki powołują się m.in. na dzienniki, szkice Leona Barszczewskiego, Wacława Sieroszewskiego, Juliana Talko-Hryniewicz, Celestyna Czechanowskiego czy Benedykta Dybowskiego. Artykuł pokazuje, że niezwykłość tej krainy dla wielu zesłańców była przyczyną ich ponownego, tym razem dobrowolnego pobytu na Syberii. Choć zesłanie miało stanowić karę i odebrać im to co najbliższe, okazało się niezwykłym darem, który nie tylko przyniósł sławę, ale także stał się cennym wkładem w naukę oraz cywilizację tej części Imperium Rosyjskiego. Autorki dodatkowo wspomniały o polskich artystach, podejmujących tematykę syberyjską, których zbiory znajdują się w Muzeum Sztuki w Irkucku i stanowią przedmiot naukowych i edytorskich opracowań. W niejakim związku z tymi poglądami pozostaje artykuł Jurija Zuliara z Irkucka, który zaprezentował zarys działalności Witalija Dorogostajskiego, przyrodnika i pedagoga, opierając swoje konstatacje o dokumenty znajdujące się w Państwowym Archiwum w Irkucku. Również Oksana Polańska (Ułan Ude) zajęła się tematem wkładu polskich badaczy w rozwój nauki o Syberii, Hanna Krajewska (Warszawa) omówiła zakres materiałów dotyczących polskich badań naukowych na Syberii oraz innej społeczno-użytecznej działalności Polaków za Uralem znajdujących się w Archiwum Polskiej Akademii Nauk. Zamieszczone

w prezentowanej książce artykuły zamyka opracowanie Jurija Czernowa z Irkucka, poświęcone życiu i naukowej działalności Aleksandra Czekanowskiego. Autor, po krótkim wprowadzeniu, zaprezentował w formie tabelarycznego zestawienia poszczególne okresy życia tego badacza i wpisał w nie różne wydarzenia z dziedzin nauki, jakimi zajmował się Czekanowski. W zestawieniu znalazła się także rubryka „rezultaty badań”. Konkretyzując, rzecz można, że J. Czernow przedstawił najistotniejsze aspekty związane z naukowym życiem Czekanowskiego, dodajmy tu tytułem dopełnienia, że jego imię nosi wielkie pasmo górskie w północnej Jakucji nazwane Górami Czekanowskiego.

Czas więc na recenzyjną konkluzję dotyczącą tej niewielkiej książki zatytułowanej *Polscy badacze Syberii*. Podkreślić należy, że to zdecydowanie ciekawa publikacja poświęcona związkom polsko-syberyjskim. Jej wartość podnoszą liczne odniesienia do tekstów źródłowych autorstwa opisywanych badaczy, wydanych zarówno w języku polskim jak i rosyjskim. Te drugie często nie zostały opublikowane do tej pory w Polsce. Publikację ożywiono fotografiami przedstawiającymi postaci niektórych polskich badaczy Syberii.

Agnieszka Kaniewska

- **Władysław Antoni Czarnecki, *Wspomnienia sapera z 5 Dywizji Syberyjskiej ps. „Kotwicz” 1918-1921, Wrocław 2011, s. 153.***

W 2011 r. nakładem Franciszkańskiego Wydawnictwa Św. Antoniego opublikowane zostały interesujące wspomnienia Władysława Antoniego Czarneckiego z jego pobytu w Rosji w latach 1918-1921 i żołnierza V Syberyjskiej Dywizji. Inicjatorem tej edycji był jego syn, Jeremi, który przygotowywał owe materiały wraz z ojcem na przełomie lat 60` i 70`. Dotychczas w 1987 r. i 2005 r. ukazały się relacje z życia zawodowego W. Czarneckiego, jednego z głównych architektów Poznania w dwudziestoleciu międzywojennym. Niestety, ze względu na cenzurę, nie istniała możliwość opublikowania w PRL-u jego przygód w ogarniętej wojną domową Rosji oraz opisu jego służby w „reakcyjnej” 5 Dywizji Syberyjskiej. Dokonała tego dopiero jego synowa, Maria Czarnecka, kontynuatorka idei edytorskiej swego męża. Dzięki niej trafił do rąk czytelników unikatowy pamiętnik „pierwszego sapera dywizji”, pseudonim „Kotwicz”.

Ze względu na odległość czasową, jak zaznacza Jeremi Czarnecki w swoim krótkim wstępie, pomiędzy opisywanymi wydarzeniami, a czasem ich spisania bądź nagrywania na kasety magnetofonowe (ok. 50 lat), istniały pewne rozbieżności pomiędzy tym, co pamiętał jego ojciec, a faktami. Wymagało to poprawek, których dokonał sam Jeremi. Mimo to, przed publikacją, dokonano drugiej korekty przez Jana Wiśniewskiego. Niestety w książce i tak znajduje się wiele pomyłek. Być może, jest to wynik „znacznego przeredagowania oryginalnych przypisów” i „pewnej ingerencji redakcyjnej” w wielowątkowy tekst, o którym wspomina M. Czarnecka we wprowadzeniu do książki. Spowodowało to położenie zbyt dużego nacisku na całość dziejów dywizji i harmonię książki.

Początek wspomnień autor umieścił latem 1918 r. w Irkucku, zaś zakończył jesienią 1921 r. we Lwowie. Ich główna oś nakreślona została podług dziejów 5 Dywizji Syberyjskiej, do której Czarnecki wstąpił razem z Legionem Irkuckim, zaś po jej kapitulacji zgodnie z szablonem, który tworzyły historie

żołnierzy wziętych do niewoli: Krasnojarsk, Tomsk, Tuła, repatriacja. Całość dzieła dzieli się na dwie zasadnicze części – historię dywizji i przede wszystkim kompanii saperów jako zbiorowości ludzkiej, do której należał autor, i historię egzystencji pojedynczego człowieka, oficera Czarneckiego, w obozach i więzieniach bolszewickich oraz jego powrót do kraju. Cezurą je oddzielającą jest kapitulacja pod Klukwienną w styczniu 1920 r.

Wspomnienia ukazują życie polskich żołnierzy na Syberii w czasie wojny domowej w Rosji. Niestety, owe opisy bardziej przypominają sprawozdanie lub anegdoty, nie złączone spójną akcją. Jest to swego rodzaju ekscerpt z życia żołnierskiego na Syberii. Zmienia się to dopiero przy opisie bitwy pod Tajgą, gdzie plastyczność opisu i dynamika opowiadania sprawia, że można „poczuć”, jak Polacy odpierają ataki bolszewików.

Należy zwrócić szczególną uwagę na informacje, które w znaczący sposób przybliżają nam dzieje batalionu inżynieryjnego i kompanii saperów. Cenne szczególnie są te o oficerach, w tym o dowódcy baonu, który haniebnie zachował się w trakcie bitwy o Tajgę, o szkoleniu saperów, które prowadził właśnie Czarnecki jako pierwszy saper dywizji, o bitwie w Barnaulskim Stepie, o okolicznościach wysadzenia mostu na rzece Tom, bądź o akcji udroźnienia stacji Aczyńsk po wybuchu wagonów z dynamitem. Wymienione relacje są cenne, ponieważ Władysław Czarnecki był bezpośrednim świadkiem owych wydarzeń i relacjonuje je „z pierwszej ręki”.

Inaczej wygląda druga część wspomnień. Autor przede wszystkim opisał w niej to, co jego spotkało podczas koszmaru obozu koncentracyjnego i więzienia Czeka. Odnaleźć w nich można tortury, głód, choroby, które Czarnecki przezwycięża. Ta historia wpisuje się w kanon obozowych epepei, porównując ją, może nieco na wyrost, do dzieł Grzesiuka czy Herlinga-Grudzińskiego. Niemniej warta zapoznania, jak inne świadectwa morderczego reżimu.

Ingerencje redakcyjne w tekst oraz w przypisy są nadto zauważalne. Na początku wspomnień autor (?) opisuje szczegóły powstania 5 Dywizji (m.in. zjazd PKW z wysłannikami gen. Hallera) oraz jej walki na froncie w 1918 roku, łącznie z datami i miejscami bitew i potyczek, ilością zabitych oraz zdobyczami. Czarnecki nie mógł znać takich szczegółów bez zasięgnięcia wiedzy w opracowaniach, ponieważ, jak sam przyznaje we wspomnieniach, był w tym czasie w Irkucku, skąd wraz z Legionem udał się do Nowonikołajewska. Nie mógł znać też szczegółów dotyczących np. pertraktacji Czechów z bolszewikami oraz ilości carskiego złota skradzionego przez nich z Kazania. Skąd więc ta wiedza, którą przypisuje się autorowi? Wspomnienia tracą w ten sposób swoją oryginalność, a stają się jedynie kolejnym opracowaniem dziejów dywizji.

Kwestia przypisów jest odrębna, ponieważ często dzielą one stronę pół na pół ze wspomnieniami, co rozbija tekst. Rozbudowane biogramy postaci niezwiązanych z historią autora czy nawet dywizji, jak ataman Anienkow, generał Wrangl, Anton Denikin, często są obszerniejsze niż biogramy oficerów polskich. Brakuje między nimi minimalnej równowagi. Ponadto przypisy powtarzają się, np. dwa razy biogram Edwarda Dojana-Surówki, trzy razy informacja o dowódcy Legionu Irkuckiego Witoldzie Skrybbo, bądź ich brakuje, np. informacja o Stanisławie Lipskim znajduje się prawie na końcu książki, mimo, że jego osoba jest wcześniej co najmniej dwa razy wspomniana. Błędy literowe

w stylu „w jej skład wchodziły trzy piłki piechoty” (przypis 205) po kilku stro-
nach wydają się być standardem. Błędy merytoryczne również się zdarzają, np.
gdy Czarnecki opisuje postać porucznika Dobranowskiego, o którym w przypie-
sie 56 redakcja napisała, że takowego nie było w spisie oficerów, podczas gdy
pół akapitu dalej autor podaje, że nazywał się on Baran i był piłkarzem lwow-
skiego klubu futbolowego, a w wojsku używał innego nazwiska.

W celach uzupełniających dodano do książki m. in. krótki życiorys Wła-
dysława Czarneckiego, który nie ma autora. Niestety nikt go nie podpisał
i można się jedynie domyślać czy zrobił to redaktor Wiśniewski, Jeremi Czar-
necki czy może synowa, Maria? Życiorys niestety skupia się tylko na życiu
zawodowym poznańskiego architekta, niewiele wspominając o jego życiu pry-
watnym. Na końcu książki znajduje się artykuł pt. *Wojsko Polskie we Wschod-
niej Rosji i na Syberii 1918-1920*, pióra Jana Wiśniewskiego (z pominięciem
nazwiska autora). Kontrastuje to z informacją zawartą w wprowadzeniu, że
artykuł będzie dotyczył 5 Dywizji, a nie całego wojska od 1917 r., a także
z relacją samego autora. Ponadto powielił on wiele informacji zawartych w tek-
ście i przypisach, jednocześnie uzupełniając wiedzę czytelnika o niezbędne
wiadomości i ukazując szerszy kontekst działalności dywizji.

W celu uatrakcyjnienia książki zamieszczono w niej zdjęcia oraz mapy,
które zamiast stać się jej mocną stroną, stały się piętą Achillesową. Fotografia
Waleriana Czumy ukazuje go jako dojrzałego mężczyznę, podczas gdy w 1920 r.
miał zaledwie 30 lat. Zdjęcie płk Piekarskiego, dowódcy ułanów, znalazło się w
książce chyba przypadkiem, Aleksandra Kołczaka i miasta Omska (w którym
„Kotwicz” nie był) tylko wypełnia karty, zaś partyzantów chłopskich i mostu na
Obie grzeszy bardzo słabą rozdzielczością, jakby były przesadnie rozciągnięte
w tym samym celu co dwa poprzednie. Lakoniczny jest również opis fotografii,
na której stoi lub siedzi ponad 40 osób: „Przedstawiciele zagraniczni”. Można
się tylko domyślać kto jest ukazany na tym zdjęciu. Brakuje również opisu od-
znak i mapy, które znajdują się na okładce książki.

Podobna sytuacja jest z mapami, które są słabo bądź w ogóle nieczytelne
(nazwy geograficzne zlewają się w czarne plamy) oraz ułożone niezgodnie
z chronologią. W opisie jednej z nich 3 pułk strzelców widnieje pod imieniem
J. Kilińskiego, podczas gdy nawet autor wyliczając pułki podał, iż nosił on imię
H. Dąbrowskiego. Zarówno przy mapach jak i przy zdjęciach brak źródeł, co
jest poważnym uchybieniem, tym bardziej, że są to reprodukcje z innych ksią-
żek, m. in. z „Armii Polskiej we Francji” Józefa Sierocińskiego.

Podsumowując, książka jest atrakcyjna dla czytelnika, który chciałby za-
poznać się z dziejami największej polskiej formacji wojskowej działającej na
Wschodzie w czasie I wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu. Jak
do tej pory problematyka ta pozostawała, rzecz można, na uboczu polskiej histo-
riografii. Jestem przekonany, że już choćby z tego względu książka ta zacieka-
wi zarówno młodszego, jak i starszego pasjonata historii oraz wojskowości, a dla
zainteresowanych Syberią jest to pozycja obowiązkowa. Należy jednak podkre-
ślić, że zważywszy na wartość historyczną owego materiału, książka powinna
być zdecydowanie staranniej wydana i doczekać się wznowienia bez powyż-
szych niedociągnięć faktograficznych.

Damian Bienias

- **Bartosz Jastrzębski, Jędrzej Morawiecki, *Krasnojarsk zero*, wyd. Sic!, Warszawa 2012, s. 356.**

W światowej epice tuż obok szeroko pojętej beletrystyki, pełnej przygód niosących adrenalinę, ale także obfitej w fikcję, dumnie kroczy literatura faktu. Powieści podróżnicze, eseje po brzegi wypełnione jestestwem autorów, ciekawie opowiedziana historia od powszechnej po regionalną oraz reportaże oparte na rozmowie ze zwykłymi ludźmi – oto elementy autentycznej prozy. Wszystkiego z nich łączy w sobie książka Bartosza Jastrzębskiego i Jędrzeja Morawieckiego – *Krasnojarsk zero*.

Wrocławscy akademicy młodego pokolenia udają się na wyprawę, której punktem kulminacyjnym jest pobyt w Krasnojarsku, jednym z syberyjskich portów, bo jakże trafniej określić miasta tej wielkiej, północnej krainy, owej (przez setki lat) *terra incognita*, którą odkrywano z taką samą dawką fantazji i emocji, jak Ameryki, czy archipelagi Oceanii – tyle, że drogą lądową? Jest to podróż w pełnym wymiarze, gdzie poznanie oparte jest na zderzeniu krajobrazów i ludzi z prywatnymi przekonaniem oraz stereotypami podróżujących.

Potężny wpływ na treści zawarte w omawianym dziele miało wykształcenie autorów: filozofa i filologa słowiańskiego z warszatem socjologicznym. *Krasnojarsk zero* łączy w sobie nafaszerowane filozofią szkice ze sprawnie zapisanymi reportażami, na które składają się opowieści autochtonów, a także odautorskie komentarze. Wyłowić można kilka podstawowych elementów, które formują książkę.

Pierwszym z nich jest z pewnością kontemplacja podróży przez Rosję. Oczywiście, nie pozbawiona obserwacji z pogranicza antropologii i filozofii. Można przyjrzeć się współczesnej wersji seansu szamańskiego, a także poczuć klimat dworców kolejowych w Moskwie, których opis jest podstawą wyjścia do refleksji nad środkami transportu, a także zagranem literackiej uwertury o dzisiejszych formach podróżowania. Doskonały styl, świetna symfonia metafor i zrozumiały język pozwalają czytelnikowi wsłuchać się w stukot jadącego po torach pociągu – kolei transsyberyjskiej. Pozwalają wczuć się w rytm najdłuższej trasy kolejowej na świecie, ugrząźć w jej specyfice, przyjrzeć się różnym zjawiskom społecznym: zarówno nacechowanym plemienną zachowawczością, jak i tym bardzo współczesnym, które toczą dzisiejszy Zachód. Następnie można odbyć wielowymiarowy spacer po Krasnojarsku, oglądając różnorodność krajobrazów, dziwić się nieprzeciętnej mieszance etnicznej w tym mieście stanowiącym środek południowej Syberii. Ciekawa, romantyczna wręcz przechadzka po Stołbach – północnym paśmie Sajanów – nie pozbawiona antropologicznego spojrzenia na spotykanych ludzi, wywiera wrażenie na zanurzonemu w lekturze czytelniku. A czym faktycznie jest ta kontemplacja podróży? Nie do końca udaną próbą zmierzenia się z Rosją: jej niezmiennością w zmienności, kontrastami w jednolitości, z jej mieszkańcami – jakże wyjątkowymi!, ze specyficzną czasoprzestrzenią i bezkresem, „który wciąga jak wir, jak przepaść: z Jarosławskiego do Władywostoku jest dalej niż do Nowego Jorku, jest dokładnie tyle, ile z Warszawy do Kapsztadu bądź Singapuru. Daleko” (s. 22). Tak, to przede wszystkim antropologiczne wejrzenie na współczesną Rosję, jej bolączki i sukcesy. To swoisty przekrój miejscowej ludności, który świetnie

oddaje odautorska obserwacja, iż Krasnojarsk to miasto Sybiraków – geograficznie azjatyckie, ale mentalnie bardziej europejskie, co jest przyczyną powstania swoistego dla Syberii tygla kulturowego.

Kolejnym elementem jest wykładnia historyczna. Dotyczy ona Rosji jako państwa i Rosjan, jako narodu, przeważnie – i trudno się dziwić – w odniesieniu do Krasnojarska. Dowiemy się ciekawostek na temat transsibiu, jakże ważnego elementu dla państwa rosyjskiego, pewnych wydarzeń okresu Rosji carskiej, samego Krasnojarska, z uwzględnieniem losów miasta podczas rewolucji bolszewickiej i w czasie istnienia ZSRR, gdyż miasto to było rzeczywiście jarem ideologicznie „czerwonym”.

Szczególnie istotnym faktem dla czytelników *Zesłańca* są odniesienia w książce Jastrzębskiego i Morawieckiego dotyczące Polaków. W jednym z rozdziałów spotkamy się ze stwierdzeniem mieszkanki miasta, że „co trzeci mieszkaniec Krasnojarska ma polskie korzenie”(s. 69). Akademicy drążyli w temacie kontaktów polsko-rosyjskich. Przyjrzeni się zesłańcom, ich mentalności, postrzeganiu ich przez Rosjan i na odwrót (nawet w romantycznej literaturze), a także ogromnemu wkładowi wiedzy, umiejętności i pracy, jaki Polacy zostawili na Syberii, pośród różnych miast (także w Krasnojarsku), pasm górskich, nad wieloma rzekami oraz jeziorami. Nie brakuje wzmianki o dobrowolnym osadnictwie polskim na Syberii, czego przykładem są choćby wsie Białystok koło Tomsku oraz Wierszyna w okolicach Irkucka. Na zakończenie książki autorzy serwują esej, w którym rozpatrują kondycję współczesnej Rosji ze szczególnym odniesieniem do kontaktów Polski i Rosji oraz sentymentów, jakie nasi rodacy czują odnośnie Syberii. Czytając wykładnię wrocławskich akademików na powyższy temat automatycznie wyłoniły się z mojej pamięci rezultaty działalności naukowej pana prof. Antoniego Kuczyńskiego, redaktora naczelnego niniejszego czasopisma, czyli teksty i programy telewizyjne opowiadające dokładnie o wkładzie Polaków w rozwój Syberii oraz ich tam przebywaniu. Jak widać, działalność ta skutkuje.

Najciekawszym elementem książki są z pewnością opowieści zwyczajnych ludzi, różnych stanów, wyznań i profesji, którzy opowiadają o sprawach dla nich istotnych, o tym, co zajmuje ich czas, ich samych. W książce została zastosowana popularna forma reportażu polegająca na monologu przerywanym opisem zachowania osoby mówiącej, otoczenia, sytuacji w nim panującej, a także pytaniami autorów. Razem z nimi wysłuchać możemy mnóstwo historii – o zsyłkach, łagrach, pracy w spec-służbach, działalności w komsomole, codziennym życiu, świadectwach nawróceń, drogach odnajdywania Boga i rozwoju duchowym, działalności Kościoła Katolickiego na Syberii, pobożności prawosławnej oraz relacjach katolików z prawosławnymi. Wszystkie te opowieści należą do sfery wewnętrznej, każda z nich jest charakterystyczna, nawet język autorzy dopasowali do stylu wypowiedzi swoich rozmówców.

Kolejny element książki wypływa z poprzednich. Jest to subiektywne spojrzenie akademików na mozaikę wyznaniową występującą w Rosji, wgląd w filozofię życia mieszkańców potężnego kraju, a także w ich moralność. Ta część książki prezentuje się najslabiej ze wszystkich. Wypełniona chaotyczną próbą zgłębienia pojęć trudnych, operująca nietrafnymi, kompletnie subiektywnymi komentarzami odnośnie zaobserwowanych zjawisk i wysłuchanych opo-

wieści, tworzy naciągany obraz rzeczywistości. Niesympatyczne wrażenie potęguje także literatura pomocnicza do rozważań, która łączy w sobie zupełnie niezgranie fragmenty dzieł różnych filozofów, działaczy politycznych i religijnych oraz pisarzy. Wszystko to oparte jest na laickim punkcie wyjścia do rozważań, co utrudnia zrozumienie rozmówców i w ogóle całego zagadnienia. Za przykład takiego komentarza niech posłuży nietrafione spostrzeżenie, jakoby specyfika pobożności chrześcijan wschodnich oparta jest na heretyckich tekstach gnostyków, gdzie gnoza właśnie miałaby stanowić fundament tejże pobożności. Równie absurdalne, co skomplikowane myślenie... Autorzy siłą się na odnalezienie miejsca poszczególnych wyznań we współczesnej Rosji, ale ich zmagania przypominają bardziej odnajdywanie samych siebie w świecie.

Krasnojarsk zero to bez dwóch zdań przednie dzieło literackie zarówno pod względem warsztatowym, jak i tematycznym. Jest wartościową książką podróżniczą, zarazem antropologiczną, gdyż pozwala przyrzeć się krajobrazom oraz zjawiskom, a co najważniejsze, pozwala przemówić ludziom – autochtonom i imigrantom. Cennym dodatkiem są historyczne oraz współczesne fotografie Krasnojarska i okolic. Polecam każdemu, kto zechce odbyć historyczną oraz kulturową wędrowkę po mikrokosmosie opisywanego miasta, mając wciąż poczucie świadomości, iż jest ono zanurzone w makrokosmos Syberii. Szczególnie zaś dojrzałemu czytelnikowi, który potrafi odcedzić elementy pseudofilozofii od wartościowych spostrzeżeń i uwag. Codzienność jednego z syberyjskich portów czeka – wystarczy sięgnąć po *Krasnojarsk zero*.

Maciej Szumilak

- **Zbigniew Niedźwiedzki, *W piekle zesłania. Tutaj będziecie żyć, pracować i tu zdechniecie!*, Szczecinek 2012, s. 326.**

„Na tle surowej, lecz niezwykle pięknej przyrody rosyjskiej tajgi śledzimy los samotnej matki, z dwojgiem małych dzieci, zesłanych z Wołynia na Daleką Północ przez komunistyczny reżim sowiecki w 1940 roku. Ich jedyną winą było to, że byli Polakami, a komendant zesłania nie ukrywał, iż przywieziono ich tutaj na wyniszczenie” – czytamy na czwartej stronie okładki tej interesującej książki opublikowanej przez Fundację „Nasza Przyszłość”. Równie istotna jak jej opublikowanie jest sprawa, którą odnotować tu warto, że wspomnienia Z. Niedźwiedzkiego stwarzają możliwość jeszcze jednego spojrzenia na problem zesłań Polaków w głąb Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej. Idźmy jednak dalej anonsując ważny podkreślenie fakt, że w okresie gdy jesteśmy świadkami komercjalizacji działań edytorskich ukazuje się książka, która z całą pewnością nie przyniesie wydawnictwu finansowych korzyści, ale za to przysporzy mu uznanie czytelników za jej opublikowanie.

Oczywiście każdy ma prawo do własnej oceny współczesnego rynku księgarskiego, do wyrażania ocen i formułowania składających się nań wypowiedzi. Ja jednak pragnę podkreślić, że coraz trudniej jest o publikowanie syberyjskich wspomnień, bowiem wydawnictwa „zastaniają” się małym zainteresowaniem rynku księgarskiego tego typu literaturą. To samo można, niestety, powiedzieć o tym, że coraz trudniej jest pozyskać donatorów na wydawanie

tego typu literatury. Czyli mamy do czynienia ze zjawiskiem deficytu finansowo-czytelniczego, a uszczypliwość ta niechże przyjęta zostanie przez wydawnictwa i różne instytucje państwowe skąpiące dotacji na literaturę wspomnieniową z „sowieckiego domu niewoli”. Podkreślić jednak należy, że poszerza ona problem bazy źródłowej nieodzownej do pełniejszych uogólnień historycznych dotyczących deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony Związku Radzieckiego. Dlatego też przy okazji prezentacji książki Z. Niedźwiedzkiego chciałbym upomnieć się w tym miejscu o zapewnienie wydawcom przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie”, korzystającej z dotacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czy Instytut Pamięi Narodowej dotacji na tzw. syberyjską literaturę wspomnieniową, trudu tego nie udźwignie ani Zarząd Główny Związku Sybiraków, ani jego terenowe oddziały podejmujące częstokroć ten trud wydawniczy – np. Gdańsk, Koszalin, Kraków, Stargard Szczeciński, Szczecin, Zielona Góra.

Czas jednak na prezentację książki, na którą składa się 9 szkiców uporządkowanych chronologicznie, wiodących od „szczęśliwego dzieciństwa na Wołyniu” poprzez rozpoczęcie wojny, zesłanie, życie w specposiołku Nianda w guberni archangielskiej, dwuletni pobyt na Ukrainie, powrót Polski i powojenne losy w tzw. Polsce Ludowej. Książkę poprzedza „Wprowadzenie”, w którym przewijają się informacje dotyczące okoliczności zesłania, paktu Ribbentrop-Mołotow, rozpoczęcia „wojny przez Sowietów”, czterech deportacji oraz polityki deportacyjnej Związku Radzieckiego, natomiast kończy ją rozdział zatytułowany „W dawnym specposiołku po wielu latach”.

Dobrze więc się stało, że autor zdecydował się na wyodrębnienie poszczególnych okresów zesłania, co ułatwia orientację w całości jego losu na wygnaniu. Przybliżyła to niektóre fakty czyniąc narrację bardziej przejrzystą, szeregując materiał faktograficzny. Ułatwia to po wielokroć pełniejszą orientację o życiu na zesłaniu, otaczającej zesłańców rzeczywistości, odczuć ludzi związanych z materialnymi warunkami życia, z głodem, chorobami i umieraniem. Oczywiście stopień wyrazistości tego obrazu jest różny, są jednak w książce próby zbliżenia się do możliwie pełnego ich opisu. Generalizując wspomnieniowa narracja rozszczepiona jest na wiele różnych aspektów o skonkretyzowanej różnorodności. Należy podkreślić, że na ogół są to udane próby ukazania wielowątkowości zesłańczego losu, i mimo całej sympatii do autorskiej narracji oraz oplatającej ją faktografii, to może za często ocieramy się o jej martyrologizowanie. Usprawiedliwiam to przede wszystkim wielością nieszczęść, z jakimi dane było zetknąć się autorowi.

W sumie jest to książka pożyteczna ubogacająca zesłańczą faktografię. Kończy ją autorska podróż do przeszłości, którą odbył autor w 1999 r. a przedstawiając jej motywy napisał: „Blisko sześćdziesiąt lat po opuszczeniu Niandy, gdy zawalił się system sowiecki, zdecydowałem się, tym razem dobrowolnie, odwiedzić to straszne miejsce zsyłki i zobaczyć jak teraz żyją tam ludzie. Chciałem również zapalić świeczkę na grobach tych, którym los nie pozwolił wrócić do Ojczyzny i na wieki zostali w obcej ziemi”.

Opis tej wędrówki do miejsca zesłania przepełniony jest wielowątkowymi refleksjami, a podkreślenia godny jest fakt, że wspomagała go w niej Irina Dubrowina, przewodnicząca stowarzyszenia „Sowiest” – „Sumienie”) z Kotła-

su, z dwójką przyjaciół, zajmujących się dokumentowaniem zbrodni stalinowskich na terenie guberni archangielskiej. Książkę wyróżnia staranność redakcyjna, uzupełniają ją fotografie, dwa wspomnienia Rosjan o łagrach na tym terenie i ich mieszkańcach, spisane przez I. Dubrowinę oraz wykaz Polaków zesłanych do specposiołka Nianda 10 lutego 1940 roku.

Zainteresowanym nabyciem tej książki podajemy adres: Fundacja „Nasza Przyszłość”, Oddział w Szczecinku, ul. Klasztorna 16; 78-400 Szczecinek, tel. 94/373 11 60 (61, 62); faks: 94/ 374 25 15; e-mail: wydawnictwo@fnp.pl

Maria Bożena Kuczyńska

- **Teresa Siedlar-Kołyшко, *Przecież tu Polska kiedyś była....: reportaże kresowe, Łomianki 2012, s. 368.***

Teresa Siedlar-Kołyшко znana krakowska dziennikarka od lat zajmuje się tematyką kresową. Była jednym z pierwszych polskich dziennikarzy, którzy jeszcze w schyłkowych latach PRL-u wyjeżdżali na dawne ziemie I i II Rzeczypospolitej, aby prezentować ich trudną i bolesną historię oraz ukazywać dramatyczne zmagania ludzi, którzy w trudnych warunkach komunistycznego zniewolenia starali się zachować swoją wiarę oraz polską tożsamość narodową. Płonem tych wędrówek był cykl reportaży emitowanych przez Polskie Radio, które cieszyły się wielką popularnością wśród radiosłuchaczy, nie tylko tych pochodzących ze Wschodu. Równocześnie publikowała na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika”.

Zmiany, jakie przyniósł rok 1989, m.in. likwidacja wszechobecnej cenzury, spowodowały, że można było pomyśleć o wydaniu reportaży z Kresów w formie książkowej. Jeszcze w latach 90. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie ukazały się dwa tomy będące płonem reporterskich wędrówek autorki po dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. W kilka lat później już w wolnej Polsce ukazały się kolejne dwie książki poświęcone tej tematyce.

W bieżącym roku ukazała się kolejna już piąta książka zawierająca reportaże kresowe. Książkę otwiera nigdy niepublikowany reportaż poświęcony pierwszemu pobytowi autorki w Lidzie. Miał on miejsce jeszcze w czasach, kiedy ziemie te wchodziły w skład ZSRR. Autorka dotarła do rodziny Antoniego Juszkiewicza, miejscowego organisty. W rozmowie z nią wspomina, jak wiele on i jego rodzina wycierpieli w czasach sowieckich. W Lidzie po drugiej wojnie światowej pozostało wielu Polaków-katolików. Wielu z nich niestety, aby móc jakoś przeżyć musiało iść na wiele nieraz bardzo bolesnych kompromisów z władzą sowiecką. Wspomina o tym wielokrotnie rozmówca Teresy Siedlar-Kołyшко. W przeciwieństwie do wielu innych pan Antoni nie chciał iść na kompromis z władzą radziecką. On i jego rodzina wielokrotnie byli za tą postawę szykanowani. Autorka pisze, jak jej rozmówca został wezwany do szkoły pod zarzutem, że odmawia zapisania dzieci do organizacji pionierskiej. Odpowiedział, że zgodnie z podpisaną przez ZSRR w 1955 roku międzynarodową konwencją państwo nie ma prawa nakazywać rodzicom jak mają wychowywać swoje dzieci. Wybuchła straszliwa awantura, jak wspomina dalej zagrozili wezwaniem milicji. Wtedy to z jego ust padły znamienne słowa „[...] ja się wytłumaczę, ale co wy zrobicie? Ja

pracuję w kościele i widzę, jak wy po kryjomu chrzciecie dzieci, śluby bierzecie, a legitymacją partyjną się zasłaniacie.”

Innym interesującym tekstem jest relacja z pobytu autorki w niewielkiej miejscowości Opsa położonej nad Dźwiną na dawnej granicy polsko-łotewskiej. Wiara i polskość przetrwały tutaj dzięki ludziom starszym, którzy w miarę możliwości starali się przekazać młodemu pokoleniu wiarę i polską tradycję. Szczególnie interesująca, jak wspomina autorka, była rozmowa z Panią Rosą Dembicką – polską Tatarką, która okazała się kopalnią wiedzy o dziejach tej ziemi i powojennych losach jej mieszkańców.

Po upadku ZSRR na dawnych kresach Rzeczypospolitej zaczęło odradzać się polskie życie społeczne, kulturalne, religijne i narodowe. Tak stało się m.in. w Gródku Podolskim na Ukrainie, zwanym jeszcze przed rewolucją małą Warszawą, ze względu na licznie zamieszkałych tam Polaków. Autorka po kilku latach ponownie odwiedziła tę miejscowość. Jak stwierdza sytuacja mieszkających tam Polaków z roku na rok jest coraz lepsza. Dzieci i młodzież uczęszczają do polskiej szkoły, wybudowanej i wyposażonej dzięki pomocy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Dofinansowuje ona też wyjazdy dzieci i młodzieży do Polski. Prężnie działa tam również Dom Polski, będący centrum życia społecznego i kulturalnego zamieszkałych tam Polaków. Autorka zwraca również uwagę, że w przeciwieństwie do ziem wchodzących w latach 1918-1939 w skład II RP, stosunki pomiędzy Polakami a Ukraińcami układają się w miarę dobrze.

Nieco inaczej jest na tzw. zachodniej Ukrainie, gdzie do dzisiaj niestety panują bardzo silnie nastroje nacjonalistyczne, skierowane przeciwko Polakom. Tak było m.in. we Lwowie. Janina Zamojska, legenda lwowskich Polaków wspomina w rozmowie, że gdy wybuchła niepodległa Ukraina to nowe władze gwałtownie zaczęły zmieniać nazwy ulic, które przypominały wielowiekową obecność polską w tym mieście. Na szczęście po tzw. pomarańczowej rewolucji sytuacja się nieco poprawiła, choć daleko jeszcze do normalności.

Dużą rolę w podtrzymaniu, a potem odrodzeniu polskości na tych ziemiach odegrał Kościół katolicki. Autorka wielokrotnie podczas swoich wędrówek stykała się z opowieściami o bohaterskich kapłanach, którzy mimo panujących warunków starali się nieść pociechę duchową mieszkającym tam Polakom. Nie tylko za życia. Zdarzało się bowiem i tak, że gdy sterany życiem kapłan został wezwany przed „Oblicze Najwyższego”, to przy jego grobie gromadzili się na modlitwie mieszkańcy w niedziele i ważniejsze święta kościelne.

W ostatnich latach, jak pisze, coraz bardziej widoczne jest odrodzenie Kościoła katolickiego na tych ziemiach. Jak feniks z popiołów odradzają się zniszczone parafie i klasztory. Autorka zwraca uwagę na zmianę pokoleniową wśród pracujących na tych ziemiach kapłanów. Coraz częściej, bowiem pojawiają się miejscowi księża, tacy jak ojciec Alojzy Kosobudzki (paulin), którzy nie tylko kontynuują dzieło swoich poprzedników, ale także starają się je rozwijać.

Książka została napisana prostym i zwięzłym językiem. Wydawca zaopatrzył ją w liczne fotografie, przedstawiające miejsca opisane przez autorkę oraz ludzi tam mieszkających. Podobnie, jak wcześniejsze publikacje tej autorki przynosi ona wiele ciekawych i interesujących informacji o ziemiach przez wieki należących do Rzeczypospolitej. Dlatego też każdemu, zainteresowanemu tematyką kresową pragnę polecić przeczytanie tej książki.

Tomasz Dudek